



HELEN MITTERMAYER

Do utraty tchu!

Tytuł oryginału White Heat

Przełożył Stefan Kasicki



DO UTRATY TCHU!

Pacer nie był pewny, czy potrafi odejść. Ciepło jej ciała stało się dla niego tak niezbędne, jak powietrze czy woda. Zacisnął palce na sukni.

Proszę mi wybaczyć, ale muszę się przebrać i wrócić do gości.

Oczywiście.

Puścił ją. Wpatrywał się w kuszące plecy, aż skręciła za róg i zniknęła. Wrócił do living roomu, wziął drinka od przechodzącego kelnera i oparł się o ścianę.

„ Colm Fitzroy - pomyślał. - Piękna, a do tego inteligentna. Rozmowa z nią to prawdziwy pojedynek". Na ogół nie przejmował się zbyt słownymi potyczkami, lecz ta kobieta go zaintrygowała. Zerwała welon nudy, która go ostanie ogarnęła. Wiedział, że wcale nie musi zostawać na party, gdyż miał z nią umówione spotkanie jutro rano. Dlaczego więc nie chce wyjść? Bo Colm Fitzroy była magnesem, nieubłaganie przyciągającym go do siebie. Jaka jest naprawdę? Co za przeżycia sprawiły, że jej spojrzenie stało się tak zimne, wręcz stalowe? Kiedy zdążyła się otoczyć takim pancerzem niedostępności?

Rozdział 1

Pójście z rudowłosą do łóżka wydawało się najlepszym pomysłem, jaki kiedykolwiek wpadł mu do głowy. Tylko pytanie, czy ona by się zgodziła? Pacer Dillon uśmiechnął się do siebie. Wygląda na taką, która potrafi podbić oko, usłyszawszy podobną propozycję. Ale warto spróbować, jeśli jest choć cień szansy, że odpowie mu: tak. Na samą myśl zawrzała w nim krew. Jednocześnie uświadomił sobie, że najpierw jednak powinni się poznać.

Nieraz już się zdarzało, że opanowywała go równie gwałtowna żądza, ale niepohamowane pragnienie, by natychmiast włączyć rudą w orbitę swego życia, było mu obce. Cierpliwość, cecha odziedziczona po indiańskich przodkach, zawsze stanowiła jego mocną stronę. Jednak nie teraz. Pragnął jej. Jaką magią była obdarzona ta smukła istotka?

Przyglądał się dziewczynie bardzo uważnie, podziwiając piękne, kształtne ciało. Bujne, rude włosy znakomicie harmonizowały z mlecznobiałą skórą. Wyobraził sobie, jak gniew zabarwiłby jej policzki przepyszny różem. Długie, smukłe nogi mogły omotać każdego mężczyznę wraz z ciałem i duszą. Była absolutnym uosobieniem kobiecości, pociągająca i pełna seksu.

Pacer na ogół nie spieszył się z kobietami. Wpatrując się w rudowłosą, nie mógł się jednak powstrzymać.

- Weź się w garść! - upomniał się poirytowany, zaciskając zęby.

Po raz pierwszy żałował, że nie potrafi być tak przy mil-

ny jak Con czy Dev, jego przyjaciele i współnicy w interesach. Obecnie byli szczęśliwymi żonkosiami wpatrzonymi w swoje piękne żony, lecz kiedyś... kiedyś kobiety ciągnęły do nich jak pszczoły do miodu. Pacer lubił kobiety, lecz zawsze zachowywał się wobec nich powściągliwie, czuł skrepowanie. Teraz nagła fala pożądania wytrąciła go z równowagi, pozbawiła samokontroli. Cóż w niej było tak zniewalającego? Przecież ujrzał ją po raz pierwszy zaledwie pół godziny temu.

Szedł ku niej przez zatłoczony, hałaśliwy salon. Przyjęcia typu koktajl party nudziły go bezgranicznie. Dzisiaj jednak było inaczej. W chwili gdy ją ujrzał, ponury nastroj znikł bez śladu.

Na przyjazd do Houston nie miał najmniejszej ochoty. Do podróży wręcz zmusili go obaj przyjaciele, którym żal było rozstać się z żonami i dziećmi. Był tutaj, by dokonać oceny stanu firmy, z którą jego korporacja prowadziła negocjacje dotyczące wykupu. Co za paradoks: wcale nie chciał tu przyjeżdżać, a teraz się zastanawiał, jak przedłużyć pobyt.

Zatrzymał się w pobliżu rudowłosej. Stała pośrodku wysokiego na dwa piętra, eleganckiego living roomu, otoczona półkolem mężczyzn. Z bliska była jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej podniecająca. Promieniowała tak, że aż w nim zaiskrzyło.

Był niemal pewny, że mieszkanie należy do rudej, a ona sama to właśnie Colm Fitzroy; kobieta, z którą przyjechał się spotkać.

Na przyjęcie zaprosiła go jednak nie ona, lecz Henry Troy, wiceprezes firmy Fitzroy, którą chciał wykupić Pacer i jego współnicy. Nie miało jednak znaczenia, kto go zaprosił. Gdyby nie przyszedł tutaj dzisiaj wieczorem, to jeszcze przez jakiś czas nie miałby z tą kobietą kontaktu. W końcu jednak musieliby się spotkać. Był tego pewien.

To było jego przeznaczenie. Może nawet znał ją w którymś z poprzednich wcieleń. Jego dusza Indianina z plemienia Creek mówiła mu, że mogło tak być.

Obserwował ją; przyglądał się, jak gestykuluje żywo z kieliszkiem szampana w ręku, uroniła jedną czy dwie krople. Wysmukła, delikatnej budowy, w pantoflach na obcasach miała niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. Była wyjątkowo zgrabna. Jej szyja wydawała się zbyt wiotka, by utrzymać kaskadę ognistorudych włosów, które lśniły przy każdym ruchu kształtnej głowy. Nie mógł dojrzeć jej oczu. Zastanawiał się, jaki mogą mieć kolor. Jej tyłeczek był zachwycająco rzeźbiony i mieściłby się przyjemnie w jego dłoniach.

Jeżeli była to Colm Fitzroy, to była równie mądra, jak śliczna. Już dwukrotnie zajmowała stanowisko kierownika biura firm inwestycyjnych. Rok temu, po śmierci swego ojca, Vince'a Collamera, przejęła firmę należącą do Fitzroyów i została jej szefem. Pacer nie miał jednak pojęcia, dlaczego używa nazwiska Fitzroy, a nie Collamer.

Kierował się w jej stronę, zachodząc od tyłu. Otaczająca grupka rozdzieliła się w momencie, gdy był od niej o kilka kroków. Znowu zrobiła ruch ręką trzymającą kieliszek szampana, po czym znieruchomiała.

Zauważył, że suwak na plecach jej koktajlowej sukni w kolorze dojrzalej moreli zaczął się rozpinać. Odruchowo sięgnęła do tyłu, lecz pod wpływem tego gestu zamek rozsunał się jeszcze bardziej.

W tym momencie odwróciła się plecami do stojącego na pobliskim stole bukietu kwiatów tak swobodnie, jakby już setki razy była w podobnej sytuacji.

Pacer zbliżył się do niej. Choć jej ruch spowodował, że suwak rozpiął się niemal zupełnie, była nadal całkowicie opanowana. Poczul ogarniające go rozbawienie, a może dreszcz czegoś więcej. Zrobił jeden długi krok, zbliżył się

do niej i podtrzymał rozchylającą się suknię. Poczł jej zapach. Kwiaty... i co jeszcze?

- Obawiam się, że może ją pani zgubić - szepnął jej do ucha.

Powoli obróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Źrenice błękitnych oczu rozszerzyły się, gdy mu się przyglądała.

- Doprawdy? - zapytała chłodno. - Zupełnie nie przypomina pan szpileczki krawieckiej.

Roześmiał się. Podmuchał jej ostrego głosu owiał mu skórę jak aromatyczny wietrzyk. Pragnął jednak czegoś więcej.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, by się do pani przypiąć - odpowiedział - lecz ze względu na fakt, że nie używa pani biustonosza, a suwak dalej opada, może byśmy się jednak gdzieś schowali.

Patrząc na nią z góry, pomyślał, że w tych oczach mógłby utonąć.

Spojrzała na otaczających ją mężczyzn.

- Może przejdziemy do holu? Mogłabym wejść na górę tylnymi schodami.

- Pani decyduje. Przy okazji - nazywam się Pacer Creekwood Dillon.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- To pseudonim? Jest pan artystą?

- A pani?

Przyglądała mu się przez chwilę spod przymrużonych powiek. Następnie skłoniła się z gracją całemu towarzystwu i zaczęła się wycofywać. Gdy doszli do kory tarza, stwierdziła:

- Może mnie pan już uwolnić.

- Na pewno? Trzymanie pani... suwaka sprawia mi wielką przyjemność. - Pacer nie był pewny, czy potrafi od niej odejść. Ciepło jej ciała stało się dla niego tak niezbędne, jak powietrze czy woda. Zaciśnął palce na sukni.

-Proszę mi wybaczyć, ale muszę się przebrać i wrócić do gości.

-Oczywiście.

Puścił ją. Wpatrywał się w kuszące plecy, aż skręciła za róg i zniknęła. Wrócił do living roomu, wziął drinka od przechodzącego kelnera i oparł się o ścianę.

„Colm Fitzroy - pomyślał. - Piękna, a do tego inteligentna. Rozmowa z nią to prawdziwy pojedynek." Na ogół nie przejmował się zbytnio słownymi potyczkami, lecz ta kobieta go zaintrygowała. Zerwała welon nudy, która go ostanio ogarnęła. Wiedział, że wcale nie musi zostawać na party, gdyż miał z nią umówione spotkanie jutro rano. Dlaczego więc nie chce wyjść? Bo Colm Fitzroy była magnesem, nieubłagane przyciągającym go do siebie. Jaka jest naprawdę? Co za przeżycia sprawiły, że jej spojrzenie stało się tak zimne, wręcz stalowe? Kiedy zdążyła się otoczyć takim pancierzem niedostępności?

Zaskoczyło go, jak szybko wróciła przebrana w kremową jedwabną spódnicę i bluzkę. Krążyła po pokoju, rozmawiając z gośćmi. Powoli przesuwała się w kierunku grupki, z którą rozmawiała, zanim zepsuł się suwak.

Pacer z trudem oderwał się od ściany, dołączył do towarzystwa i zaczął się przysłuchiwać rozmowie.

- Ależ, Colm - mówił jeden z mężczyzn - jak możesz dokonywać takich zmian? Gdyby twój ojciec wiedział, co chcesz zrobić, dostałby ataku serca.

Pacer zamyslił się. Colm? Dziwne imię dla kobiety. Irlandka? Walijka? Któż ją tak nazwał? Przypomniał sobie, że w dokumentach dotyczących Colm wspomniano o kimś w jej rodzinie, kto nosił to imię. Przebiegł wzrokiem po twarzach pięciu stojących wokół niej mężczyzn. Czy któryś z nich należał do rodziny? A może któryś był jeszcze bliższy?

- Vince Collamer nie żyje - odpowiedziała wolno, pa-

trząc im prosto w oczy. - Powtarzam, że dotyczy to tych, którzy byli zatrudnieni przez firmę Fitzroy.

Teoretycznie zgadzam się z tym, co robisz - powiedział inny mężczyzna - i sądzę, że tego typu działania można prowadzić, lecz trzeba trochę poczekać. Firma jest obecnie na granicy wytrzymałości, Colm. Zatrudnianie ludzi, którzy są praktycznie analfabetami, może zachwiać równowagę. Dotknął jej ramienia. -Wiem, że zdobyłaś doświadczenie, pracując w Caball i w Network, lecz myślę, że teraz działasz zbyt pochopnie.

-Najwyżej stracę, wujku Henry.

-I ja-wyszeptał Pacer.

Rude włosy Colm załśniły, gdy obróciła się do niego. Ciemnoniebieskie oczy raz jeszcze otaksowały go uważnie.

Właśnie skojarzyłam sobie pańskie nazwisko z ofertą, która przysłała od AbWenDil. Na pewno się nie zgodzę, panie Dillon. -I odwróciła się do niego plecami.

- Czy nie lepiej będzie omówić tę sprawę w bardziej właściwym momencie, panno Fitzroy? - Zaczął rozumieć, o co chodzi. Colm Fitzroy próbowała sprytnie wycofać się z umowy.

- Zrobimy to jutro, panie Dillon, w moim biurze. Tak jak uzgodniono korespondencyjnie, o dziewiątej. - I odwróciwszy się do niego plecami, oddaliła się z wysoko uniesioną głową.

- Czyż nie jest piękna? - powiedział mężczyzna, którego Colm nazywała wujkiem Henrym. - Jestem jej zastępcą i ojcem chrzestnym. Henry Bellin Troy. - Starszy, lekko łysiejący mężczyzna wyciągnął rękę do Pacera. - Byłem również współpracownikiem jej ojca. Cieszę się, że pan dzisiaj przyszedł. - Rozejrzał się po pokoju i skrzywił trochę: - Colm często urządza party. Lubi wydawać pieniądze.

- Nazywam się Pacer Dillon. Jestem wiceprezesem spółki AbWenDil.

- Znam pana i pańską firmę, chociaż powstała niedawno. Wraz z Conradem Wendelem i Deverilem Abramsem utworzyliście znakomitą grupę.

Pacer się uśmiechnął.

- Ściśle mówiąc, już od pewnego czasu jesteśmy wspólnikami. To tylko firma jest nowa.

- Zauważyłem, że wcześniej wyszedł pan z Colm do holu. Czy poczuł się pan niedobrze?

- Ee... nie. Drobiazg.

- Aha. Rozumiem. - Henry Troy zmarszczył brwi, jakby wiedział wszystko.

- Jeśli chodzi o firmę Fitzroy - ciągnął Pacer - jeszcze do niedawna byłaby to bardzo korzystna transakcja. Teraz mam wrażenie, że jest pewne ryzyko.

- Słyszał pan naszą rozmowę.

- I przeprowadziłem małe dochodzenie.

- Firma Fitzroy przeżyła kilka trudnych momentów od czasu, gdy umarł ojciec Colm. - Henry znowu zmarszczył brwi. - Vince Collamer był ostrożnym człowiekiem i rozgrywał swoje karty trzymając je blisko orderów. Nawet kontrolerzy nie mogli się połapać w jego aktywach.

- Ciekawe. - Pacer przemknął spojrzeniem po pokoju i zatrzymał wzrok na Colm Fitzroy. - Na ogół nie zajmuję się takimi sprawami.

Henry roześmiał się.

- My na prowincji tak. - Odchrząknął. - Przypuszczalnie wie pan, że choć nie traktujemy waszej oferty wrogo, nie jesteśmy też zbyt skłonni do jej przyjęcia.

- Z ksiąg firmy wynika, że czeka was parę ciężkich miesięcy. Chcielibyśmy temu zapobiec, jeśli będzie to możliwe. I możemy to zrobić, panie Troy, ale wybór jest niewielki. Możliwości jest coraz mniej.

- Wiem o tym, ale trudno jest przekonać Colm - powiedział z półuśmiechem. - Gdy skończyła dwadzieścia pięć lat, odziedziczyła lwią część akcji po matce. Miało to decydujące znaczenie, gdy po śmierci Vince'a rada mianowała ją prezesem i dyrektorem naczelnym. Mimo że spora grupka wystąpiła przeciwko niej. - Henry znów zmarszczył brwi. - Ma głowę do interesów, ale chwilami jej nastawienie do firmy Fitzroy jest zbyt emocjonalne. Czasem... czasem wygląda to tak, jakby chciała całą firmę rozdać za darmo... albo narobić kłopotów, usiłując ponownie zatrudnić ludzi zwolnionych kilka lat temu podczas kryzysu.

Pacer dalej wpatrywał się w nią przez cały salon, obserwując, jak śmieje się z czegoś, co powiedział jeden z mężczyzn.

Ma dobre referencje. Caball była ciężkim zadaniem, tak samo Network. By poradzić sobie z nimi, potrzebne były dobre podstawy w prowadzeniu interesów. Słyszałem, że dobrze rozwiązała ich problemy. - Spojrzał na Henry'ego. - Skąd to imię - Colm?

- Przyjęła je po dziadku ze strony matki.
- Rozumiem. Żadnych chłopców w rodzinie?
- Nie. Adaira, matka Colm, nie mogła mieć więcej dzieci. - Wyraz twarzy Henry'ego stał się melancholijny.
- Była tak piękna jak Colm.

Pacer spojrzał na niego.

- Pan zna jej rodzinę od dawna?
- Z matką Colm chodziliśmy na ten sam uniwersytet, poznałem ją już w liceum.

Pacer ujrzał napięcie w twarzy mężczyzny i umilkł. Henry Bellin Troy kogoś mu przypominał.

Podszedł do nich jakiś mężczyzna i zaczął rozmawiać z Henrym. Pacer zostawił ich i przeszedł przez salon do

małej grupki zebranej wokół białego fortepianu. Siedziała przy nim Colm, przebiegając palcami po klawiszach.

- Colm, zaśpiewaj coś - odezwał się jeden z mężczyzn, a reszta przyłączyła się do jego prośby.

Pacer oparł się plecami o kolumnę i gdy tylko Colm uniosła głowę i zaczęła śpiewać, zapomniał zupełnie o Henrym Troyu.

Miał wrażenie, że jej matowy głos owija się wokół niego jak jedwabiste lasso. Wzruszył ramionami. Drgnął, jakby go coś użądliło od środka, jakby Colm Fitzroy wślizgnęła się do jego krwiobiegu i urządziła tam wyścięgi, biorąc go sobie i zwyciężając.

Miłosna ballada chwytiała za serce. Gdy śpiewała ostatnią zwrotkę pieśni, Pacer mógłby przysiąc, że w jej głosie zabrzmiał głęboki smutek. Kusiło go, by wziąć ją na ręce i wynieść stąd. Chwilę później stwierdził jednak, że chyba się pomylił. Colm śmiała się i żartowała z przyjaciółmi, w jej głosie nie było śladu melancholii.

Odwrócił się, chcąc wyjść, ale coś przykuwało go do domu Colm. Banalna gadanina gości drażniła go, wyszedł więc z living roomu na korytarz, szukając jakiegoś spokojnego miejsca. Gdy zobaczył uchylone drzwi, wszedł do pogrążonego w półmroku pokoju.

Colm wypijała za dużo szampana. Party stało się jak wizyta u dentysty, nudne i przykre.

- Po diabła piłam tyle szampana? - zadała sobie pytanie. Zawsze potem bolała ją głowa. Dlaczego jeszcze nie poszli sobie do domu?

Próbując uśmiechać się uprzejmie do gości, wyszła do holu i skierowała się do pokoju, który kiedyś był pracownią jej ojca. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Pokój nie przypominał już pokoju Vincenta Collamera. Colm widziała to. Gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek,

przybrała nazwisko panięskie matki. Po śmierci ojca przejęła rodzinną firmę i dom. Zrobiła wszystko, co mogła, by zatrzeć ślady po człowieku, który był dla niej raczej kalem niż ojcem. Vince Collamer chciał mieć syna, a żona urodziła mu córkę.

Zanurzywszy się w fotelu za biurkiem, Colm podparła głowę rękoma.

- Myślę, że oboje potrzebowaliśmy tego samego.

Podniosła głowę i wbiła wzrok w mężczyznę siedzącego w lolelu obok regalu z książkami.

- Jak pan się tu dostał? spytała z irytacją.- Co pan tu robi ?

- Drzwi były otwarte. Potrzebowałem trochę spokoju. Drażni mnie muzyka country.

- To źle - ucięła. - Tutaj, na prowincji, lubimy taką muzykę.

„Kiedy ojciec zaczął prowadzić interesy z tym gigantem, tym człowiekiem-niedostępną górą w garniturze od Savile Row?" Zastanawiała się, ile może mieć wzrostu. Metr dziewięćdziesiąt, dwa metry? Nie pochodził z Teksasu. Czy farbował włosy w srebrzyste pasemka, by harmonizowały ze srebrzystoniebieskimi oczami? Na pewno nie. Poza tym nie potrzebował żadnych dodatków, by stać się jeszcze bardziej atrakcyjnym mężczyzną. Seks po prostu kipiał z tego faceta.

- Zdawało mi się, że powiedziałam już panu, iż firma nie jest na sprzedaż.

- Dostałem pani list, panno Fitzroy, ale umowę zawarliśmy z Vincentem Collamerem, zmarłym właścicielem...

- Firma Fitzroy należała do rodziny mojej matki. Vince Collamer przejął ją dopiero po ślubie.

- Nie był pani ojcem?

- To nie pańska sprawa, panie Dillon. Przyjęłam nazwisko matki, gdy skończyłam osiemnaście lat.

- Rozumiem.
- Wątpię. Czy byłby pan uprzejmy opuścić ten pokój?
- Czy mogę zaprosić panią na kolację?
- Co? Kiedy? - Zaskoczyło ją to nagłe pytanie i jeszcze bardziej rozdrażniło. Straciła rezon, zbił ją z tropu. -
Ja... przyszłam tutaj, gdyż boli mnie głowa i...
- Ból minął - powiedział powoli. - Przeszedł pani pod wpływem złości.

Colm wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy, zastanawiając się, co się dzieje z jej głową. Miała ochotę utrzczeć mu nosa. Zamrugnęła powiekami ze zdziwienia, uświadomiwszy sobie, że ból głowy rzeczywiście ustąpił. Zmniejszyło to jej irytację.

- A dokąd chciałby pan pójść na kolację? - zapytała. -
Jeśli mielibyśmy pójść, bo chyba jasne, że nigdzie nie pójdziemy.

- Do Rogeta.

Wbiła w niego wzrok.

- Gdzie to jest? Jakiś nowy lokal?

- Obok Fifth Avenue, niedaleko Central Parku.

- Co? Manhattan? Nowy Jork?

- Czy pani tak zawsze?

- Co?

- Odpowiada pytaniem na pytanie i nigdy nie udziela żadnej odpowiedzi.

Colm skoczyła na równe nogi, w jej oczach zabłysła złość. Gdy leniwie podniósł się z fotela i podszedł do niej, doznała wstrząsu. Niewielu mężczyzn było od niej wyższych, ale ten wyraźnie górował nad nią wzrostem.

- Mamy spotkanie o dziewiątej rano - wyszeptęła, czując się całkiem niepewnie.

- Możemy je odbyć w Nowym Jorku.

- Odpowiedź na pana służbową propozycję brzmi: nie,

Firma Fitzroy nie jest do kupienia ani przez pana, ani przez nikogo innego.

- Co z kolacją?

Spojrzała mu prosto w twarz. Był przystojny. Czowała promieniujące od niego ciepło. Niewinny uśmiech był jednak zwodniczy, przypominał płonący węgiel drzewny, nieszkodliwy, a jednak zabójczy. Rozpalał do białości!

- Żadnych więcej pytań? - zapytał.

Jego powolny głos drażnił ją, miała gęsią skórkę. To nie był mężczyzna z Teksasu.

- Skąd pan pochodzi?

- Aha, jednak są pytania. - Mówiąc to podszedł do biurka.

Colm poczuła się osaczona. Usiadła z powrotem w fotelu.

- W pana głosie slychać akcent teksański.

- Pochodzę z Oklahomy. Urodziłem się na ranczo, na zupełnym pustkowiu. Myślę, że teraz niczego tam nie ma.

- Pana rodzina zajmowała się hodowlą bydła?

- Nie. Wcześniej zostałem sierotą - odpowiedział swobodnie. - Ujeżdżałem konie i czyściłem stajnie.

- Wzruszające.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem:

- Pani mi nie wierzy.

- Trochę o panu czytałam, panie Dillon. Skończył pan Princeton *summa cum laude**. Ma pan tytuł magistra w dziedzinie biznesu.

- Taka pani jest?

Zmrużyła oczy.

- Pan mnie również sprawdził.

*Łac. - forma oceny wyróżniającej na dyplomach, tu: z wyróżnieniem, z najwyższą pochwałą.

- Normalne, rutynowe badanie. Przeczytałem raport w czasie lotu do Houston. Robi wrażenie.

- Rozumiem.

- Myślę, że była pani bardzo wystrzałowa.

- Byłam - odpowiedziała cierpko. Pomyślała, że rozmawiając z nim czuje się jak na huśtawce. W górę i na dół, i do góry, i na dół. Do diabła z tym facetem. Stosuje chwyt poniżej pasa. A to przecież chyba zabronione? Mogłaby się założyć, że w dzieciństwie był rozrabiaką, nieważne, czy to było ranczo, czy nie. Mężczyzn można na ogół łatwo przejrzeć i oswoić. Tylko z ojcem miała trudności. A teraz ten... Nie chciałyby mieć do czynienia z facetem tego typu. - Nie zmienię zdania o firmie.

Pacer wzruszył ramionami.

- Ani my. Uzyskaliśmy już ustną zgodę, panno Fitzroy.

- Nie sprzedam.

- Pozwiemy panią do sądu.

- Spróbujcie. Ja też mam adwokatów.

Skłonił się.

- Zobaczmy się o dziewiątej rano.

- Może pan wyjechać dzisiaj wieczorem, panie Dillon.

Nie zmienię zdania.

Jego uśmiech spowodował, że wstrzymała oddech, poczuła ostrzegawcze mrowienie skóry na głowie.

- Biznes nie jest dla mnie jedynym magnesem w Houston, panno Fitzroy.

Gdy opuścił pokój, Colm, tkwiąc ciągle w tym samym miejscu, próbowała się uspokoić. Oddychała z trudem. Nie wypłała przecież aż tyle szampana, nie mogła jednak uspokoić swego bijącego serca. Czowała się tak, jakby Pacer Creekwood Dillon wychodząc z pokoju, zabrał cały tlen. A może przybył nie z Manhattanu, lecz z innej planety? Jeśli tak, to był zbyt przyjaźnie nastawionym obcym.

Pacer opuścił party i wrócił do hotelu. Odbył dwie rozmowy telefoniczne. Najpierw odwołał zamówiony na następny dzień popołudniowy lot. Następnie zadzwonił do biura AbWenDil. Zostawił informację automatycznej sekretarce, że potrzebuje trochę czasu na negocjacje dotyczące umowy i że będzie dzwonił za dzień lub dwa.

Odłożył słuchawkę i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. Wiedział, czego chce - Colm Fitzroy. Zmysłowe pożądanie mógłby łatwo zaspokoić, ale on pragnął jedynie Colm, pięknej, zmiennej osobki, która nie okazywała mu cienia sympatii. Do diabła, od pierwszego spojrzenia zienawidziła go za to, że chciał wykupić jej firmę! Cóż spowodowało tak silną reakcję? Złość, strach? Czuł wyraźnie, że coś jest nie tak. Odkrycie motywów jej postępowania stało się dla niego najważniejszym problemem.

Ogarnęło go uczucie rozdrażnienia, którego przejawem był wisielczy humor. Tyle razy śmiał się ze swych przyjaciół - Deva Adamsa i Cona Wendela, którzy byli pod pantoflem; żyli tak, jakby byli przez swoje kobiety zahipnotyzowani.

Czy Colm rzuciła na niego urok? Choć uczucie było dla niego całkiem nowe, podejrzewał, że to coś tworzyło się jednak w nim samym. Colm Fitzroy tknęła wokół niego sieć, a on nawet nie próbował walczyć.

Poruszając ramionami, jakby chciał się otrząsnąć z jej uroku, poszedł do łazienki i puścił zimną wodę z prysznicca. Zanim noc się skończy, będzie potrzebował lodowatej kąpieli. Colm Fitzroy pobudzała seksualnie jego wyobraźnię w niezwykle żywy sposób. Długo będzie czekał na sen. Niech ją diabli wezmą!

Rozdział 2

Firma Fitzroy była organizacją zajmującą się sprawnie i skutecznie inwestycjami bankowymi. Budynek, w którym znajdowała się jej siedziba, wznosił się dumnie wśród podobnych sobie w dzielnicy biznesu w Houston. Szkło i stal nadawały jego fasadzie wygląd harmonijki ustnej. Lśniąc w promieniach palącego słońca Teksasu, wyglądał jak świątynia poświęcona pieniądzwowi i sile, którą reprezentował.

Firma Fitzroy była, jak na tutejsze stosunki, firmą starą. Caleb Fitzroy przybył na Zachód z torbą narzędzi ciesielskich, melonikiem i żyłką do robienia interesów. Od razu kupił kawał ziemi, której nikt nie chciał i rozparcelował na pokryte pyłem działki. Ropa zamieniła tę ziemię w złoto. Caleb uśmiechał się pod wąsem i tylko zacierał ręce. Fortuna sprzyja szczęściarzom.

Jego małżeństwo było udane, miał wspaniałego syna o imieniu Colm, który okazał się jeszcze lepszy w robieniu interesów. Podczas rządów Adairy kompania wprost kwitła. Dopiero w ciągu dziesięciu ostatnich lat pojawiły się kłopoty.

Colm, parkując w podziemnym garażu na miejscu zarezerwowanym dla naczelnego dyrektora, poczuła dreszcz. Pamięć o ojcu ciągle jeszcze była żywa. Wymazanie wspomnień p nim, nawet za pomocą egzorcyzmów, byłoby trudne. Powinna jednak to osiągnąć, zatrudniając z powrotem starych pracowników, poszerzając zasięg zainteresowań firmy, zmieniając jej cele.

Wysiadła z samochodu i skierowała się do windy, która łączyła garaż bezpośrednio z jej biurem. Gdy od betonowego słupa oderwał się jakiś cień, zatrzymała się zaniepokojona. Rozpoznawszy w świetle właściciela cienia, wzięła głęboki wdech i warknęła:

- To pan! Jak pan tu się dostał?

- Zwyczajnie - odpowiedział Pacer.

- To niemożliwe. Mamy ochronę.

- Musicie ją wzmocnić - stwierdził spokojnie. - Pójdziemy na górę? - zapytał, podając jej ramię.

Minęła go, ignorując ten gest.

- Przyszedł pan o pół godziny za wcześnie. Przed spotkaniem muszę przejrzeć pocztę.

- Pomogę pani.

- Nie, dziękuję. - Colm aż wbiła klucz w zamek od drzwi windy. Pacer Creekwood Dillon nawiedził ją już we śnie. A teraz pojawił się w garażu. Do diabła z tym facetem!

Gdy drzwi windy się rozsunęły, weszła do klimatyzowanego wnętrza.

Pacer podążył tuż za nią.

- Bardzo pani dobrze w kolorze brzoskwiniowym.

Niech się pani tak ubierze na naszą kolację.

- Nie.

- Zgoda. Może pani założyć coś innego.

Pacer się uśmiechnął. Colm zadrżała. Ten uśmiech wyglądał jak kwiat maskujący krater wulkanu. Wysiętek zmierzający do ukrycia pierwotnej, dzikiej siły był jednak bezskuteczny.

- Zimno pani? - Przysunął się bliżej i objął ją silnym ramieniem. - Lepiej?

- Nie... tak. Nie jest mi zimno. - Próbowała się oswobodzić, lecz nawet nie drgnął. Spojrzała na niego do góry, w jej oczach błysnęła złość. Przywykła patrzeć mężczy-

znom prosto w oczy. Pacer Dillon był jednak za wysoki.

- Proszę mnie puścić.

- Nie wiem, czy mogę.

- Co? - Poczuela, jak jej ciało tężeje, po chwili się rozluźniła.

- Chcę, żeby było pani ciepło.

- Zawsze myślałam, że Indianie są uprzejmi.

- Jesteśmy.

- Więc proszę mnie puścić.

- Ogrzej mnie, kochanie.

Pieszczotliwy tembr jego głosu sprawił, że poczuela, jak miękną jej kolana.

- Nie ma potrzeby.

- Uwielbiam ten ton w pani głosie. Sprawia, że przechodzą mi ciarki po plecach.

- To się czasem zdarza... zanim podbiję komuś oko?

- Będę pamiętał, żeby zrobić unik.

Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie. Urzędnicy siedzieli już przy biurkach.

Colm wyrwała się wreszcie z jego objęć.

- Panie Dillon, ja...

- Nie powinna pani podnosić głosu. Mogą pomyśleć, że jest pani zdenerwowana. -Wskazał gestem na personel.

- Co? - Rozejrzała się i stwierdziła, że część urzędników obserwuje ich uważnie.

Pacer wziął ją pod ramię i wyprowadził z windy.

- Bardzo przyjemne biuro - powiedział uprzejmie.

- Cieszę się, że się panu podoba.

- Znowu boli panią głowa? Mówi pani przez zęby.

- Panie Dillon!

Wszystkie głowy w sekretariacie obróciły się w ich kierunku.

- Znowu na nas patrzą - stwierdził ironicznie Pacer. - Drzwi windy powinny znajdować się w pani biurze.

- Co?-Spojrzała na niego wilkiem. Och, niech już pan sobie idzie, dobrze?

Z wysoko podniesiona, głową ruszyła wzdłuż długiego rzędu biurka do korytarza, który prowadził do jej gabinetu. Otworzywszy drzwi, wpadła do sekretariatu. Z błyskiem złości w oczach rzuciła:

- Jane! Żadnych telefonów.

- Tak jest, panno Fitzroy. - Jane szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w kogoś znajdującego się za plecami Colm. - Ktoś stoi za panią.

- Spław go.

- Ja? Nie mogę, proszę pani. To zbyt ryzykowne - uśmiechnęła się Jane.

- Tchórz - mruknęła Colm, spojrzawszy z ukosa na zazwyczaj sprawną sekretarkę. Widać Jane po prostu zgłupiała.

- Tak jest, proszę pani. Dzień dobry - zwróciła się do Pacera, cedząc słowa jak typowy mieszkaniec Houston. - Nazywam się Jane Sethwaite.

- Witam. Nazywam się Pacer Creekwood Dillon.

- Bardzo fajne nazwisko.

- Jane!

- Tak jest, proszę pani. Do widzenia, panie Dillon.

- Jane, nie przejmuj się mną. Znajdę sobie jakieś krzesło i poczekam na spotkanie. Masz kawę? Nie jadłem jeszcze dzisiaj śniadania.

- O Boże! To najważniejszy posiłek! - Jane skoczyła na równe nogi i wybiegła z gabinetu.

- Jane! - Colm wyjrzała za sekretarką, która już pędziła korytarzem.

- Spokojnie - powiedział Pacer. - Z tych nerwów nabawi się pani w końcu kłopotów.

Schwyciła stojącą na biurku Jane wagę do listów.

- Nie jestem zdenerwowana.

- Proszę pozwolić sobie pomóc - zaproponował, patrząc niespokojnie na wagę. - Czy to jest poczta?

- Nie. Tak. Proszę tego nie dotykać. Co pan robi?

- A pani znowu.

- Co znowu? - Colm niemal przygryzła sobie język.

- Mówi pani jak pistolet maszynowy. Strzela pani pytaniami jak prawdziwą amunicją. Widocznie ma to już pani we krwi.

- Przecież już powiedział pan, że zadaję zbyt dużo pytań. Czy zawsze musi pan prowokować?

- To również.

- Nie mam czasu na takie rzeczy.

- Niech pani tak nie zgrzyta zębami. Rachunki za dentystę będą za wysokie.

- Panie Dillon, czy może pan...

- Mówienie z szybkością karabinu maszynowego nie pasuje do stylu południowców. To nieteksańskie, panienko. Czy możemy wejść do środka? - Pchnąwszy drzwi do gabinetu, otworzył je, a następnie ruchem ręki zaprosił do środka.

- Pan podrywa mój personel - stwierdziła, przechodząc koło niego dumnym krokiem. Co się stało z jej chłodem, który potrafiła zachować przy innych? W jaki sposób udało się Dillonowi przebić przez jej pancierz ochronny? Zignoruje go, będzie się zachowywać, jakby go w ogóle nie było w gabinecie. Usiadła przy biurku i zaczęła wyciągać dokumenty z teczki.

Pacer oparł się udem o róg biurka.

- Czy jest pani podobna do wielkiego Colma Fitzroya, który założył królestwo biznesu?

Colm postanowiła go całkowicie zignorować, lecz wspomnienie o ukochanym dziadku naruszyło barierę ochronną.

- Myślę, że tak. Wujek mówił, że moja matka była tego zdania.

Pacer zauważył pełen zadumy uśmiech.

- Niektórzy nawet uważają, że jestem podobna do jego ojca, Caleba Fitzroya.

- Stary, cwany złodziej, jeśli dobrze pamiętam.

Colm roześmiała się, ujrzała go w nowym świetle.

- Chcę powiedzieć, że ja również nie jestem zbyt ortodoksyjna. W rodzinie nikt poza mną nie ma takiego koloru oczu.

- Szafiry morskiego koloru - wymruczał, wpatrując się w jej oczy. Czy dostał już obsesji na punkcie Colm Fitzroy?

Colm podniosła się i podeszła do przeciwległej ściany, by włączyć lampę oświetlającą dwa obrazy.

- To jest mój pradziadek Caleb, a to dziadek Colm. Moja matka, Adaira Fitzroy, odziedziczyła po nich wszystko. A teraz to jest moje i niczego nie sprzedam. - Colm odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - I nie ustąpię nawet na cal, będę walczyć z panem w sądzie.

Wzruszył ramionami.

- Ma pani do tego prawo.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Jane, trzymając w rękach srebrną tacę. Patrząc na Pacera, powiedziała z promiennym uśmiechem:

- Przygotowałam dla pana świeży sok z pomarańczy i grape-fruitów, ciepłe rogaliki, masło w kostkach i dżem. Oczywiście jest też kawa. Czy to wystarczy?

- Jane, jest pani wspaniała. Po prostu jest pani skarbem. - Uśmiechnął się i wziął od niej tacę. - Dziękuję.

- Było mi bardzo miło, panie Dillon.

Gdy Jane zamknęła za sobą drzwi, Pacer zwrócił się do Colm:

- Przyłączy się pani do mnie?

- Nie. Rzadko jem rano.

Postawił tacę na owalnym stoliku stojącym przed kanapą. Następnie podszedł do Colm i chwycił ją w ramiona.

- Trochę soku i rogaliki, to na pewno pani nie zaszkodzi.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Postaw mnie na podłodze.

- Oczywiście, kochanie. Gdy tylko znajdziemy się na kanapie.

Obszedł stolik i usiadł z Colm na kolanach.

- Tak jest dobrze.

Próbowała się wyrwać, lecz objął ją jeszcze mocniej.

- Muszę zauważyć, kochanie - powiedział spokojnie - że cudowne ruchy, które wyczyniasz swym wspaniałym tyłeczkiem, wywierają na mnie wrażenie.

- Co? - Zesztywniała i wyprostowała plecy. - Puść mnie.

- Skoro nalegasz. Choć przyznam, że osobiście lubię to uczucie.

- Panie Dillon, przyszedł pan tu w sprawach służbowych.

- Twój głos mnie oszalał. - Pocałował ją w ucho, następnie zdjął z kolan i posadził obok siebie.

- Napij się - powiedział, nalewając do szklanki soku pomarańczowego. Potrzebujemy dużo witaminy C.

- Nie jesteś lekarzem. - Wypiła łyk lodowatego soku, co zmroziło jej gardło.

- Bardzo chciałbym się tobą opiekować - powiedział łagodnie.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- To dlaczego tak się marszczysz?

Nalał dwie filiżanki kawy i wzruszył ramionami.

- Nie jestem zbyt uczuciowy, kochanie. Uwielbiam jedynie żony przyjaciół. Kocham je z całego serca.

Colm przeszył ostry ból. Co ją obchodzi, ile miał kobiet? Przecież był dla niej nikim. Zakrztusiła się, pijąc sok.

- Wpadło nie tam, gdzie trzeba? - zapytał, klepiąc ją po plecach.

- Dosyć tego. - Colm głęboko westchnęła i wzięła posmarowany masłem rogalik, który jej podał.

Podczas posiłku żadne z nie odezwało się nawet słowem.

- No i co, czyż tak nie jest lepiej? - zapytał Pacer, gdy wysączył kawę.

- Zachowujesz się jak niania.

- Znowu zdenerwowana? Podać aspirynę?

- Nie boli mnie głowa i...

Drzwi uchyliły się i Jane wsunęła głowę.

- Proszę pani, spotkanie zaczyna się za pięć minut.

- O Boże. Muszę przejrzeć notatki. - Colm skoczyła na nogi.

Pacer podszedł do biurka.

- Czy mogę pomóc?

- Nie. Jesteś wrogiem, który próbuje wdrzeć się do mojej firmy.

- To nieprawda. Colm, mamy waszą odpowiedź na naszą propozycję, i ty o tym wiesz. Została udzielona w obecności waszych i naszych prawników.

- Nie sprzedam. Nie chcę podejmować ryzyka, że wyrzucicie moich ludzi na ulicę z powodu programu oszczędnościowego. Ja wiem i ty wiesz, że pierwszym poleceniem w dniu przejęcia kompanii będzie: Zwolnić personel.

- W naszej ofercie nie ma żadnych dowodów na to, że jesteśmy łupieżcami. Czytaliście naszą propozycję, wiecie, jakie mamy plany...

- A ty nie wiesz, ile świństw można zrobić pod płaszczykiem prawa? - Przygryzła wargę, obserwując, jak jego twarz tężeje, a błękitnosrebrzyste oczy zwięzają się i nabierają metalicznego blasku.

- Nie jesteśmy oszustami, panno Fitzroy. Nie musimy.

- Nie myślałam o panu...

- Nieprawda.

Wzięła głębki wdech i uniosła podbródek.

- Zresztą nieważne. Nie sprzedam. To moja firma i chcę, by ludzie z nią związani dostali to, co im się należy.

- Z oświadczenia, które widziałem, wynika, że uważa pani, iż najlepszym sposobem osiągnięcia tego celu będzie realizacja rozdziału jedenastego... czyli ogłoszenie upadłości.

Zdenerwowana jego oczywistą drwiną, odpaliła:

- Nie mówisz jak kowboje z Oklahomy, których znałam.

- Moja matka była z plemienia Creek i jestem z tego bardzo dumny. A tak się złożyło, że mój ojciec również szczyił się pochodzeniem matki, choć był czystej krwi Irlandczykiem. Oboje byli dumni z tego, co robili.

- Wyraziłam się głupio i małostkowo. Nie chciałam, żebyś tak mnie zrozumiał. - Poprawiła pasemko włosów, które wysunęło się z koka.

- Przepraszam przyjęte. Dlaczego pchasz swą firmę do bankructwa?

- Nigdy nie spotkałam Indianina o srebrnych oczach i włosach.

- Nie? Zapewne ucieszy cię informacja, że moi kuzyni mają ciemne włosy. A teraz powiedz, dlaczego próbujesz zniszczyć swą kompanię?

- Bzdura! - Dotknięta do żywego miała ochotę go uderzyć. I to mocno. Powstrzymała się jednak i zaczęła upychać do teczki potrzebne dokumenty.

- Wierzę w sprawiedliwość.

- I w amerykański sposób życia. Zachowujesz się jak żywa reklama.

- Pan nie wierzy w sprawiedliwość, panie Dillon?

- Oczywiście, że tak. Ale jestem biznesmenem. Nie wierzę w praktyki fiskalne typu kamikadze.

Colm pochyliła się nad biurkiem, zaciskając pięści, tak że zbieleły jej kostki:

- Wynoś się stąd natychmiast. I zabieraj swoją cholerną umowę z...

Jane otworzyła drzwi i spytała:

- Czy wiecie państwo, że już się spóźniliście na spotkanie?

- Cholera! - Colm obróciła się i sięgnęła po teczkę, tracąc przy tym równowagę. Zachwiała się, oparła ręką o fotel na kółkach, który odjechał na bok, a ona poleciała na podłogę.

- Do licha! - Pacer, podnosząc ją, wyszeptał:

- Przestań walczyć.

- Mój Boże, jaki on jest silny. Prawda, panno Fitzroy? - powiedziała rozmarzona Jane.

- Puść mnie - wycedziła przez zęby Colm. Zrobił to tak szybko, że o mało się nie potłukła. - Drań.

- Chciała pani, żebym puścił - odparł zimno. - Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego nie ma pani teksańskiego akcentu?

- Nie pana interes.

- To dlatego, że uczęszczała do szkoły w East - powiedziała Jane z oczami wlepionymi w Pacera.

- Dziękuję, Jane. -I, uśmiechnąwszy się ironicznie do Colm, zapytał: - Idziemy na to spotkanie?

Wypadła przez drzwi jak szalona, rzucając mordercze spojrzenie Jane, która wciąż wpatrywała się w Pacera rozmarzonym wzrokiem.

Na posiedzeniu specjalnym rady omal nie doszło do eskplozji, gdy Colm w zagajeniu stwierdziła, że nie ma zamiaru sprzedać spółce AbWenDil swojej firmy. Choć zastępcy próbowali ją wspierać, wielu członków rady chciało usłyszeć, co na ten temat powie Pacer.

Niewiele zmieniły dwie godziny ostrej dyskusji. Sytuacja była patowa.

Pacer, wychodząc z pokoju rady, podążył za Colm.

- Chodź ze mną na kolację.

- Nie. - Obróciła się, chcąc spojrzeć mu w twarz. -

Mam jeszcze coś do zrobienia, panie Dillon. Walka z drapieżnikiem pochłania czas i energię. Przepraszam.

- Rozumiem. - Patrzył, jak odchodzi korytarzem.

Sztywność ruchów nie zmniejszyła w żaden sposób powabu jej ciała.

- Colm Fitzroy, jesteś zbyt piękna - mruknął pod nosem zachwycony i rozdrażniony zarazem.

W hotelu okazało się, że dzwonił Dev Abrams. Pacer wykręcił numer biura w Nowym Jorku.

- Dev? Co robisz w mieście? Co się stało?

- Nic takiego. Wracamy z Felicity w góry za parę dni. Mojej pani dokuczają upały.

- W ciąży to się zdarza. - Pacer zachichotał. - Myślałem, że dwoje dzieci wam wystarczy.

- Też tak myślałem. Jednak Felicity ma inne zdanie w tej sprawie.

Pacer usłyszał zatroskanie w żartobliwym na pozór tonie głosu przyjaciela.

- Nie przejmuj się, Dev. Na pewno nic nie jest Felicity.

- Chciałbym, żeby tak było. Zaczekaj chwilę. Con jest w biurze. Odkładam na moment słuchawkę.

Po chwili Pacer usłyszał głos Cona.

- O co tu chodzi? Znalazłeś w Houston dziewczynę swoich marzeń?

Cisza.

- Pace? - Zapytał Dev ostrym głosem.

- Opowiedz nam - zażądał Con.

- Colm Fitzroy jest całkiem, całkiem... i do tego mnie

nienawidzi - powoli wydusił z siebie Pacer. - Zły początek. Przestańcie się śmiać, osły.

- Uwielbiam to - powiedział Dev. - Wygląda na to, że jedziemy teraz na tym samym wózku, Con.

- Oj, jedziemy, Dev, jedziemy - dorzucił Con.

- Ona nie ma zamiaru sprzedać - przerwał im Pacer.

- Co? Musi sprzedać. Mamy potwierdzoną zgodę.

- Przykro mi, ale chce z nami walczyć.

- Ściągnij ją do Nowego Jorku, Pace. Musimy z nią pogadać. Na nasz koszt. Zaproś ją, choćbyś miał stanąć na głowie.

- Dev, nie wiem, czy wywarłoby to na niej odpowiednie wrażenie. Jest damą szczególnego rodzaju.

Con stwierdził spokojnie:

- Łatwo dojdziemy do porozumienia, nasze żony są takie same.

- Aha, zaczynam rozumieć, co was wciągnęło. Nie lubię tego.

- To nie takie łatwe - powiedział Dev.

- Ściągnij ją tutaj, Pacer.

- Nie sądzę, by zechciała przyjechać.

- Dobrze, spróbuj chociaż.

- Zobaczymy.

Colm pracowała do końca dnia jak szalona. Zrealizowała wspianą umowę, jednak niezależnie od tego, jak bardzo pogrążyła się w statystykach i liczbach, nie mogła pozbyć się myśli o Pacerze Creekwoodzie Dillonie.

Nigdy do tej pory nie straciła samokontroli, jeśli spotkała sympatycznego czy nawet intrygującego mężczyznę. Jako dziecko przysięgła sobie, że gdy już zacznie sama decydować o swoim życiu, żaden mężczyzna nie będzie nią kierował ani manipulował. I od czasu gdy dostała

pierwszą pracę w wieku szesnastu lat, zawsze była niezależna.

Stoczyła ciężką walkę, by wyrwać się z więzów nałożonych przez ojca. Vince Collamer zawsze sprawował kontrolę nad wszystkim i wszystkimi, którzy byli od niego zależni. Gdy córka zaczęła mu się sprzeciwiać, wzmógł nacisk, nie pozwalając jej zapomnieć, że chciał mieć syna. I że ona nigdy nie będzie dostatecznie dobra. Z pewnych względów walka z ojcem była dobrym treningiem. Nauczyła ją, co trzeba robić, by przeżyć w świecie biznesu.

Colm nauczyła się oddzielać uczucia od dążeń i kształtować życie tak, by osiągać zamierzone cele. Decyzja, by pozostać sobą bez względu na koszty, bardzo wcześnie stała się w grze *raison d'etre**. I wygrała. Dyplom w dziedzinie biznesu został uwiarygodniony pracą w dwóch powszechnie znanych kompaniach. Choć inni uważali, że po skończeniu studiów będzie pracować w firmie Fitzroy, Colm uznała, że trudniejszym wyzwaniem i większą nagrodą może być praca na obcym terenie. Kiedy po śmierci ojca przejęła firmę Fitzroy, stwierdziła, że doświadczenie z pracy w innych przedsiębiorstwach bardzo się jej przydaje.

Pacer Creekwood Dillon nie zaburzy rytmu jej pracy. Nie pozwoli mu na to.

Pacer Creekwood Dillon zachwiał wszystkimi jej uprzedzeniami na temat mężczyzn, zaburzył wszystkie uczucia, które umiała utrzymać pod kontrolą. Wyrzucił to wszystko przez okno. Do diabła z nim!

Miły, choć szorstki. Skomplikowany, a jednak trochę prymitywny. Kim był? Czym był? Czy ktokolwiek to

* *Fr. - racja bytu.*

wiedział? Nie! Nie będzie o nim myśleć. Ma za dużo pracy.

Gdy Colm podniosła wreszcie głowę znad biurka, Jane i reszta pracowników byli już dawno w donmach. Przeciągając się stłumiła ziewnięcie i sięgnęła po teczkę.

Gdy nadszedła winda, oparła się ze znużeniem plecami o ścianę i z zamkniętymi oczami zjechała na dół do garażu. Weszła do słabo oświetlonego pomieszczenia i skierowała się do samochodu. Usłyszawszy szelest, zdrętwiała. Pewnie ktoś z ochrony. Przypomniawszy sobie o tym, że Pacer radził wzmocnić strażę, ostrożnie zbliżała się do samochodu. Instynktownie napięła mięśnie, gotowa do walki lub ucieczki.

Nagle silne ręce objęły jej ramiona.

- Nie obawiaj się- powiedział Pacer.

Wstrząśnięta spojrzała na niego.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam.

Stali obok siebie, nic nie mówiąc, a ich oddechy były jedynym dźwiękiem w niemal pustym garażu.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział. - Dobrze się czujesz?

- Ty naprawdę poruszasz się bardzo cicho.

Pacer Creekwood Dillon był prawdziwą zagadką. Do tego często napędział jej strachu.

- Może pójdziemy do mojego hotelu, wykąpię się i pogadamy o kolacji?

Nie umiała się zdecydować.

- Dobrze. Mam tu samochód.

- Dlaczego to powiedziała? Był przecież wrogiem.

Z drugiej strony może powinna lepiej poznać swego przeciwnika.

- Czy masz jakieś szczególnie ulubione potrawy? - Zadowolone promieniowało z niego. Będą razem.

- Możemy zjeść u mnie. Moja gospodyni na pewno będzie coś miała. „Cholera - pomyślała - moja choroba nasila się.”

- Brzmi obiecująco - mruknął Pacer, obejmując ją ramieniem. „Lubię mieć z nią bezpośredni kontakt” - pomyślał.

Gdy zbliżali się do samochodu, rozglądał się wokoło, trzymając rękę na jej ramieniu.

Strażnik na obchodzie powinien już się pojawić, a nie widziałem nikogo.

- Jesteś przezorny, prawda?

- Bardzo.

Gdy podeszli do samochodu, otworzyła drzwi.

- Chcesz, żebym prowadził?

- Nie, ja poprowadzę. Powiedz tylko, do którego hotelu. Dlaczego jesteś taki podejrzliwy? - Skierowała samochód w kierunku rampy, wjechała na górę i znaleźli się na ulicy.

Pacer podziwiał wprawę, z jaką prowadziła samochód. Jechała szybko, łagodnie i sprawnie.

- Miałś dobrego nauczyciela.

Uśmiechnęła się.

- Uczył mnie wujek Henry. A inny wujek, Rance Caleb, pozwalał mi jeździć pick-upem po całym ranczo...

Zamikła. - Pacer spojrzał na nią uważnie. Co za ranczo?

W jej głosie, gdy mówiła o tym, słyszał jakiś ból. Zamyślił się nad tą piękną kobietą siedzącą obok i zdziwił się, jak bardzo interesują go najdrobniejsze szczegóły z jej życia.

- Powiedz, dlaczego jesteś tak podejrzliwy?

- Instykt... wychowanie... doświadczenie... -Wzruszył ramionami.

Colm skinęła głową i nic nie powiedziała. Rozumiała potrzebę zachowywania ostrożności. W jej życiu zdarzy-

ły się wypadki, o których chciała zapomnieć. Ostatnie lata były jednak całkiem niezłe.

Hotel Pacera znajdował się niedaleko od Galleria, więc jazda trwała krótko.

- Zaraz wracam - powiedział, gdy sięgnęła do klamki.
- Chyba że chcesz mi towarzyszyć.
- Zaczekam tutaj.
- Oj, lubię ten uśmiech. Możesz powtórzyć.
- Pośpiesz się, bo odjadę.
- Będę z powrotem, nim zaczniesz za mną tęsknić.
- To by chwilę potrwało.

Zadrzała, gdy się roześmiał. Przyglądała mu się, jak szedł szybkim krokiem w stronę wysokiego budynku. Był spokojny. I mimo wysokiego wzrostu potrafił z łatwością dostać się do strzeżonego garażu firmy Fitzroy. Może rzeczywiście, jak sugerował, powinna wzmocnić strażę. Jutro zadzwoni do Chalmersa, naczelnika ochrony, i porozmawia na ten temat.

Nawet Jane uważała, że Pacer Dillon jest wyjątkowy. Colm zamyśliła się. Chyba ma rację. Jego pewność siebie musiała pociągać kobiety. Czy wspomniał coś o tym, że jest żonaty? Poczula skurcz żołądka i zaraz wytłumaczyła sobie, że to chyba jakaś niestrawność.

Colm przymknęła oczy i potrząsnęła głową. Pacer nie był odpowiednim partnerem. Wytyczyła już sobie drogę życiową i miała zamiar nią podążać. Ale był z niego kawał mężczyzny. Cóż złego w tym, że spędzi z nim wieczór? Mogła sobie pozwolić na małe odstępstwo. Nie mogła zaprzeczyć, że gdy byli razem, strzelały między nimi iskry zmysłowości. Za każdym razem, gdy jej dotykał, musiała walczyć z sobą, by nie rozplynać się w jego ramionach. A gdyby ją pocałował...

- Senne marzenia?

Otworzyła oczy i ujrzała, że Pacer stoi przy samochodzie.

- Już jest wieczór - odpowiedziała z lekka zachrypłym głosem, przeganiając romantyczne myśli.

- No i jestem. - Wślizgnął się do samochodu, ich ramiona się zetknęły. Fala gorąca, spowodowana dotykiem, wywołała w niej dreszcz.

- Szybko się uwinąłeś - zauważyła, spoglądając na niego spod oka. Ubrany w dzinsy i beżową, gładką koszulę bawełnianą wyglądał elegancko i na luzie. Która l warz Dillona jest prawdziwa?

- Nie czekałem na windę, pobiegłem po schodach. Nie był jednak zdyszany.

- Gdybyś spadł, musielibyśmy spędzić wieczór w szpitalu.

Upewniwszy się, że ma wolną drogę, włączyła się do ruchu.

- W szpitalu? Nigdy.

Ostre brzmienie głosu sprawiło, że spojrzała na niego.

- Dlaczego tak bardzo boisz się szpitala? - Wyczuła, jak się od niej oddala, jak cały tężeje, choć nie zrobił najmniejszego ruchu.

- Byłem w Wietnamie - wyrzucił z siebie.

- Zostałeś ranny? Dlatego masz uraz?

- Poniekąd. Kilka razy byłem pacjentem.

Zawahała się, myśląc, dlaczego stało się to dla niej nagłe takie istotne, dlaczego chce wiedzieć o tym mężczyźnie coś więcej. Zresztą nieważne, jakie są powody. Musi się dowiedzieć.

- Opowiedz mi - poprosiła.

- Przez jakiś czas pomagałem prowadzić szpital pewnej lekarce - powiedział bezbarwnym głosem, patrząc prosto przed siebie. - Przygarnialiśmy bezdomne dzieci blakające się po ulicach w Sajgonie, było ich mnóstwo.

- Tylko wy dwoje zajmowaliście się tymi dziećmi?

- Czasem ktoś nam pomagał. Moi przyjaciele przyno-

sili żywność. Gdy Amerykanie opuścili Sajgon, potrafiłem sam zdobyć zaopatrzenie.

- Ale co się stało?

- Po odejściu Amerykanów zdarzały się jeszcze czasem potyczki. Pocisk rozbił piec gazowy w kuchni. Wyszadziło cały budynek... - Głos Pacera zamarł.

- Dzieci? Lekarka?

- Tak.

- Czy lekarka była dla ciebie kimś bliskim?

- Była moją żoną.

- Och, tak mi przykro.

- Dziękuję. - Pacer nie mógł uwierzyć, że opowiedział jej o tym wszystkim. Nawet Con i Dev nie mieli pewności, czy był żonaty. Nie mógł rozmawiać o Marie, pół Francuzce, pół Wietnamce. Była piękną dziewczyną. A teraz Colm sprawiła, że to wszystko wypłynęło z niego.

- Rzadko o tym opowiadasz, prawda? - zapytała.

- Tak.

- I nie ożeniłeś się po raz drugi?

- Nie.

Dłonie Colm zacisnęły się na kierownicy. Czowała jego cierpienie, jego żal. Przeszyły ją i wzmogły lęk przed odrzuceniem, który się pojawił, gdy usłyszała, że ten jasnowłosy Indianin był kiedyś bardzo zakochany. A może jeszcze raz?

- Bardzo ci współczuję - wyszeptwała.

- To było bardzo dawno.

Pacer patrzył przez boczną szybę, nie widząc świateł Houston. Był wstrząśnięty. Po raz pierwszy od powrotu z Dalekiego Wschodu nie mógł przypomnieć sobie twarzy Marie. Przez cały czas tęsknota za nią nie dawała mu spokoju, lecz teraz ból minął. Wściekłość, która trawiła go na początku, z czasem osłabła, lecz jednak wciąż się

w nim tliła. Zdziwiło go i zaniepokoiło, gdy nagle stwierdził, że minęła. A w jej miejsce...

Marie była cudem, dawała mu spokój i radość. Natomiast Colm Fitzroy budziła w nim dziką moc. Przebywanie z nią wyzwalało w nim nie znane dotąd przejawy barbarzyństwa i łagodności.

Był człowiekiem wyjątkowo zrównoważonym. Lata determinacji i żelazna wola wykształciły w nim umiejętność samoobserwacji, dostrzegania własnych celów, nawet marzeń. Budował swoje życie bardzo ostrożnie, pozwalając, by niektórzy dzielili je z nim, lecz wobec większości ludzi był zamknięty. Taką drogę sobie wybrał. Samokontrola, panowanie nad przeszłością i życiem. Kontrola! Ale nie z Colm Fitzroy. Zachwiała nim. To mu się nie podobało.

Popatrzył na nią, gdy parkowała samochód w garażu pod budynkiem, w którym mieszkała. Urok dziewczyny ogarnął jego serce, dotarł do różnych ciemnych zakątków. Na czym polegała jej moc? Kim była? Wyjątkowo piękna, o doskonale wymodelowanym ciele. Uparta, dynamiczna - gdy była zła, powietrze wokół niej aż iskrzyło. Nie była łagodna i posłuszna, a mimo to łatwo można było ją zranić. I dostrzegł łagodność, która przemieniała ostre spojrzenie szafirowych oczu w aksamit.

Przez ile warstw trzeba się przebijać do Colm Fitzroy? Chciał odkryć i poznać tajemnicze zakątki jej duszy.

Wyciągnąwszy ręce, przeniósł Colm nad konsolą i posadził sobie na kolanach. Jego wargi przywarły do jej protestujących, mówiących coś niewyraźnie ust.

Colm, w pierwszej chwili zbyt zaskoczona, podjęła na koniec walkę, lecz na próżno. Obejmujące ją ramiona były jak ze stali. A po chwili, gdy uległa urokowi jego ust, zapomniała o obronie.

Pocałunek trwał i trwał, twarde usta na jej delikatnych

wargach domagały się, by wpuściła go dalej, aż doszło do pojedynku i walki języków. Namietność wzrastała jak fala przyływu, pochłaniając ich oboje.

Przez Colm przebiegły uczucia, których nie znała nigdy wcześniej. Gniew i namietność walczyły w niej, aż w końcu gniew ustąpił. Poczwała ogień w żyłach, całe jej ciało było rozpalone. Wszystkie inne emocje odeszły. Zostały tylko rozżarzone pragnienia, pożądanie i potrzeby, o których nie miała najmniejszego pojęcia, że w niej tkwią. Samoopanowanie uleciało. Pochłaniała ją namietność. Pacer Creekwood Dillon to był prawdziwy żar namietności. Czwała się tak, jakby ktoś posadził ją wprost na rozżarzone palenisko.

Pacer uniósł na chwilę głowę.

- Dzięki za to, że pomogłaś mi pochować ducha z przeszłości. - I jego usta z powrotem przylgnęły do jej ust, rozpalając na nowo ogień.

Colm słyszała go jak przez mgłę. O co mu chodzi? Jaki duch? Jej rozum walczył z uczuciami. Nie daj się! Zwalcz ten pociąg! Namietność nie jest dla ciebie. Uczucia muszą być kontorlowane.

Wszystkie wymagania intelektualne zniknęły, kłębiące się emocje usunęły je na bok. Colm pochłonięta, uniesiona nie znanym jej wspaniałym wirem namietności milczała zatrwożona.

- Kochanie - wyszeptał Pacer - jesteś taka piękna.

- Nie, jestem głodna. - Otumaniona, wytrącona z równowagi, uchwyciła się przyziemnych potrzeb. - Kolacja.

- Dostałaś zadyszki. - Umysł Pacera był rozpalony nowymi wrażeniami. Pożądał Colm, jednak gwałtowna potrzeba uchronienia jej przed najmniejszym nawet drażnieniem klóciła się z pragnieniem potrząśnięcia nią za to, że pozbawiła go samokontroli.

- Robię ćwiczenia gimnastyczne - wymruczała. Jej

powieki opadły, jakby były obciążone ołowiem. - Muszę iść. - Pomyślała, że Dillon znajduje się chyba na liście poszukiwanych przez FBI. I to na pierwszym miejscu!

- W porządku. - Dotykając jej, miał poczucie słodkiego umierania. Jego libido było już przeciążone.

Gdy ją przesunął, chcąc umożliwić wyjście z samochodu przez drzwi po swojej stronie, nie mogła nie zauważyć jego pobudzenia.

- Widzisz, jak mnie rozgrzałaś, panno Colm Fitzroy.

- Nadpobudliwość gruczołów - odpowiedziała.

- A może jednak coś więcej.

- Pora coś zjeść. - Postawiła stopy na betonie, ale nie była pewna, czy drżące nogi ją utrzymają. Umysł i ciało miała całkowicie rozstrojone. Pacer Creekwood Dillon w swych ustach ukrywał niebezpieczny narkotyk. Szaleństwo, two imię Colm Fitzroy.

Naciskając guzik windy, wpatrywała się w zamknięte drzwi, jakby jej wzrok mógł je otworzyć.

- Uważaj, kochanie, przedziurawisz palcem ścianę.

- Nie jestem twoją kochanką.

- Myślę, że jednak jesteś.

Przekreśliła głowę tak, jak on zwykł to robić.

- I to tak cię złości? Niedobrze, proszę pana. - Dobry humor przebijał przez złość, którą do siebie czuła. Przez chwilę ogarnęła ją moc namiętności, która i jego omotała swą pajęczyną.

Zwycięstwo było krótkotrwałe. Mogła wytrącić Pacera Creekwooda Dillona z równowagi, ale płaciła za to również utratą samokontroli, która tak wiele dla niej znaczyła. Kim był? Znalazła bezpieczniejszy temat do rozmowy i natychmiast go podjęła.

- Dlaczego o twoich współnikach można coś usłyszeć albo przeczytać, a ty jesteś taki tajemniczy?

- Nie dla ludzi, którzy są dla mnie ważni. - Gdy weszli

do kabiny, ujął ją za ramiona i mocno przytulił. - A ty jesteś dla mnie ważna - powiedział łagodnie.

Poczuła, jak jej nogi robią się miękkie. Gdyby nie mocny chwyt Pacera, upadłaby na podłogę.

- Pchasz się na mnie.

- Co, narzekasz?

- Nie.

- Mówisz to ze względu na mnie?

- Nie!

- Nie musisz krzyczeć, kochanie. Słyszę cię dobrze. -

Pochylił się i zaczął całować jej ucho, delikatnie pieszcząc językiem czułe miejsce.

Drzwi windy otworzyły się i Colm wyskoczyła do małego holu, w którym znajdowało się troje drzwi. Wkładając klucz do zamka środkowych drzwi nie mogła opanować drżenia ręki.

- Bardzo miło tutaj - powiedział Pacer. - Ostatniego wieczoru nie miałem okazji przyjrzeć się wszystkiemu.

- Dziękuję. Od wujka wiem, że moja matka brała udział w projektowaniu tego budynku. Była bardzo mądra.

- Jaka matka, taka córka. - Podążył za nią do mieszkania i rozejrzał się po foyer, podziwiając marmurowe podłogi i ściany pokryte boazerią. - Wygląda jak mieszkanie na Manhattanie. Bardzo mi się podoba teraz, gdy nie ma kręcących się wszędzie ludzi.

Serce Colm na chwilę zmieniło swój rytm. Ten facet był cholernym uwodzicielem.

- Gdy się tu wprowadziłam, było urządzone zgodnie z miejscowymi zwyczajami - odpowiedziała lakonicznie.

- Podobają mi się zmiany, które zostały wprowadzone.

- Kiedyś należało do twojego ojca.

- Ściśle mówiąc do firmy. Cały budynek jest własnością firmy Fitzroy. Kiedyś mieliśmy ranczo, na którym się urodziłam, ale zostało sprzedane.

Pacer dostrzegł jakieś napięcie w jej zachowaniu, ledwo maskowany gniew.

- I tkwi to w tobie jak cierń.

- Ranczo stanowiło część mojego spadku, nie było na sprzedaż. - Wzięła głęboki oddech. - Dwa razy próbowałam je odkupić, lecz mnie przelicytowano.

Dostrzegła pobłażliwy uśmiech rozlewający się po twarzy Pacera.

- O czym myślisz?

- Że twój agent nie był zbyt dobry, kochanie. Powiedz, gdzie jest ta posiadłość, i pozwól mi spróbować.

- To nic nie da. Należy do przyjaciół mego ojca. Nie mają najmniejszego zamiaru sprzedawać.

- Gdzie się znajduje? - Pacer wyjął notes z tylnej kieszeni spodni i uniósł pytająco brwi.

Ranczo znajdowało się na zachód od Houston.

- Ale to ci się nie uda. Rozmawiałam na ten temat z prawnikami i sędzią.

- Nie mam wątpliwości. - Zanotował adres. - Mało zostało tak wielkich posiadłości, prawda?

- Jest jeszcze trochę dużych rancz. Może nie tak dużych jak King Ranch, ale ciągle jeszcze istnieją takie miejsca w Teksasie i w innych południowo-zachodnich stanach. - Szła w głąb mieszkania, świadoma obecności Pacera u swego boku. - Ranczo, które należało do Fitzroyów, dawało pracę ludziom w okolicy. W wielu przypadkach to już trzecie pokolenie... - Zagryzła wargę. - Nowi właściciele zwolnili większość ludzi. - Obróciła się i spojrzała na niego. - Tak nie może być. I jest to jeden z powodów, dla którego będę się sprzeciwiać przejęciu firmy. Niektórzy ze zwolnionych ludzi należą już do drugiego lub trzeciego pokolenia pracującego u Fitzroyów. Zwiążali swoje życie z tą firmą.

- Kochanie, ani ja, ani moi współnicy nie jesteśmy twoimi wrogami.

- Nie? To wróć na Manhattan i odwołaj swoją ofertę.

- Nie mogę tego zrobić.

- No właśnie. - Odwróciła się do niego plecami, zaciśkając pięści.

- To nie z naszego powodu czujesz się urażona. Jesteś zła, bo nie masz kontroli nad tym, co się dzieje na ranczo. Mam rację?

Znowu odwróciła się do niego. Jej twarz płonęła, a serce waliło:

- Wielu z tych, którzy stracili pracę i teraz walczą, by utrzymać swoje rodziny, było przyjaciółmi mojej rodziny od pokoleń. I co, mam się przejmować ich trudną sytuacją? - Przygryzła wargę?

- Nie. Jesteś śliczną, wrażliwą kobietą. - Pacer pochylił się i pocałował ją w czubek nosa. - To bardzo miła cecha.

Świat nagle zawirował, po czym równie gwałtownie stanął w miejscu. Colm drżała, jakby stała nad przepaścią, przygotowując się, by dać nurka w nieznaną. Pacer Dillon był jak lawa, przetaczająca się przez nią, przytłaczająca ją.

Odsuwając się od niego, wyjęła jakieś naczynie z lodówki i włożyła do kuchenki mikrofalowej.

- Myślałam, że uda mi się opanować, że potrafię sobie z tym poradzić... i do pewnego stopnia mi się udało. Ale wiele spraw mnie dęczy. To było moje, z tytułu pierworrództwa. „Jestem szalona - pomyślała. - Tak otwierać się przed obcym!"

- I uważasz, że twój ojciec sprzedał ranczo lekkomyślnie?

- Tak.

- Czy uwzględniłaś fakt, że ostatnich dziesięć lat było

ciężkim okresem dla tych, którzy prowadzili interesy związane z ropą i majątkami ziemskimi?

- Tak, uwzględniłam. - Uniosła brodę. - Przejrzałam książki firmy. Ponosiliśmy porażki, ale nie do tego stopnia, żeby potrzebować pieniędzy ze sprzedaży Boru.

Pacer wyprostował się i gwizdnął cicho.

- Boru należało do was? To dla mnie nowość. Moi przyjaciele kupili ładnie procentujący pakiet akcji tego rancho.

Uśmiechnęła się słabo.

- Jedna z najlepszych na świecie linii koni arabskich. Dzięki dobrze przemyślanym krzyżówkom wyhodowaliśmy konia niezwykle szybkiego i wytrzymałego, że nie wspomnę o inteligencji i pięknie.

Kiwnął głową.

- Tak mi mówiono.

Kuchenka mikrofalowa dała znać o sobie i Colm skoczyła jak oparzona.

- Wezmę sos do sałaty i za chwilę kolacja będzie gotowa.

- Co jest?

- Krewetki, jedna z moich ulubionych potraw.

- Brzmi obiecująco.

Nakrywając do stołu w kąciку kuchni, milczeli. Colm podała posiłek i usiadła. Przebiegł ją dreszcz, gdy Pacer przesunął krzesło tak, by siedzieć obok niej, a nie naprzeciwko.

- Dobrze - stwierdził. - Sałata również. Masz znakomitą kucharkę.

- Pina jest córką kobiety, która opiekowała się moją matką. Kiedyś pracowała razem ze swoją siostrą na rancho... - Colm potrząsnęła głową i zamilkła.

- Wiesz co? Pojedźmy jutro na piknik na rancho. Czy możesz zrobić sobie dłuższą przerwę na lunch?

- To daleko - powiedziała, uśmiechnąwszy się na

myśl, że mogłaby znowu zobaczyć swój dom. - Musieli-
byśmy polecieć.

- Mogę wynająć helikopter, umiem latać.

Skinęła głową.

- Dobrze. Na ranczo jest lądowisko dla helikopterów.
Dawno już tam nie byłam. - Nagle stało się dla niej waż-
ne, by Pacer zobaczył miejsce jej urodzenia. - Zrobimy tak.

- Fajnie. A po drodze może uda mi się przekonać cię,
żebyś wpadła do mnie do Nowego Jorku na jakiś tydzień.

- Podniósł rękę, gdy chciała się odezwać. - Tylko nie
mów, jak bardzo jesteś zajęta. Każdy jest. Colm, uważam,
że twoim obowiązkiem jest sprawdzenie naszej oferty.

U nas. To nie jest żadna wroga próba... choć jestem pe-
wien, że już w najbliższej przyszłości mogą takie wystą-
pić. Jesteście w takiej sytuacji, że można was łatwo prze-
jąć, i sądzę, że wiesz o tym. Wasze położenie finansowe
jest tak chwiejne, że jeśli ktoś zaczęłby was na serio przy-
ciskać, musielibyście mu ulec. Macie ograniczone możli-
wości zamiany majątku na gotówkę, a niedługo będzie to
w ogóle niemożliwe.

- Rozumiem, co mówisz. Naprawdę. Ale... Muszę
walczyć po swojemu. Ta firma była w rękach rodziny
matki przez wiele lat i zapewniała utrzymanie setkom ro-
dzin, które zawsze w stosunku do niej były lojalne. Nie
chcę ich wyrzucać po to, żeby robić pieniądze.

- Colm, nawet mi nie przyszło do głowy, żeby podci-
nać firmę. Chcemy rozwijać, a nie likwidować aktywa
trwałe. - Nachylił się do niej: - Przyjedź do Nowego Jor-
ku jako nasz gość. Pokażemy ci dane. Weź z sobą, kogo
chcesz, jako własnego eksperta.

Zawahała się:

- To chyba jest uczciwe.

- Jest. Weź z sobą swego wiceprezesa.

- To mogłoby być zajęcie dla wuja Henry'ego. Nigdy

nie miał rodziny, zawsze tylko firma i firma. Jego żona umarła przed moim urodzeniem. Nigdy więcej się nie ożenił.

Pacer usiadł znów na krześle i zaczął się na nim bujać.

- No właśnie. Co może być bardziej uczciwe?

- Nic. - Uśmiechnęła się zaskoczona. - Gdy byłam u Sary Lawrence, mieszkałam przez tydzień w Plaza Hotel. To było wspaniałe.

- Możesz zatrzymać się u mnie. Mam dostatecznie duże mieszkanie.

- Nie. Sądzę, że Plaza wystarczy. Będę mogła wujowi pokazać Central Park i uprawiać jogging.

- Będę chodzić z tobą. Lepiej mieć wtedy towarzystwo.

- Jeszcze nas tam nie ma - zauważyła i roześmiała się, po raz pierwszy od miesiący czując się tak bez troski.

Gdy skończyli kolację, opłukali talerze i wstawili do zmywarki.

- Naprawdę muszę iść spać - powiedziała Colm, zwracając się do niego. - Jeśli mamy pojechać na piknik, muszę być wcześniej w biurze. - Wyciągnęła do Pacera rękę.

Wziął ją i tak pociągnął do siebie, że wpadła mu w ramiona.

- Kochanie, chcę twoich ust, nie ręki.

- Nie jestem twoim „kochaniem” - zdążyła powiedzieć oszołomiona, sekundę później pocałunek Pacera Dillona zakręcił jej w głowie. Objęła go w pasie i przylgnęła do niego. „Do diabła z rozsądkiem! On jest taki ciepły i wspaniały” - pomyślała.

Rozdział 3

- Naprawdę dobrze latasz.

- Dziękuję, madame. Gdzie lądujemy?

Colm pomyślała chwilę i powiedziała:

- Znam ludzi, którzy są właścicielami ranczo. Jak ci mówiłam, byli przyjaciółmi mojego ojca, ale nie mogę powiedzieć, że znam ich dobrze. Może nie korzystamy z lądowiska dla helikopterów i wylądujemy na północ od posiadłości? O, za tym grzbietem. Okay? Ta ziemia należy do Rance'a Caleba. Doglądał ranczo z życia mojego dziadka. - Zaśmiała się z zażenowaniem. - Był jednym z przyjaciół dziadka i zwykł mnie kryć, gdy wpadałam w tarapaty.

- Nie mam wątpliwości, że musiał to robić często.

- Mogę się założyć, że byłam aniołem w porównaniu z tobą.

Uśmiechnął się spokojnie:

- Możliwe.

Roześmiała się, a dźwięk jej głosu wydał się Pacerowi szybkim, słodkim pocałunkiem.

- Uwielbiam twój śmiech - powiedziałai. - Pocałuj mnie i przygotuj się do lądowania.

- Uważam, że to się wzajemnie wyklucza - powiedziała cicho i zadała sobie w duchu pytanie: „Dlaczego mam go całować tylko dlatego, że on tak chce? Czy myśli, że jestem głupia?” Pochyliwszy się do przodu, przycisnęła usta do jego ust, uciszając głos rozsądku, który mówił że jest głupia.

Pacer uniósł niechętnie głowę.

- Kochanie, muszę lądować.

- Co? - Wyprostowała się, mrugając powiekami i spojrzała na pokryte sosnami wzgórze. Ciężko dysząc, czując przyspieszone pulsowanie krwi, zauważyła, jak zręcznie Pacer ląduje na polance niezbyt odległej od drewnianego domu Rance'a Caleba. Pacer Dillon znów wyzwolił jakąś część jej uwięzionej istoty. Powinna go zwymyślać czy błogosławić?

Siwy mężczyzna wyszedł z chaty krytej gontem.

W wymiętoszonym kapeluszu na głowie, z fajką w ustach wpatrywał się w nowo przybyłych. W lewej ręce trzymał dubeltówkę, prawa ręka była na temblaku.

Gdy Colm zaczęła otwierać drzwi, by wyskoczyć na zewnątrz, Pacer objął ją ramieniem i przytrzymał.

- Wyjdę pierwszy. Wygląda, jakby wyszedł na niedźwiedzia.

- Nie bądź głupi. To Rance.

- Nie ma mowy. Wyjdę pierwszy.

Colm nigdy jeszcze nie słyszała tego metalicznego dźwięku w głosie Pacera. Słodkie brzmienie gdzieś zniknęło.

- Ale...

- Zaczekaj chwilkę. - Odblokował drzwiczki i wyszedł na zewnątrz z rozłożonymi szeroko rękoma.

- Rance Caleb, przychodzę jako przyjaciel.

- Nie znam pana.

- Wujku Rance, to ja, Colm. - Colm niemal się wyrwała z pośpiechu, chcąc wpaść między mężczyzn patrzących na siebie jak dwa byki gotujące się do walki.

W tym momencie fajka opadła, lufa strzelby pochyliła się do dołu, a grymas uśmiechu przeciął pomarszczoną twarz jak półksiężyc.

- Colm, dziecko, to ty?

- Tak. Co ci się stało w rękę? - Colm przemknęła obok

Pacera i wpadła w ramiona Rance'a. Nie mógł jej objąć, mając jedną rękę na temblaku, a drugą trzymając strzelbę, lecz próbował.

Pace zrozumiał, jak mocne więzy ich łączyły i rozluźnił się, lecz nie przestawał rozglądać się czujnie po otaczającej ich surowej okolicy.

- Nie sędzę, by przyczyną było mocowanie się z jakimś młodym byczkiem - powiedział cicho.

Stary człowiek rzucił mu spojrzenie z ukosa i Pace wiedział, że go zrozumiał.

- Ma pan rację-powiedział Rance.

- O czym mówicie? - Colm odsunęła się od Rance'a i wędrowała wzrokiem od jednego do drugiego.

- To męskie sprawy, kochanie. - Pace uśmiechnął się, gdy zauważył wypływający na jej twarz rumieniec. - Czy chcesz się przyłączyć?

Mężczyzna musi mieć charakter - powiedział Rance - żeby osiągnąć to, czego pragnie. - Zachichotał z zadowoleniem, gdy Colm go objęła i pocałowała w policzek.

- Pacer, to Rance Caleb. Rance, to jest Pace Creekwood Dillon.

- Indianin, co?

- Tak.

Cień uśmiechu przebiegł przez twarz Rance'a.

- Ganasz za moją dziewczynką, co?

- Tak.

- Nie - odpowiedziała Colm jednocześnie z Pacerem.

- Na to wygląda. - Śmiech Rance'a Caleba był jak brzęczenie komara. Po chwili ucichł, a Rance stwierdził:

- Możecie wejść do domu i rozgościć się na chwilę. Nie chcę jednak, żebyście pozostawali tu zbyt długo. Ta okolica nie jest już dla ciebie, dziecko. Lepiej stąd uciekaj i zabierz z sobą swego przyjaciela.

- Nie. Zabrałam go tutaj na piknik nad stawem.

- Nie można się już nawet zbliżyć do stawu. Wszystko ogrodzone. Muszę zlikwidować resztę mego bydła, bo wyzdycha z pragnienia.

- Ale... ale woda należy do ciebie tak samo jak do Boru. Masz z nimi umowę na piśmie.

- Powiem ci, że to już nie jest ważne. Byłem u adwokatów i pokazałem im dokumenty, ale oni... - Głos Rance'a ucichł, a on sam przeniósł wzrok z Colm na Pacera.

- Lepiej ją stąd zabierz.

Colm spojrzała na staruszkę.

- Złamali ci rękę?

- Nie sądzę, żeby to się im udało. - Rance gwałtownie się odwrócił i wszedł do domu. Colm szła tuż za nim.

- Nie chcę lemoniady, wujku Rance. Powiedz mi, co się stało.

- Niech pan jej powie - spokojnie zażądał Pacer, podążając za nimi.

- Poszedłem do stawu, aby przeciąć to ich cholerne ogrodzenie z drutu, ale złapali mnie i trochę poturbowali. Zadzwoiłem na policję, lecz kiedy przyjechali, w płocie była dziura dostatecznie duża, żeby było mogło przejść.

- Potrzebujemy paru fotografii z powietrza - powiedział Pacer. - Zaraz je zrobię. - Wyszedł z chatki i szybko poszedł w kierunku helikoptera.

- Co? - Colm wyjrzała za nim przez drzwi. - Dokąd idziesz? Poczekaj na mnie. - Wybiegła za Pacerem, Rance podążył za nią. - Stój!

- Kochanie, wróć zanim za mną zatęsknisz. Mam aparat. - Pacer, gdy tylko zablokował drzwiczki, zwiększył obroty silnika i niemal natychmiast znalazł się w powietrzu.

- Pacer Creekwood Dillon! Ląduj! - Colm uniosła dłonie do ust, by zwiększyć siłę głosu, lecz zaraz je opuściła. - Może mu się coś stać - wyszeptwała.

- Martwisz się tym? - zapytał Rance.
- Tak... i zupełnie nie rozumiem, dlaczego.
- Muszę z tobą pogadać, jeśli tego nie wiesz.
- Czy wiesz, że okropnie się śmiejesz?
- Tak mi mówią. Jak długo znasz tego faceta?
- Parę dni.
- Czasami tak się zdarza. - Rance spojrział w niebo. -
Pamiętam, twoja matka zakochała się, jakby trafił w nią
grom...

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, co widziała w moim
ojcu - ostro powiedziała Colm. - Jeśli chcesz, możesz
mnie nazwać nienormalną.

- To nie był twój ojciec. Nigdy się nie dowiedziałem,
kto nim był naprawdę. Wyszła za Vince'a Collamera, ale
nie on był jej wielką miłością.

Colm obróciła się do niego twarzą.

- Wujku Rance, dlaczego nigdy mi o tym nie powie-
działeś?

- Nigdy o tym nie myślałem. To takie ważne dla ciebie?

- Wszystko, czego się mogę dowiedzieć o matce, jest
dla mnie ważne.

- Powinienem był się domyślić. Była dla mnie jak
własne dziecko, przebywała ze mną tyle, co i z twoim
dziadkiem.

- Bo obaj byliście ciągle razem.

- No tak, to najlepszy człowiek, jakiego ziemia nosiła.
A twoja babka... cóż, miała charakter, ale była prawdziwą
damą.

Colm westchnęła.

- Żałuję, że nie znałam babki ani matki. - Spojrzała
w niebo. - Sądzisz, że nic mu się nie stanie?

- Myślę, że poradziłby sobie w norze grzechotnika,
kochana Colm. On jest twardy. Więcej niż twardy. Sądzę,
że jest zestali.

Pacer okrążył ranczo, zachwycając się widokiem. Choć poderwał helikopter zbyt szybko, by się zorientować w kierunkach, to jednak uważał, że staw, o którym mówili, musi graniczyć z posiadłością Rance'a i jest pewnie dostatecznie duży, by zobaczyć go z góry. Miał rację.

Krążąc i zatrzymując co pewien czas helikopter, zrobił szereg fotografii okolic stawu. W płocie otaczającym staw nie było żadnej dziury, przez którą mógłby przecisnąć się człowiek, nie mówiąc o bydle.

Pacer nie był przygotowany na karabinowy ogień, w który dostał się nieoczekiwanie. Lata wojennego doświadczenie zrobiły jednak swoje i automatycznie wykonał manewr uniku, by się wydostać z ostrzału. Ogień kontynuowano, dopóki był w zasięgu, a dwa pociski zarysowały przednią szybę helikoptera.

Parę minut później wylądował na polance obok domku Rance'a. Colm i Rance czekali na niego.

Ledwo otworzył drzwiczki i wyskoczył z kabiny, Colm zawisła na nim.

- Dlaczego poleciałeś beze mnie? - Zaczęła okładać go pięściami.

Rance zakasłał.

- Dziecko, starczy. Zrobisz mu krzywdę.

- Nic nie szkodzi, proszę pana - powiedział Pacer. - Każdy dotyk sprawia mi przyjemność. - Gdy Colm spojrzała na niego, pocałował ją mocno. - Miło mi, że tęskniłaś za mną, kochanie.

- Ktoś do ciebie strzelał? - Rance wskazał fajką na przód helikoptera.

- Tak...

Colm kurczowo chwyciła Pacera za ramiona.

- Kto to był?

- Nie widziałem ich.

Pacer usłyszał warczenie jeepa i odruchowo popchnął Colm za siebie. Niemal w tym samym momencie sięgnął do kabiny helikoptera po broń.

Jeep zbliżał się szybko.

Rance obrócił się i pośpieszył do domku.

Colm widziała, jak jeep przedziera się przez zarośla. Zobaczyła, że mężczyzna stojący z przodu mierzy do nich z karabinu.

Pacer rzucił krótkim łomem, który wyjął z kabiny. Wierzący pocisk zwałił człowieka z nóg jak cios szabli. Jego broń wypadła z jeepa, gdy pojazd stanął z piskiem opon. Kierowca podniósł się, trzymając w ręku karabin.

- Nawet nie próbuj, bo cię zabiję - powiedział Rance. Stał, mierząc z karabinu opartego o zranioną rękę.

- I zrobi to - spokojnie dodała Col m. - Z tego karabinu może trafić muchę na końskim uchu.

Kierowca upuścił broń, nie spojrzawszy nawet na swego nieprzytomnego towarzysza.

- A teraz wolniutko i spokojnie zjeżdż z samochodu - powiedział Pacer. Zbliżył się do intruza tak, by nie stanąć Rance'owi na linii strzału. - Kto cię tu wysłał?

Mężczyzna spojrzał na Pacera, trzymając ręce w górze.

- Mogłeś zranić moją panią - łagodnie powiedział Pacer do obcego. - Nie umiem nawet powiedzieć, jak bardzo to mnie denerwuje. I jeśli będę musiał zadać pytanie jeszcze raz, połamię ci obie ręce.

- Spróbuj. - Nieznajomy jednym szybkim ruchem przykucnął i skoczył na Pacera.

Ten był jednak przygotowany. Wkładając całą swą złość w cios, wyprostował prawą rękę i uderzył mężczyznę, tak że głowa atakującego odskoczyła do tyłu, a on sam opadł bezwładnie na ziemię. - A teraz będziesz gadał, czy spróbujemy czegoś innego?

- Noo, to był cios - stwierdził zachwycony Rance.

- Tak. - Colm wpatrywała się w Pacera. Kolejny raz zastanawiała się, kim i czym on był?

Właściciele Boru nie lubią przyjezdnych - odpowiedział mężczyzna. - Uważali, że helikopter mógł być stąd i postanowili ostrzec pilota, bez względu na to, kim jest. - Mężczyzna, gdy mówił, cały czas rozcierał szczękę. Jego mowa była urywana, robił przerwy, mówienie najwyraźniej sprawiało mu ból.

- A gdyby nie było tutaj helikoptera - zapytał Pacer - czy mieliście zamiar udzielić Rance'owi Calebowi kolejnego ostrzeżenia?

- Kazano mu się stąd wynosić - odpowiedział ponuro mężczyzna.

- To jest ziemia Rance'a - żywo zaprotestowała Colm.

- Według dokumentów, które posiada pan Webster, jest inaczej.

- Milo Webster to oszust - wybuchnęła. - On ukradł ranczo.

Pacer objął ją ramieniem.

- Kochanie, pozwól temu facetowi mówić. No, dalej.

- To wszystko.

- Chyba nie. Chciałbym wiedzieć, dlaczego strzelacie do ludzi, którzy przelatują nad ranczo. Mów.

- Zapytaj pana Webstera. Auu...

Pacer podniósł mężczyznę na nogi i złapał go za szyję. Ten usiłował się uwolnić, z jego gardła wydobywały się chrapliwe dźwięki.

- Pacer! - Colm nie mogła poznać dzikusa, który dusił człowieka Webstera. - Zabijesz go!

- Ciii. Myślę, że on zdaje sobie z tego sprawę - spokojnie powiedział Rance. - Nie sądzę, żeby miał zbyt dużo cierpliwości do kogoś, kto ci sprawia przykrość, drogie dziecko.

- Pacer, proszę.

Pacer obrócił głowę do Colm.

- Co?

- Puść go, proszę.

Mężczyzna opadł jak worek na ziemię, kaszląc i krztusząc się. Gdy mógł już podnieść głowę, spojrzał na Pacera.

- Ja... nic więcej... nie wiem...

- Chyba mówi prawdę- stwierdził Rance.

Pacer odwrócił się do leżącego na ziemi.

- Może. Chyba będzie lepiej, jeżeli pójdę tam i zapytam pana Webstera, o co tu chodzi. Do diabła! - Pacer postawił mężczyznę na nogi. - Rance, zwiąż go. Połóż w cieniu. I zadzwoń na policję. Zaraz wrócę..

- Nie! - krzyknęła Colm - Idę z tobą. Nie próbuj nawet kręcić głową. Nie znasz tych ludzi. A ja znam.

Pacer zawahał się.

- Nie chcę...

- Idę. - Ominęła go, idąc w kierunku helikoptera, i wspięła się na siedzenie pasażera.

- Pozwól jej lecieć, chłopcze. Jest równie twarda jak jej matka i dziadek.

- Rance, poradzisz sobie?

Rance roześmiał się chrapliwie, rzucając okiem to na człowieka, którego przywiązał do drzewa, to na ciągle nieprzytomnego faceta na ziemi.

- No pewnie.

- Zaraz wrócimy.

- Pilnuj pleców. Choć mogę się założyć, że to dla ciebie oczywista sprawa. Nie?

Pacer skinął głową i podszedł do helikoptera. Przez chwilę się zastanawiał, po czym wrócił do Rance'a i wyciągnął z kieszeni kartkę.

- Zadzwoń pod ten numer. Powiedz, że mam kłopoty

i że się spóźnię, ale zadzwonię, gdy tylko będę mógł.
Dzięki.

Gdy znaleźli się w powietrzu, Colm obróciła się do niego, zaciskając pięści.

- Milo Webster był już kilka razy aresztowany, a nawet oskarżony. Zawsze jednak udało mu się jakoś wykręcić.

- Cwaniak z niego.

- Tak.

Pacer spojrział na nią i się uśmiechnął.

- Ja również byłem kiedyś bardzo przebiegły.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Nie boisz się, prawda?

- Nie, ale jestem bardzo ostrożnym facetem.

- To dobrze. - Wskazała na dół, na ziemię. - Tam. To jest lądowisko.

Gdy zaczęli się opuszczać, kilku uzbrojonych mężczyzn wyłoniło się spod drzew. Najwyraźniej na nich czekali.

- Kochanie, pozwól, że ja zacznę z nimi rozmawiać.

- Dobrze, ale myślę, że powinnam im wyjaśnić, kim jestem.

- Może. - Pacer wysiadł z helikoptera i postawił ją na ziemi. - Nazywam się Pacer Creekwood Dillon. Wasz szef kontaktował się z moją firmą w sprawie ciężkiego sprzętu.

- Nie mamy żadnych zarządzeń w sprawie przylotu - powiedział jeden z mężczyzn.

- Nie powinniście im niczego sprzedawać - powiedziała półgłosem Colm.

- I nie będę - wyszeptał Pacer. - Ale pamiętam nazwisko z zamówienia, które otrzymaliśmy.

- Robicie interesy z takimi łobuzami?

- Zdarza się. - Nie spojrział na nią ani razu w czasie leju

rozmowy, lecz uważnie obserwował mężczyzn, którzy stanęli tworząc wokół nich półkole.

Jeden ze strażników podszedł do małej metalowej skrzynki na słupie i zatelefonował, a następnie zwrócił się do Pacera:

- Chcę sprawdzić pana tożsamość. Laleczka zaczeka tutaj.

- Nie jestem laleczką - powiedziała oziębłe Colm. - Nazywam się Colm Fitzroy.

Pacer poczuł rozbawienie i niepokój, gdy mężczyzna się obrócił i spojrział na nią.

- Spokojnie, chłopie. To moja pani i pójdzie ze mną.

- Co? Ma pan jakieś dokumenty?

Pacer pokazał prawo jazdy, a po nim to samo zrobiła Colm. Po sprawdzeniu papierów Pacer rzucił:

- Idziemy. Jestem biznesmenem. Nie mam zwyczaju stać i gadać na próżno.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się pod ciężkim spojrzeniem Pacera.

- Muszę zadzwonić i zameldować, że możecie iść.

- Zrób to.

- Czy próbujesz go zdenerwować? - spytała Colm półgębkiem.

- Nie wykrzywiał tak usteczek, kochanie. Są zbyt słodkie.

- Panie Dillon, proszę za mną.

Do pierwszego mężczyzny dołączył jeszcze jeden uzbrojony człowiek i poszli razem do jeepa. Obaj mężczyźni usiedli z przodu, Pacer z Colm zajęli miejsca z tyłu. Jazda trwała krótko. Wyboista polana wiodła przez dziką okolicę.

Pacer rozejrzał się wokół.

- Spora przestrzeń.

- Owszem - powiedziała miękko Colm. Wskazała na pagórek zwieńczony kępą drzew. - Na tamtym drzewie

był mój domek. Wujek Rance zrobił go dla mnie. Może jeszcze tam jest. Nigdy nie powiedziałam o nim ojcu. Pacer ujął jej rękę.

- Może wdrapiemy się tam razem?

Spróbowała się uśmiechnąć, jego dotyk był kojący.

- Nie sądzę, żeby się to mogło zdarzyć.

„Kiedy staliśmy się sobie tak bliscy, - zastanowiła się.

- Przy nikim nie czułam się tak spokojnie, tak bezpiecznie”.

- Nie rezygnuj jeszcze z tego, kochanie.

Wpatrywała się w jego profil, nie mówiąc już nic więcej. Chociaż rozmawiali półgłosem, kierowca i strażnik z przodu mogli zrozumieć, o czym mówią.

Gdy ujrzała rozległe zabudowania ranczo, łzy popłynęły jej z oczu. Dom! Jak bardzo za nim tęskniła! Nawet sobie tego nie uświadamiała.

Pacer poczuł drżenie, które przebiegło przez nią i ścisnął jej dłoń.

Jeep zapuszczął, stając przed niską werandą. Podniósł się tuman pyłu.

- To Milo Webster - wyszeptała Colm do Pacera, wskazując na mężczyznę stojącego na werandzie między dwoma innymi. - Nie jestem pewna, kim są dwaj pozostali. Chyba jednego z nich widziałam już, ale nie jestem pewna.

Pacer pomógł jej wydostać się z jeepa i zbliżył się do tego trio, mając Colm u boku.

Mężczyzna w środku ruszył do przodu z wyciągniętą ręką.

- Widziałem pańską fotografię w Forbes, panie Dillon. Dzień dobry. Nie oczekiwałem, że w odpowiedzi na mój list zechce pan się pofatygować osobiście.

- Musiałem przyjechać do Houston w sprawach służbowych. Kiedy pani Fitzroy powiedziała, że kiedyś była

właścicielką Boru, przypomniałem sobie, że to miejsce było wymienione w nagłówku pańskiego listu.

- Tak naprawdę to jej ojciec, mój bliski przyjaciel, był właścicielem tych terenów i sprzedał mi je.

- Tak naprawdę - powiedziała Colm - te tereny należały do mojej matki i nie były przeznaczone na sprzedaż.

Milo Webster wpatrywał się przez chwilę w Colm, a następnie wybuchnął śmiechem.

- No cóż, moja panienko, jest pani równie twarda jak ojciec.

- W niczym nie przypominam ojca - odpaliła Colm, sprawiając, że jeden z mężczyzn za Websterem wyraźnie się usztywnił.

- Aha, moi wspólnicy - odpowiedział Webster. - To Stefan Denys, a to Claus Berndt. Zechciecie państwo wejść. Panno Fitzroy, panie Dillon... - Webster usunął się i wskazał na drzwi.

Colm już otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Pacer ścisnął jej dłoń ostrzegawczo, więc się wstrzymała.

Rance, związawszy drugiego mężczyznę, kręcił się po okolicy. Gdy usłyszał warkot helikoptera, podążył ostrożnie w kierunku polanki z karabinem kołyszącym się na lewym ramieniu.

Po wylądowaniu Colm pierwsza znalazła się na ziemi. Podbiegła do Rance'a i objęła go ramionami. Wstrząsały nią dreszcze.

- To musiało być dla ciebie bolesne, widzieć znowu Boru.

- O tak, to boli. Manuela, gdy mnie zobaczyła, rozplakała się... a... a Webster był dla niej taki szorstki, taki wstrętny. - Colm potrząsnęła głową.

Pacer zbliżył się do nich, patrząc na Rance'a.

- Mogę skorzystać z telefonu?

- W środku. To telefon towarzyski, zadzwonię do nich. Pacer kiwnął głową i spojrzał na Colm. Przytuliła twarz do ramienia Rance'a, usta miała zaciśnięte.

W półmroku podszedł do telefonu zawieszzonego na ścianie i wykręcił numer centrali, prosząc o połączenie z Nowym Jorkiem.

- Dev? Tak, rozmawiałem z Milo Websterem na temat ciężkiego sprzętu. Czysta sprawa, jak w Sajgonie. Tak. O, to by było wspaniale. Już się cieszę na spotkanie. Sprawdź zamówienie, czego potrzebuje. Boru to bardzo miłe miejsce. - Skończywszy, odwiesił spokojnie słuchawkę.

- A co naprawdę powiedziałeś swojemu przyjacielowi?

Odwrócił się i spojrzał na Colm. Brodę miała uniesioną do góry, oczy patrzyły twardo i z nateżeniem.

- Poprosiłem, by sprawdził rancho, akt kupna, podatki, jego właścicieli.

- Po prostu lubię to miejsce... twój przyjaciel będzie wiedział, co robić.

- Śmiem twierdzić, że kółka już się kręcą. Dev to diabeł, gdy już zacznie działać. Nic go nie zatrzyma. Con jest z żelaza. Łatwo nie ustąpi.

- To wygląda na wojsko.

- Bo jest. - Podszedł do niej bliżej i wziął ją w ramiona, delikatnie dotykając ustami jej warg.

Jego uścisk działał na nią kojąco, lecz już po chwili poczuła, że ogarniają płomień namiętności, że traci przytomność.

- Pomyślałem sobie, że zejść ze słońca - powiedział Rance - lecz tu jest bardziej gorąco niż na zewnątrz. Wracam na dwór.

- Nie, zostań - powiedziała lekko drżącym głosem, z trudem łapiąc oddech.

-Naprawdę, zostań - powoli dodał Pacer.

- Chcesz na mnie ściągnąć nieszczęście, młody człowieku?

- Może.

Rance zachichotał i potarł zapalką po kombinezonie.

- Tak, przypomniał mi się Colm, jej dziadek, kiedy byliśmy dziećmi. - Przyłożył zapalkę do fajki i milczał, dopóki się nie zapaliła. - Chodziliśmy do tej samej szkoły.

W tamtych czasach byłem strasznym huncwotem, ale Colm nie pozwalał, żeby ktoś się mnie czepiał. Byliśmy więcej niż braćmi. Ciągłe mi go brak. - Rance pyknął z fajki. - Staruszek znalazł mnie w wyschniętym parowie, gdy byłem bardzo młody. Wychowywał mnie razem z Colmem. Prowadziłem ranczo. Colm chodził do szkoły. Biedaczek.

Colm roześmiała się głośno.

- Mama mówiła, że zawsze mu dokuczałeś z tego powodu.

- No chyba.

- I tak uzyskałeś nazwisko Caleb? - zapytał Pacer. -

Po pradziadku Colm?

- Tak.

Pacer wbił wzrok w starego człowieka, a Rance patrzył na niego spokojnie, kurząc swoją fajkę.

Gdy Colm ujrzała spokojny uśmiech Rance'a, spoważniała.

- Co się dzieje? Dlaczego tak patrzysz, wujku Rance?

- Ten twój przyjaciel nie jest całkiem pewny, czy istotnie twoje sprawy leżą mi na sercu. Zgadza się?

Colm obróciła się, by spojrzeć na Pacera i dostrzegła, jak skinął głową.

- Ależ to śmieszne. Wujek Rance pomagał mi zawsze i we wszystkim.

Pacer wzruszył ramionami.

- To wspaniale.

Uniosła brodę.

- Wujkowi Rance'owi zawierzyłabym własne życie... i znam go od zawsze. Dlaczego miałabym wierzyć tobie? Człowiekowi, którego poznałam czterdzieści osiem godzin temu?

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, ale jestem pewien, że mi wierzysz.

Przebiegł ją dreszcz, ale nic nie powiedziała.

- I ja ci wierzę- powoli powiedział Rance. -Myślę, że Colm będzie potrzebowała przyjaciół, którzy pomogą jej w kłopotach.

Też tak sądzę.

-Obaj coś przede mną ukrywacie. Wyjaśnij - ostro powiedziała Colm.

- Obaj z wujkiem sądzimy, że czeka cię trudny okres w zarządzaniu firmą i że nie będziesz mogła odzyskać rancho bez długiej, trudnej walki w sądzie... Trzeba się będzie również nieźle nachodzić.

Leniwy uśmiech Pacera wydawał się owiewać ją jak pustynny wiatr, pałacy i zarazem kojący.

- I... i ty myślisz, że jesteś w stanie mi pomóc?

- Tak.

Colm nie pamiętała, kiedy ostatni raz odczuła tak rzeczywistą ulgę, takie poczucie obojętności, taki spadek napięcia, które uwierało ją przez cały czas. Wewnętrzne ja mówiło, że jest głupia, lecz głos ten nie był dostatecznie silny, by zdławić narastający entuzjazm, pewność i zaufanie do Pacera Creekwooda Dillona.

- Od czego zaczniemy?

Reakcja Colm niemal zwała Pacera z nóg. Serce waliło dziko, przepływał przez niego strumień radości. Potrzeba bronienia jej wzbierała jak powódź.

- Po pierwsze: stwierdzamy, co się dzieje u Webstera, jaki to ma związek z rancho... i z firmą Fitzroy. Po drugie: decydujemy, w jaki sposób odzyskujemy dla ciebie ran-

czo. Po trzecie: decydujemy, czy lepiej dla ciebie, gdy ty jesteś właścicielem firmy, czy też ja powinienem ją mieć. Nie bądź taka nastroszona... Jeśli upierasz się, żeby zatrzymać firmę, to twoja sprawa, ja jednak uważam, że w obecnej sytuacji powinna ona należeć do AbWenDil. Jeśli ktoś będzie chciał zamieszać, my sobie poradzimy.

Colm popatrzyła na Pacera, następnie przeniosła wzrok na wujka, który wolno kiwnął głową.

- Chcę mieć dokument stwierdzający, że firma Fitzroy w rzeczywistości należy do mnie - powiedziała Colm.

- Zgoda.

- Nikt nie zostanie zwolniony.

- W porządku.

- I... o wszystkim, co się będzie działo, będę informowana.

- Mówisz jak glina, kochanie.

- Zgoda? - Uniosła brodę.

- Tak jest.

Pacer przez długą chwilę patrzył na Rance'a Caleba.

- Jeśli coś by się przydarzyło, nie używaj telefonu.

Skorzystaj z radia. Podam ci naszą częstotliwość. Nie ryzykuj. Jeśli będą jakieś kłopoty, przyklej się do ziemi, nie próbuj stawić im czoło. Nasi ludzie będą w ciągu pięciu minut.

- Wygląda na jakąś cholerną armię - zamruczała Colm.

Pacer uśmiechnął się.

- Bo i jest. -Zwrócił się do Rance'a. -Jeśli będą jakieś kłopoty, użyj trzykrotnie imienia Colm w kolejnych zdaniach. Wtedy pod drzwiami pojawią się ludzie sprawdzeni i godni zaufania. Potwierdzą swą tożsamość, mówiąc, że przysłał ich Heller. To imię żony mego dobrego przyjaciela, dość nietypowe. Nadawaj przez radio codziennie, przynajmniej dwa razy. O ósmej i w południe lub o do-

wolnie wybranej przez siebie porze, lecz nie zmieniaj rytmu, gdyż wtedy moja armia spadnie na ciebie.

- Zrozumiałem.

Colm przysłuchiwała się uważnie tej rozmowie, w pewnej chwili poczuła w myślach zamęt. Niebezpieczeństwo! Pacer wyczuł je i przygotowuje się do niego.

Gdy wyszli na zewnątrz, by wsiąść do helikoptera, Colm serdecznie ucałowała Rance'a.

- A może zmienisz zdanie i pójdziesz z nami?

- Nie. To moja ziemia. Jedyne, co umiem, to dbać o ziemię Fitzroyow, dziecko. A stąd mogę mieć na nią oko. W jakiś tam sposób, ale zawsze... Boru będzie przecież znowu należeć do ciebie. Pradziadek, dziadek i mama na pewno chcieliby tego.

- Chcieliby również, żebyś był bezpieczny.

- Wiem o tym i będę ostrożny. Nie wiem, jak twojemu ojcu udało się z tym ranczo oszukać twoją mamę, ale nie spoczne, dopóki nie wróci ono do tej, do której należy. Caleb i Colm oczekują tego ode mnie.

- Bądź ostrożny.

- Jasne.

Wzniesli się w powietrze, kierując się z powrotem na Houston. Pacer splótł swe palce z palcami Colm.

- Chyba wszystko będzie dobrze.

- A jeśli spróbują go znowu zranić?

- To się nie zdarzy. Ludzie, którzy mają go ochraniać, są już w drodze. Są bardzo sprawni w ulicznych walkach. Rance będzie wiedział, że oni tam są, ale nikt poza nim nie będzie miał o tym pojęcia.

- Sprawdzeni w walkach ulicznych? Na ciągnącym się setkami akrów dzikim terenie? Co oni wiedzą o życiu w takim terenie?

- Niektórzy z nich walczyli w Wietnamie. Inni byli

najemnikami na Środkowym Wschodzie i w Afryce. Są bardzo dobrze wyszkoleni i lojalni w stosunku do rodziny.

- To znaczy w stosunku do ciebie i twoich współników?

- Tak.

Colm wpatrywała się badawczo w jego profil, twardy, równy zarys policzków i zuchwy, zagięty nos i ściśnięte usta.

- Jesteś twardziel, nie?

Spojrzał na nią.

- Jeśli muszę. Bardziej odpowiada mi rola kochanka.

- Usłyszałam zdziwienie w twoim głosie. Dlaczego?

- Bo tę cechę mego charakteru odkryłem właśnie przed chwilą. - Uśmiechnął się obserwując, jak na jej policzki wypływa rumieniec.

- Czy nie mógłbyś patrzeć prosto przed siebie?

- To odruch - powiedział łagodnie, błędząc wzrokiem po jej twarzy. - Masz wspaniałą skórę, tak czystą i białą. Pewnie łatwo ulegasz poparzeniom słonecznym.

- Nie dopuszczam do tego. Dużo przebywam na słońcu, ale zawsze używam jakiegoś ochronnego kremu.

- Następnym razem chciałbym go nałożyć własnoręcznie, moja droga.

Gdy wyobraziła go sobie, jak mocnymi dłońmi naciera jej obnażone ciało, straciła oddech.

- Wcielony szatan z ciebie, nie sądzisz?

- Na twoje życzenie będę wszystkim.

Kolejny raz wytrącił ją z równowagi.

- Houston przed nami - powiedziała, próbując się uspokoić.

- Twój głos staje się jeszcze bardziej matowy, gdy się podniecisz. To mnie pobudza.

- Weź zimny prysznic - odpowiedziała błyskawicznie.

- Jak daleko sięga twój rumieniec?

- Czy nie powinniśmy przygotować się do lądowania?
- Dobrze, mogę zmienić temat. Umiesz latać?
- Trochę, lecz nie mam do siebie zaufania.
- Zarobię dodatkowe punkty, gdy będę cię uczył.
- Dziękuję.
- Powiedziałaś to z dużym wahaniem. Zmieniasz kolory stosownie do okoliczności?
- Nie jestem kameleonem.
- I nie denerwujesz się?
- Nie. - Colm robiła, co mogła, by powstrzymać uśmiech, lecz mimo wszystko pojawił się na jej twarzy. Skąd brała się w Pancerze Creekwoodzie Dillonie ta umiejętność relaksowania, dawania jej zadowolenia, poczucia lekkości i... bezpieczeństwa?
- Jesteś bardzo piękna.
- Oho, dziękuję bardzo.
- I uprzejma.
- A ty okropny.
- Mówiono mi o tym.
- Opowiedz o swoich współnikach.
- Cóż mogę powiedzieć... Któregoś dnia w Wietnamie Dev i Con, poszukując mnie, latali helikopterem z miejscy na miejsce, dopóki mnie nie znaleźli. Byłem ranny, w helikopterze nie było dosyć miejsca. Con wsadził mnie do środka i kazał Devowi odlecieć. Sam wrócił do bazy na piechotę przez najbardziej niebezpieczny obszar w kraju.
- Kochasz swoich przyjaciół - powiedziała łagodnie.
- Bardzo. I ich żony, dwie najpiękniejsze kobiety na świecie. To znaczy, tak sądziłem, dopóki ciebie nie spotkałem.
- Dziękuję.
- Myślę, że nasze dzieci będą śliczne. - Uśmiechnął się, a ona westchnęła.

Rozdział 4

- Żałuję, że wujek Henry nie mógł przybyć - powiedziała Colm, gdy samolot kołował do terminalu na lotnisku La Guardia. „Mogłabym wtedy zatrzymać się w hotelu - dodała w myślach - a nie w domu Pacera”. Przypomniała sobie, że on ma przecież gospodynię, a potem uznała, że to była głupota. „Nie potrzebuję żadnej przyzwitki. Dlaczego jestem tak drażliwa?”

Pacer ujął jej rękę.

- Henry Troy jako wiceprzewodniczący jest bardzo skrupulatny. Rozumiem, dlaczego chciał zostać w momencie, gdy ty wyjeżdżasz.

- Ciągłe nie wiem, jak mnie przekonałeś, żebym przyjechała do Nowego Jorku.

- Obiecałem ci, że wrócisz po tygodniu, i to wystarczyło.

- Och. - Obróciła się do niego z uśmiechem. Nie pamiętała, kiedy pozwoliła sobie na taką bezbronność. Lecz Pacer, ledwo wszedł w jej życie, niemal z miejsca zaczął likwidować różne jej przyzwyczajenia. W zamyśleniu zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zastanawiam się, czy nie ma więcej informacji o Boru.

- Nie spotkałem jeszcze człowieka, który by mówił o ranczo z takim zaangażowaniem... jak tobie się to zdarza.

- Mój pradziadek był Irlandczykiem. Jego matka i ojciec pochodzili z Irlandii i żywili wielki szacunek do

Briana Boru, legendarnego herosa Irlandii. Traktowanie ranczo w taki sam sposób stało się dla mojej rodziny sprawą tradycji.

- Jesteś więc bardzo związana tradycją?

- A ty nie?

- W pewnych sprawach... może. Jednak widzę, że jestem większym mieszkańcem niż ty. My, mieszkańcy, mamy skłonność do tworzenia własnej tradycji w naszym życiu.

- Kto, poza Indianinem, siedzi jeszcze w tobie?

- Irlandczyk, jak w tobie, a poza tym Szkot i Francuz.

- Słyszę w twoim głosie napięcie. Nie utrzymujesz bliskich kontaktów z rodziną?

- Byłem bardzo blisko z rodzicami, lecz wcześniej umarli. Trochę czasu spędziłem w domach dziecka. Miejscowy ksiądz, przyjaciel mego ojca, dawał mi lekcje z nauk klasycznych. Inny znajomy mego ojca wziął mnie pod swoje skrzydła, gdy byłem nastolatkiem. Wtedy wstąpiłem do Princeton.

- Gdzie dostałeś stypendium - szepnęła Colm. - Przeczytałam twoje dossier.

- I co dalej?

- W Princeton poznałem swych przyjaciół.

- Jednego z nich wcześniej. I są dla mnie rodziną.

- A ja spotkam ich wszystkich dzisiaj wieczorem?

- Nie denerwuj się. Na pewno się pokochacie.

Colm skinęła głową, próbując ukryć swoje wątpliwości, i spojrzała na niebo nad Nowym Jorkiem. Za niecałe trzy godziny spotka się z ludźmi, którzy kochają tego człowieka i których on kocha. Dlaczego tak ją to poruszyło?

Czas mijał. Limuzyna przywiozła ich do eleganckiego domu Pacera, znajdującego się we wschodniej części Manhattanu. Nasilony ruch uliczny sprawił, że się spóźnili.

Colm zaledwie zdążyła się przywitać z gospodynią Pace-
ra, musiała zacząć się przebierać do kolacji.

Właśnie zakładała kolczyki z górskich kryształów, gdy usłyszała pukanie do drzwi sypialni.

- Wejdz - zawołała i Pacer otworzył drzwi. - O co
chodzi? - spytała. - Jestem spóźniona?

- Nie, brakowało mi ciebie. - Szybko przeszedł przez
pokój i wziął ją w ramiona, całując delikatnie jej usta
i nakłaniając, by się rozchyliły.

Jego ręce wędrowały w dół jej ciała, ślizgając się po
wypukłościach, zatrzymując na intrygujących wcięciach.
Oddychał szybko i chrapliwie, krew uderzyła mu do
głowy.

- Zaczarowałaś mnie, Colm Fitzroy - wyszeptał. Szok
sparaliżował go, gdy w jego myślach zaczęło się pojawiać
słowo miłość, słowo, o którym sądził, że nigdy go nie
użyje w stosunku do innej kobiety. A teraz wypełniało mu
cały umysł. Colm poruszyła go i wzięła w posiadanie.
Jak? Kiedy?

Jego słowa obejmowały Colm jak łagodny wietrzyk.
Z trudem podniosła powieki i spojrzała na niego.

- Czary są dla dzieci.

- Doprawdy? - Poglaskał palcem jej policzek. - Masz
skórę jak z atlasu.

- Jesteś zbyt szybki, Dillon. - Cień wątpliwości sprawił,
że się cofnęła. Wierzyła Pacerowi. Czy mogła zawie-
rzyć swym własnym reakcjom? Wskakiwała w... no właś-
nie, w co? Miłość? To bardzo pokrętna sprawa. Czy wie-
rzy w słowa? Wierzy człowiekowi.

- Jeśli mówię A, powiem również i B - powiedział,
wpatrując się w jej oczy. - Ale przy tobie robię to znacz-
nie szybciej.

Spokojny głos, podkreślający jego zaangażowanie,
wstrząsnął nią. Jej ciało przeszły dreszcz.

- Muszę mieć swobodę.

- Colm, możesz robić wszystko, co zechcesz, poza jednym; nie możesz mnie opuścić. A jeżeli nawet mnie opuścisz, to i tak będę z tobą. Czasem tak się zdarza.

Co takiego powiedział Rance o matce i miłości od pierwszego wejrzenia? Spojrzała na niego z niepokojem.

- Nie znamy się.

- Co chcesz wiedzieć? Pytaj mnie o wszystko. Powiem ci. - Ostatnie bariery runęły i wiara wypełniła całą jego istotę. Gdyby powiedziano mu w tym momencie, że za wymówienie jej imienia zostanie pozbawiony głowy, wykrzyknąłby je na cały głos, stojąc na dachu. Colm całkowicie zmieniła jego życie, wypełniła światłem ciemne zakątki serca, wniosła całą paletę kolorów i uczuć.

Czy nie powinniśmy już iść? - zapytała, odsuwając się od niego.

Owszem. - Wziął ją pod ramię i poprowadził do drzwi.

- Con, chcesz z nim porozmawiać dzisiaj wieczorem? zapytał Dev.

- Tak. Kiedy rozmawialiśmy rano przez telefon, był bardziej tajemniczy niż normalnie. Odniosłem wrażenie, że Colm Fitzroy jest w niebezpieczeństwie i obawiał się przyjechać do Nowego Jorku bez niej.

- Pacer się obawiał? - Brwi Deva uniosły się, przypominając teraz czarne znaki zapytania.

- Wiem. Zareagowałem w ten sam sposób, gdy to powiedział. - Con potrząsnął głową, nalewając sobie wody sodowej. - To zwróciło moją uwagę na kłopoty. Rozmowa telefoniczna była zupełnie niejasna, w jego głosie wyczułem wielkie napięcie. Nie słyszałem go takiego od...

- Da Nang - matowym głosem dopowiedział Dev. - Myślę, że lepiej z nim pogadajmy dzisiaj wieczorem.

Con skinął głową, patrząc przed siebie ponurym wzrokiem

Colm wyszła z limuzyny i spojrzała w górę, na wieżowce Manhattanu. „Po co się denerwuję - zadała sobie pytanie. Nabrała powietrza w płuca. - To głupie”.

- Kochanie, na pewno cię pokochają.

- Nie czytaj w moich myślach.

- Jesteś taka apetyczna, gdy jesteś wystraszona. - Pocałował jej włosy, palcami pieszcząc kark.

- Pacer... - powiedziała drżącym głosem, opierając się pragnieniu zanurzenia w jego objęciach. Kiedy zmienił bieg z pierwszego na trzeci? Myślała, że to ciągle spokojna, słodka przejażdżka. A teraz poczuła, że jest to szybka jazda z góry w dół, bez żadnych uchwytów dla rąk i kierownicy. - Nie nalegaj tak.

Choć głos jej był łagodny, Pacer usłyszał nutkę paniki. Coś lub ktoś ją wystraszył. Dotknął palcami jej ust.

- Ty tu rządzisz. Będę robił, co każesz, dopóki nie wyrzucisz mnie ze swego życia.

Jego łagodny głos i kojące słowa przeszły ją dreszczem.

- Czy poszedłbyś do piekła, gdybym tego zażądała?

- Chyba nie.

- To nie będę marnować słów. - Nie mogła opanować drżenia wywołanego rozkoszą, która ją przeniknęła, gdy znowu zaczęła ją całować.

- Jest za ciepło, byś mogła się przeziębic - wyszeptał jej w kark.

- Wzbudzamy publiczne zainteresowanie. - Odsunęła się od niego, uciekając wzrokiem od natrętnych spojrzeń i niepewnym krokiem poszła w kierunku wejścia do wieżowca.

W windzie Pacer pochylił się i pocałował ją w brode.

- Mogę cię pocałować w usta?

- Nie za późno na to pytanie? - zapytała zgryźliwie,

żałując, że nie umie powstrzymać uśmiechu, który już torował sobie drogę.

- Dziękuję. - Objął ją mocno ramionami i przywarł do jej ust, przycisnąwszy swe wargi do jej rozchylonych warg, by mogły się spotkać ich języki.

Pocałunek ciągnął się bez końca. Colm czuła, jak jej ciało i umysł rozpadają się na fragmenty i łączą na nowo. Jęknęła i objęła jego szyję ramionami, przywierając do niego całym ciałem.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując czekającym w foyer ludziom obejmującą się zmysłowo parę.

Dev objął ramieniem żonę, masując palcami jej wydatny brzuch.

- Felicity, kochanie, chodźmy do domu.

- Dosyć już, bestio - powiedziała do niego głosem pełnym miłości, opierając się o niego, jak zwykle to robić.

- Ty też źle się zachowujesz w windzie.

- A mówiłaś, że jestem dobry.

- Ciii.

- Con Wendel przytulił żonę:

- Kochanie, odeślijmy tych ludzi do domu.

- Con, dość tego. Czyż nie jest piękna? Te długie nogi, wysmukłe ciało. Hmm, myślę, że ona zwycięży.

- Jak ty. - Con pocałował ją w szyję.

- Jestem zachwycony - powiedział ojciec Cona. - Już czas, żeby się urządził.

- Może zorganizujemy im przyjęcie ślubne, mój drogi, co o tym sądzisz? - ze słonecznym uśmiechem zapytała matka Cona.

Staruszek odwzajemnił jej uśmiech.

- Pacer da nam o tym znać.

Rozmowa powoli docierała do świadomości Colm. Unosząc powieki, zobaczyła jakichś ludzi na skraju swego pola widzenia. Uśmiechali się i przyglądali im życzliwie.

- Och! - Colm, odsunąwszy się od Pacera, z narastającym niepokojem wpatrywała się w szóstkę obcych sobie ludzi.

Pacer niechętnie zdjął z niej rękę i uśmiechnął się do przyjaciół.

- Con, ta winda jedzie za szybko.

- Bardzo przepraszam. - Con się uśmiechnął.

- Dzień dobry, panno Fitzroy- powiedziała Heller, robiąc krok do przodu. - Nazywam się Heller Wendel, a to moja teściowa i teść... - Heller szybko przedstawiła wszystkich, wprowadzając miły nastrój.

Colm uprzejmie przywitała się z nimi, wiedząc, że nie ma cienia szansy, by zapamiętać którekolwiek z imion. Nie była pewna, czy zna swoje własne. Zauważyła, że wszyscy przyjaciele Pacera są bardzo atrakcyjni. Heller Wendel była wysoką blondynką. Felicity Abrams - oszalałamiącą pięknnością o kruczoczarnych włosach i alabastrowej skórze. Obaj mężczyźni na pewno przyciągali spojrzenia kobiet w każdej sytuacji. Con swą atletyczną postawą i przystojną twarzą. Dev rzeźbionymi rysami i władczym spojrzeniem niebieskich oczu.

Pacer objął Colm ramieniem, przytulając ją mocno do swego boku.

- Czyż nie jest piękna, Heller?

- Istotnie, jest. - Heller uśmiechnęła się do Pacera i pocałowała Colm w policzek. - Witamy cię z całego serca w naszym domu.

Colm była przygotowana, że może się czuć skrępowana, ale entuzjizm i serdeczność przyjaciół Pacera oczarowały ją całkowicie.

- To są nasze dzieci - kontynuowała Heller, wskazując ciemnoskórego nastolatka i dwoje młodszych dzieci - a ta dwójka to najmłodszy Deva i Felicity.

Colm zapomniała o wszystkim, gdy otoczyły ją uroczne dzieci, mówiące jedno przez drugie.

- Sądzisz, że przeżyje aktywność naszego potomstwa?
- zapytał Con Pacera.

Pacer spojrział stalowymi oczami na Cona i twarz mu stężała:

- Chciałbym, żeby nie było większych kłopotów.

- Chodźmy do gabinetu - powiedział Dev. Spojrzął na żonę i lekko skinął głową.

- Może pójdziemy z Colm na górę? - zaproponowała Felicity, zbierając dzieciaki i uśmiechając się do Colm. - Może się wreszcie uspokoją.

Colm poczuła dreszcz strachu, gdy spojrzała na Pacera i zobaczyła, jak ponure są twarze trzech przyjaciół.

- Pacer?

- Kochanie, będę obok w gabinecie.

- Dobrze. - Chłód zagościł w jej sercu, gdy Pacer odwrócił się i wraz z pozostałymi mężczyznami poszedł wzdłuż szerokiego holu. Czuli się, jakby wycięto jej kawałek ciała. Ból był ostry, strata wyraźna, a zakorzeniony lęk przed oddaniem kontroli w inne ręce pojawił się ponownie. Nawet myśl o Pacerze nie pozwalała utrzymać tego lęku całkowicie w ryzach.

Pacer wciąż milczał, choć drzwi do gabinetu zostały zamknięte, a on był ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi.

- No to opowiadaj, Pacer - powiedział Dev. - Mamy informacje, że kazałeś poszperać tu i ówdzie.

- To prawda, Dev. Ale chcę czegoś więcej.

- Nie przyjechałeś tu samotnie, więc rozumiem, że martwisz się o swoją panią.

Pacer uśmiechnął się surowo.

- Zrozumieliście to od początku. Przyjechałem z Colm, bo mam przecucie, że zagraża jej realne niebezpieczeństwo.

- Realne? Jak bardzo realne? - Dev usiadł w skórzanym fotelu, wyciągając przed siebie nogi.

- Założę się, że nie jest to takie rzeczywiste - powiedział Con. - Masz złe przeczucia?

Pacer skinął głową.

- Spotkałem na rancho Milo Webstera. Facet wywiera bardzo mocne wrażenie.

- Negatywne - zamruczał Dev.

- Co znaleźliście? - zapytał Pacer.

Dev wskazał na oprawiony notes leżący na biurku. Pacer wziął go i otworzył, kartkując strony.

- Jest bogaty, świeże pieniądze, zrobione w ciągu ostatnich dziesięciu lat. O co tu chodzi?

- Ojciec Colm wszedł w spółkę z Websterem jakieś cztery lub pięć lat temu - powiedział wolno Pacer. - Spółka z Vince'em Collamerem skończyła się, gdy jego samochód wpadł w poślizg i uderzył w drzewo przed kilkoma miesiącami. Teraz Colm ma firmę Fitzroy i, jak sądzę, posiadłości Vince'a Collamera.

- Sądzisz, że damę twojego serca oszukano, a teraz jest w niebezpieczeństwie - powiedział Con.

Uśmiech Pacera był zwodniczy.

- Ona jeszcze nie jest świadoma tego, że jest moją damą, mądralo.

- Ale ty o tym wiesz, nawet jeśli ona nigdy się z tym nie pogodzi - sucho powiedział Dev. - Wiem wszystko na ten temat.

- No chyba. Myślę, że wiesz. - Uśmiech znikł z twarzy Pacera. - Co ja robię? Ona nie zechce tu zostać zbyt długo. Jest cholernie przywiązana do firmy Fitzroy i pracowników. Czuje się odpowiedzialna za przyszłość tych ludzi, których Collamer wywalił z firmy przez ostatnich parę lat.

Con wziął do rąk drugi notes.

- Colm jest bardzo zajęta. Przeprowadziła szereg bardzo drastycznych zmian i krzywa firmy zaczęła się podnosić, jednak nie jest w stanie sprostać próbie wrogiego przejęcia firmy. Jej łatwe do upłynnienia aktywa są znikome.

- Więc my ją przejmujemy - powiedział zdecydowanie Pacer, spoglądając na przyjaciół.

- Możemy ponieść ogromne straty - spokojnie zauważył Con.

- Większe, niż sobie wyobrażasz. - Dev się skrzywił.

- Ale zrobimy to - powiedział twardo Pacer i odekliął, gdy pozostali dwaj skinęli głowami.

- Umiejętność podejmowania ryzyka to jeden z naszych atutów - stwierdził leniwie Dev.

Colm była zachwycona dziećmi, a Felicity, Heller i rodzice Cona pomogli jej się rozluźnić. Śmiała się i plotkowała z dorosłymi, bawiła się z dziećmi, czując coraz mniej skrępowania. Od lat nie przebywała w tak swobodnej atmosferze. Właśnie klęczała na podłodze, podziwiając rysunek najmłodszego dziecka Abramsów, gdy pocałunek lekki jak piórko musnął jej kark.

Drgnęła i obróciła się, by zobaczyć uśmiechniętego Pacera.

- Och! To ty.

- To ja. - Schylił się i podniósł ją, trzymając przed sobą, ze stopami nad podłogą. - Tęskniłem za tobą - powiedział i przywarł do jej ust.

Dziecięcy chichot nie przedarł się przez zmysłową otoczkę, którą upłótł wokół Colm pocałunek Pacera. Usłyszała napomnienia rodziców. Z trudem spróbowała się uwolnić z jego objęć.

- Pacer, opanuj się.

- Nie. Dzieciaki, dosyć tego, nie wolno się śmiać

z wujka - powiedział i całował ją dalej. - Widzisz? Już w porządku.

- Jesteś niegodziwy - powiedziała zdyszana.

- Czy zniesiesz ją po schodach? - zapytało jedno z dzieci.

- A powinienem?

- Tak, wujku, zrób to - zabrzmiał chór.

- Koniec tego - powiedziała surowo Felicity do dzieci, choć nie mogła całkowicie ukryć uśmiechu. - Zachowujcie się grzecznie. Możecie się jeszcze pobawić przez godzinkę, a potem niania położy was do łóżek.

Dzieci zaczęły natychmiast protestować. Pacer postawił Colm na podłodze, a jej udało się powiedzieć im „dobranoc”.

- Nie potrzebuję żadnej niani - stwierdził Simeon, najstarsze dziecko, adoptowany syn Heller i Conrada.

- Jestem tego pewna. - Colm pożegnała się z nim uściskiem dłoni jak z dorosłym mężczyzną.

Gdy znaleźli się już w górnym holu, Pacer sojrzał na nią.

- Więc Simeon i ciebie oczarował?

- Tak. Czy jest twoim ulubieńcem?

- Kocham ich wszystkich, ale on jest dla Deva i dla mnie kimś specjalnym. Był naszym pierwszym dzieckiem i jest całkiem niezwykły. I mądry. - Pacer uśmiechnął się. - Chce iść do Princeton.

- By pójść w twoje ślady...

- I swojego ojca, i Deva. - Objął ją ramieniem i sporowadził po schodach.

Kolacja upłynęła w bardzo przyjemnym nastroju. Colm zrelaksowała się, śmiała się i bawiła cały czas. Było jej przykro, że senior rodu Wendelów nie mógł z nimi pozostać dłużej, lecz był już wcześniej umówiony. Duże wrażenie wywierali na niej również Conrad Wendel i Deveril Abrams. Między trzema mężczyznami panowało

pełne zrozumienie. Co pewien czas któryś z nich zaczynał coś mówić, a kończył inny.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek w życiu tyle się śmiała. Bardzo ją to rozgrzało. Za każdym razem, gdy spojrzała na Pacera, wzbierało w niej pożądanie. Jego spojrzenia nie były czysto zmysłowe, było w nich tyle troski! Pomimo ostrzegawczych dzwonek coś się zmieniło. Pacer tkał wokół niej kokon bezpieczeństwa. Walka z nim byłaby głupotą. Przez całe życie walczyła, by zachować swą osobowość, by nie stać się ofiarą jakiegokolwiek mężczyzny. Dzięki trzymaniu mężczyzn na dystans udało się jej to osiągnąć. A teraz ten nieznośny mężczyzna był nieustannie w pobliżu, rozgrzewając i podniecając ją.

Nagle przechwyciła spojrzenie, które wymienili Pacer i Con, i zamarła. Lęk, jej odwieczny towarzysz, stanął dęba jak mustang.

- O co chodzi? - zapytała gwałtownie. Pytanie padło jak bomba w środku banalnej rozmowy.

Pacer nawet nie udawał, że nie zrozumiał.

- Wszystko jest w porządku, kochanie. Opowiem ci o wszystkim.

- O wszystkim?

- Tak.

Proste potwierdzenie uspokoiło ją bardziej, niż mogłaby to zrobić kwiecista wypowiedź. Głęboko westchnęła.

- Uważasz, że coś złego dzieje się z moją firmą. Tak?

- Niezupełnie, kochanie. Sądzymy, że jest coś nie w porządku z ludźmi, którzy cię otaczają.

Jej twarz stężała.

- Kto? Na pewno nie Rance ani wujek Henry.

- Nie oni. - Pacer pociągnął łyk brandy. - Uważamy, że sprzedaż waszego ranczo Websterowi była nie całkiem... w porządku.

- Mówiłam ci o tym - powiedziała cicho.

Heller i Felicity pochyliły się do przodu, gotowe włączyć się do ich rozmowy.

- Wstrzymajcie się obie - powiedział wzburzony Pacer. - Wy również dowiecie się o wszystkim. Niczego nie uda się przed wami ukryć.

- Dopóki jesteście tego świadomi - wyszeptała Heller.

- My też jesteśmy twarde, jak sami wiecie - dodała Felicity, uśmiechnawszy się, gdy mrugnął do niej mąż.

- Wiem o tym - powiedział Pacer. Zasiadł ponownie w fotelu z kieliszkiem koniaku w ręce. - Sprawdzamy Webstera.

Colm roześmiała się ostro.

- Szkoda czasu. Już to zrobiłam. Jest czysty jak łąza.

- Ale nie robili tego przyjaciele Pacera, Colm. Pacer ma przyjaciół, o których nawet Con i ja nie mamy pojęcia - zachichotał Dev.

- To prawda - powiedział Con. - Pacer ma takie źródła, że sama CIA skuliłaby się ze strachu.

- Kim są ci ludzie?

- Przyjaciele. Niektórych poznałem w Wietnamie, niektórych tutaj. - Pacer wzruszył ramionami.

- I wierzysz im?

- Tak.

Colm skinęła głową:

- To i ja im wierzę.

Westchnienie ulgi rozległo się nad stołem. Uśmiechy, początkowo niepewne, wkrótce rozkwitły na wszystkich twarzach.

Wtedy Pacer roześmiał się, a wszyscy wpatrzyli się w niego.

- Chichocze, a ja jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby się śmiał - powiedziała zdziwiona Heller.

- Ani razu do tej pory - powiedziała Felicity głosem

pełnym ciekawości. Jej wzrok spoczął na Colm, a potem na mężu, który ponownie do niej mrugnął.

Colm rozejrzała się po zgromadzonych wokół stołu i zdziwionych przyjaciółach Pacera. Następnie zwróciła się do niego:

- Wydaje mi się, że nikt tutaj nie słyszał twego śmiechu. Lecz ty się śmiałeś, gdy podtrzymywałeś moją suknię...

- On co? - Dev pochylił się do przodu. - Opowiedz wszystko...

- Nie twoja sprawa - łagodnie zauważył Pacer.

- Pacer, chłopie, nie możesz nas tak zostawić - powiedział rozradowany Con. - Widziałeś, jak się chowamy po dziurach i poddajemy. Nie powinieneś się przejmować tym, że raz my będziemy świadkami twego... upadku.

Colm przyglądała się obu parom.

- Z tego, co mówicie, wynika, że on był świadkiem, jak wy dwaj tracicie twarz, a teraz chcecie wiedzieć, czy coś takiego nie przytrafiło się jemu.

- Coś w tym stylu - wycedził chichocząc Dev.

- Mogę was zapewnić, że on nie stracił twarzy. - Colm uśmiechnęła się do nich, po czym spojrzała na Pacera.

- Nie? - Dev podchwycił jej spojrzenie i spojrzał na Cona, który wolno pokiwał głową, jakby obaj podjęli w tej samej chwili decyzję. -Więc opowiedz.

- Dev - powiedział Pacer ostrzegawczo.

- Wiem. Masz zamiar mnie zabić. Będę musiał zaryzykować.

- Nie zabije ciebie - niepewnie powiedziała Colm, a pozostali kiwnęli głowami. - W porządku, pozwólcie, że wam wyjaśnię.

- Proszę, zrób to wreszcie. - Con trzymał wzrok na Pacerze. - Przyjacielu, masz absolutną rację, ale nie mogę się powstrzymać.

- Nie roszczę pretensji do rozumienia wszystkich podtekstów - powiedziała Colm - więc je zignoruję. Przed paroma dniami wydałam w swoim mieszkaniu cocktail-party. Robię to dosyć często. Przyszedł Pacer. Zepsuł się suwak w mojej sukience. Pacer podszedł do mnie i podtrzymał suknię. Byłabym prawie goła, gdyby tego nie zrobił. Rozumiecie?

- Zaczynam - wymruczał Con, wruszywszy ramionami, gdy Pacer obdarzył do morderczym spojrzeniem. - Przepraszam.

- Pomógł mi dostać się do sypialni i... no cóż, reszta jest nieważna.

- Mam poczucie, że to o nią właśnie chodzi - szepnął Dev, skrzywiwszy się, gdy uszczypnęła go żona. Uśmiech na jego twarzy nie zmienił się, gdy spoczął na nim wzrok Pacera: -Con, obawiam się, że będzie miało miejsce podwójne morderstwo.

- Masz rację.

- Natychmiast przestańcie - powiedziała Heller, wpatrując się w męża i Deva.

Obaj mężczyźni natychmiast się uspokoili.

Pacer podniósł się z fotela, wyciągając rękę do Colm.

- Na nas pora.

Wstała i przechyliła głowę na bok.

- Naprawdę? A może zdenerwowałaś się, że opowiedziałam im o sukni?

- Z obu powodów.

- Och. - Colm się pożegnała, pewna, że łamie etykietę swoją bezceremonialnością, ale kręciło się jej w głowie od tego wieczoru, od Pacera i jego przyjaciół.

Gdy Colm i Pacer wyszli, cała czwórka długo patrzyła na siebie.

- On zwariował na jej punkcie - łagodnie powiedziała

Felicity. - Chyba jestem trochę zazdrosna. Należał do nas tak długo. - Ze smutkiem spojrzała na Heller.

- Ona jest najbardziej skomplikowanym niewiniątkiem, jakie w życiu widziałam - powiedziała Heller.

Obaj mężczyźni wyglądali na zamysłonych.

Felicity wyczuła między nimi jakieś napięcie.

- Już nic więcej nam nie powiecie?

- Nie teraz, kochanie.

- Heller, wkrótce będziemy wiedzieć więcej.

- Od chwili gdy wyszliśmy od twych przyjaciół, nie powiedziałeś ani słowa - zauważyła Colm, gdy Pacer pomógł jej wyjść z samochodu. - O co ci chodzi?

- Chcę cię kochać. A ty czego chcesz?

- Hmm... popatrzyła na niego, gdy otwierał drzwi do domu. - Chcę, byś przynajmniej zmienił wyraz twarzy, gdy zaprosisz mnie do łóżka.

Uśmiechnął się do niej.

- Jeśli moja twarz odbija myśli, obawiam się, że z krzykiem uciekniesz w ciemność nocy.

Colm mrugnęła i pierwsza weszła do domu. W kuchni obróciła się do niego, gdy włączył światło.

- Chcesz pójść ze mną do łóżka?

- Chcę się z tobą ożenić, dziś wieczór. Ale obiecałem, że nie będę nalegał, i nie będę. Zamknij usta, kochanie, bo wpadnie ci jakaś mucha.

- Mężczyźni... nie żenią się... w ten sposób.

- Odmawiasz?

- Nie znamy się.

- Ja wiem o tobie wszystko, czego potrzebuję. Czym się niepokoisz? - Minał ją, podszedł do lodówki i wyjął butelkę wody mineralnej i świeżą pomarańczę. Nalał wody do dwóch szklanek i wcisnął do nich sok z owocu. Masz czas, żeby to przedyskutować? - Podał jej szklankę.

Zastanawiała się, od czego zacząć.

- Nie wiem, co sądzisz o różnych rzeczach.

- Chcę się z tobą ożenić... Na zawsze. A reszta bardzo ładnie dopasuje się sama.

- Tak jak teraz?

- Każdy dzień wymaga dużo pracy i miłości.

- Nie jesteś doradcą matrymonialnym - powiedziała i upiła trochę ze szklanki. Odrobina pomarańczy wpadła Colm w przetyk, wywołując kaszel.

- Tak. Nie jestem doradcą matrymonialnym - powiedział. - Ale będziesz musiała mi zaufać w paru sprawach.

- A ty mi wierzysz?

Spokojnie skinął głową i wyprowadził ją z kuchni do pokoju.

- Od czubka nosa do końców palców u stóp, kochanie, jesteś jedyną, w którą wierzę i której od samego początku wierzyłem.

- Och. - Skierowała na niego wzrok, ściskając kurczowo szklankę. - Ja... ja nie planowałam małżeństwa. „Może najwyżej jakiś romans - pomyślała. - Może nawet dzieci, pod warunkiem, że mogłabym im zapewnić bezpieczeństwo i miłość, a nie samotność, którą tak dobrze poznałam. Jak by wyglądały dzieci Pacera? Wysokie, stalowookie, silne. Dziewczynki miałyby błękitne oczy i jego wspaniałe włosy". Smutek otulił ją jak płaszcz. To nie dla niej. Zbyt wiele barier. Całe życie spędziła na ich budowaniu.

- Ja również nie planowałam małżeństwa - powiedział.

- Małżeństwo z Marie wydawało się być wszystkim. Teraz wiedział, że nawet nie spróbował namiętnej miłości. Ciągnęło go do tego z całej siły.

- A co będzie, jeśli się okaże, że nie pasujemy do siebie? - zapytała. Myśl o tym, że może go stracić, była bo-

lesna. Nie liczyła na to, że Pacer Dillon zostanie w jej życiu na zawsze.

- Ależ pasujemy.

Wiedział o Colm wszystko, czego potrzebował, ale chciał więcej, chciał się dostać do jej wnętrza, kochać jej drugie ja, bronić niewinności, jeśli by nawet go nigdy nie chciała.

Uciekła przed jego wzrokiem, rozglądając się po wysokim pokoju, jakby szukając pomocy ze strony ścian pokrytych boazerią.

- Może...

- Ależ tak. - Życie bez niej byłoby ciągiem szarych, bezbarwnych dni.

Odwróciła się do niego ze ściągniętą twarzą, jakby zaczynała ją boleć głowa.

- A co będzie, jeśli... Jest tyle miejsc, gdzie mężczyzna i kobieta... Tyle spraw trzeba rozważyć.

Pacer odstawił szklankę i podszedł do niej. Ponownie podniósł ją tak, że ich usta były w odległości paru centymetrów.

- Więc badaj, doświadczaj, analizuj, stawaj na głowie, ale...

Zanim zdążył skończyć, Colm wyciągnęła ręce i przywarła do jego warg. Nie oddał jej pocałunku, lecz wysunął język i delikatnie zwilżył jej wargi.

Colm wsunęła mu język do ust. Gdy jego ręce zacisnęły się wokół jej kibici, przytulając ją ciasno, wyczuła jego w pełni pobudzone ciało.

- Pacer, ja... ja to lubię - powiedziała z wahaniem. Widmo z odległych czasów ciągle jeszcze ją prześladowało.

- Tak. - Odsunął się do tyłu z uśmiechem. - Jak widzisz, reaguję na ciebie.

- Tak - powiedziała z westchnieniem. Pochylała się,

by pocałować go znowu, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch.-Och!

Pacer spojrział na Megan, irlandzkiego wilka, a następnie skoncentrował się na Colm:

- Boisz się psów?

- Niece... ale to nie jest pies. To olbrzym.

- Czy byłaś kiedyś pogryziona?

- Jeden z ogarów mego ojca kiedyś mnie zaatakował - powiedziała blada jak ściana. - Przegryzł mi tylko skórę.

Nieruchoma, do głębi przerażona, krzyczała, wzywając ojca. W końcu jeden z pomocników odciągnął od niej psa. Uraz pozostał na długo. Ciągłe tkwił w jej pamięci obraz ojca wymyślającego człowiekowi, który jej pomógł, za to, że - zdaniem ojca - był zbyt brutalny w stosunku do psa.

- Rozumiem - powiedział Pacer. - Każ Megan wyjść.

- Wyjdź - wyszeptała Colm.

Olbrzymi pies przyglądał się jej przez chwilę, spojrział na pana i zrobił w tył zwrot.

Colm odetchnęła z ulgą i spojrzała na Pacera. Nie powiedział jej, że jest głupia, ani nie próbował jej zachęcić do pogłaskania potwora.

- Dziękuję. Na czym skończyliśmy?

Dotknął jej policzka, na którym płonął rumieniec.

- Nie musimy się siebie wstydzić, zgoda?

- Tak - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

- Pocałuj mnie, kochanie.

Colm dziwiła się, ale była podniecona tym, że musi stanąć na palcach, by to zrobić. Mimo że była tak wysoka, nie mogłaby dosięgnąć, gdyby się nie schylił. Szokowało ją, że jego otwarte usta w pełni akceptowały jej pocałunek, że brał ją ustami i językiem w sposób, który był bardziej intymny niż wszystko, czego doświadczyła w swo-

im życiu. Gdyby nie obejmował jej wpeł, mogłaby nie mieć siły ustać.

Przechyliwszy głowę, uniósł ją lekko i pocałował tak gwałtownie, że ich usta stopiły się w jedną całość. Językiem łagodnie penetrował wnętrze jej ust.

Colm czuła, jak jest z nim złączona, lecz instynkt podpowiadał, że gdyby się cofnęła, od razu by ją uwolnił. Była jego więźniem, a jednak była wolna. Gdy poczuła rękę na suwaku sukni, przerzuciła włosy na bok, by mu pomóc.

Suknia nie spadła z niej. Ześlizgnęła się, odsłaniając ukryte w koronkach piersi, i zatrzymała na biodrach.

Dojrzała pożądanie w jego oczach i zawahała się. Tamto wspomnienie sprawiało ból. Nie mogła o tym myśleć. Poruszyła biodrami i jedwab zsunął się na podłogę, układając się wokół stóp.

- Jest mi chłodno - wyszeptwała. Była zadowolona, widząc jego pożądanie, nie mogła jednak opanować lęku, który się w niej zagnieździł. Obrazy związane z Peteyem Kelso przelatywały jej przez myśli.

- Ja czuję gorąco - powiedział.

Podniosła ręce i rozpięła mu koszulę, rozchylając ją.

- Zapomniałam prosić o pozwolenie - wyszeptwała. Poczwała, że słabnie, jej ciało pokryło się potem.

- Nie przejmuj się, rób, co chcesz. Należę do ciebie. Jego uśmiech był jak pieszczota.

- Wygląda na to, że jesteś moją własnością - powiedziała cicho i łagodnie.

- Czy nikt ci nie powiedział, że chrypka w twoim głosie jest bardzo podniecająca?

- Nie. -Jak mógłby to ktoś powiedzieć? Pacer był tym pierwszym mężczyzną, który miał sprawić, że to się miało zdarzyć.

- Naprawdę jest, a ja też jestem.

- Co jesteś? - Poczowała zawrót głowy od patrzenia mu w oczy.

- Jestem twą własnością.

- Och.

Pochylił się i wargami delikatnie zamknął jej powieki.

- Proszę, uwolnij mnie jeszcze bardziej.

- W salonie? - zapytała nieśmiało, cała drżała od stóp do głów.

- Na rogu Piątej i Czterdziestej Piątej, jeśli zechcesz.

- To już lepsze.

- Tak jest.

Nie mogła całkowicie ukryć swego lęku, drżących rąk. Wiedziała, że jej pragnie i miała nadzieję, że zignoruje tę widoczną nerwowość.

Koncentrując się zdjęła z niego koszulę, a następnie zawahała się nad zamkiem błyskawicznym. W żaden sposób nie mogła go dotknąć.

- Kochanie, nie bój się.

- Nie chcę złapać za coś, co może wyskoczyć. - Wybuch śmiechu sprawił, że uświadomiła sobie, iż powiedziała to na głos. Wpadła w zakłopotanie. - Mój nieznośny język.

- Uwielbiam twój język. Gdybyś mnie nim wymyła, umarłbym jako człowiek szczęśliwy. Znowu się rumienisz? - Gdy spojrział na nią, zmarszczył brwi.

Co wywołuje ten cień lęku w jej ciele, to delikatne drżenie rąk?

- Jako mężczyzna mający reputację bardzo powściągliwego możesz sobie pozwolić na to, by mówić w sposób niewyszukany.

- Nie ma potrzeby wzajemnego ukrywania przed sobą uczuć. - Ujął ją ręką pod brodę i uniósł głowę. - Cołm, czy jesteś dziewicą?

- Technicznie.

Ujrzał, jak przymyka powieki. Całaję istota wydawała się uciekać przed nim.

- Czy zostałeś zgwałcony?

- Pacerze Creekwood Dillon, jesteś wstrętnym wredykiem.

- Jestem.

- Wujek Henry zdążył z interwencją, zanim nastąpiła właściwa penetracja. Strzelił i zranił tego mężczyznę. Ojciec znenawidził wujka za to, że narobił rabanu. Powiedział, że nadmiernie rozdmuchał cały incydent i że zepsuje mi to opinię. - Potrząsnęła głową. - Byłam szczęśliwa, że wujek strzelił do niego. Żałowałam, że go nie zabił.

- Ja również. - Przyciągnął ją bliżej i delikatnie tulił do siebie, masując rękoma plecy. - Przeszłaś terapię?

- Tak, wujek się przy tym upierał. Ojciec nigdy nie był dla mnie szczególnie przyjacielski, ale po tym wydarzeniu nie było między nami nawet cienia zażyłości. Starałam się jak najrzadziej przebywać w jego towarzystwie.

Pacer przycisnął usta do jej włosów.

- Ten człowiek jest jeszcze w więzieniu?

- Tak myślę. Był poszukiwany przez policję, miał również inne przestępstwa na sumieniu. Dostał duży wyrok.

- Jak się nazywa?

- Petey Kelso. O co ci chodzi?

- Po prostu chcę włączyć nazwisko do mojego zbioru, Kochanie.

Długo tulili się do siebie, nie mówiąc ani słowa, aż wspomnienie potwornego ataku ustąpiło z pamięci Colm. Powoli zaczęła odzyskiwać świadomość. Czowała obejmujące ją mocne ramiona Pacera, spokojne bicie jego serca pod policzkiem, żar ich przytulonych, niemal nagich ciał. Pożądanie zaczęło się w niej znowu burzyć. Poruszyła się niespokojnie, ocierając się udami o jego uda.

- Gdzie skończyliśmy? - zapytała matowym głosem. Zdziwiło ją, że narasta w niej napiętność. Nie spodziewała się czegoś takiego.

- Szykujemy się do łóżka - odpowiedział, nakazując sobie rozluźnić uścisk. Choć pragnął jej bardzo, w żaden sposób nie miał zamiaru jej wystraszyć, żądając zbyt wiele w nazbyt krótkim czasie.

- Nie, szykujemy się do kochania. Chcę tego. - Mocno wpatrzyła się w niego.

Potrząsał głową.

- Powiedziałeś, że jesteś mój - stwierdziła.

- Ależ jestem.

Po raz pierwszy Colm ujrzała niepewność na twarzy Pacera. Odkrycie, że taki mężczyzna martwi się o nią, wywołało w jej sercu drżenie.

- Podobało mi się to, co robiliśmy.

- Mnie również.

- Czyli byłam niezła? - Jej lepsze ja wykrzykiwało ostrzeżenia, przypominając wszystkie lata, w ciągu których utrzymywała mężczyzn na dystans, zrećnie unikając zbliżenia. Wprowadzając mężczyznę do swego życia, mogła utracić duchową i umysłową niezależność, o której zdobycie i utrzymanie tak twardo walczyła. Czy była masochistką?

- Niezłe jak na początkującą - powiedział.

- Teraz ty masz chrypkę.

- Kochanie, płonę z żądy. - Patrzył na nią z przejęciem. Jej uśmiech nie zdołał ukryć głęboko zakorzenionego lęku. Została bardzo poważnie zraniona i wystraszona, a terapia nie usunęła wszystkiego. - Jeśli mamy zamiar pokreć się jutro po Manhattanie, musimy się trochę przespać.

Niezadowolenie i ulga toczyły w niej walkę. Pragnęła go i bała się zbliżenia.

Pacer głęboko westchnął. Następnie schylił się i chwycił ją w ramiona.

- Chcę, byś była szczęśliwa i spokojna - powiedział i pocałował ją mocno. - Kochanie, kiedy zdecydujemy, że chcemy się kochać, nie możesz czuć żadnych oporów. Zawsze będziesz miała czas, by się wycofać, moja Colm, obiecuję ci to.

- Czy dlatego mówiąc zaciskasz zęby?

- Nie twierdziłem, że to będzie łatwe. - Zaniósł ją do holu, po czym zaczął wchodzić do góry, biorąc po dwa stopnie na raz.

- Jesteś bardzo silny - powiedziała zadumana, zaciskając ramiona wokół jego szyi. - Chyba nie chciałabym być twoim wrogiem. - Zastanawiała się, czy weźmie ją jednak do łóżka pomimo tego, co powiedział. Pobudzenie i pragnienie zaważnęły ją zupełnie.

- Nie masz powodu lękać się, że będziesz moim wrogiem - powiedział - nawet gdybyś mnie tysiąc razy poczęstowała nożem.

- Nie zginąłbyś od tego? - wyszeptła mu w ucho.

- Tylko wtedy gdybyś mnie opuściła.

Otwarte wyznanie pragnienia wstrząsnęło ją jak nic do tej pory. Jego moc, tak jak i łagodność, były żywiołowe. Pacer był Zeusem - i rozkosznym szczeniakiem. Czy kiedykolwiek go pozna? A czy to ważne?

- Czy idziemy do twojego pokoju?

- Nie, do twojego. Potrzebujesz snu.

Mimo jej odwagi Pacer wiedział, że rana, którą próbowała ukryć, ciągle jeszcze była otwarta i nie zagojona. Któregoś dnia może mu zaufa do tego stopnia, że się odsłoni. Na razie jednak będzie jej bronił przed wszelkim bólem, przed wszystkimi, którzy mogliby jej zrobić krzywdę, nawet jeśli miałyby to być on sam.

W Dillonie aż pulsowało pragnienie, by mieć ją, by ją

zaspokoić, by dać jej wszystko, co mogą dać zmysły i miłość, a przede wszystkim, aby dać siebie. Nigdy nie pragnął otwierać ukrytych drzwi prowadzących do własnego wnętrza. Nawet Marie nie знаła go całkowicie, choć przecież tak bardzo ją kochał. W jego stosunku do Colm było coś więcej niż emocje, chciał jej ukazać część samego siebie. Swoją umysł, duszę - wszystko zapakowane, owinięte wstążeczką i podane jej do rąk.

Drażniło go pragnienie otwarcia się przed nią, stania się podatnym na zranienie. Ale nie mógł już wyhamować tego pędu do dawania i miłości, który eksplodował w nim, gdy ją pierwszy raz zobaczył. Był gotów umrzeć z miłości. Nie zrezygnowałby z niej za nic w świecie.

- O czym myślisz? - zapytała, gdy doszedł na szczyt schodów.

- Że będę tam, gdzie zechcesz.

Colm potrząsnęła głową. Wydawało się, że to on ją ma. Zaczynała się trochę denerwować. Jej ciało wystygło w środku i na zewnątrz.

Położył ją delikatnie na łóżku.

- Jeślibyś mnie potrzebowała, jestem na dole, kochanie.

- Pacer, pocałuj mnie. Zabierz te strachy. - Nie miała zamiaru tego powiedzieć, wcale nie chciała odsłonić swego głęboko ukrytego lęku.

- Dobrze, moja Colm, dobrze. - Wolno, ze słodyczą, nachylił się nad nią, błędząc po jej ciele rękoma. Wyciągnął się na pokrytym atłasem łóżku. Jego wargi ześlizgnęły się w dół dziewczęcego ciała. Całując delikatnie, dmuchał na nagą skórę Colm, rozkoszując się jej westchnieniami i drzeniem. Nagle przestraszył się, że żądza weźmie nad nim górę. Odsuwając się unióśł głowę.

- Myślałem, że mogę cię po prostu pocałować na do-

branoc i otulić. Nie mogę. - Pocałował ją raz jeszcze i stoczył się z łóżka.

Dostrzegłszy w jej oczach oszołomienie i niezadowolenie, był już niemal gotowy wrócić na łóżko. Przelknąwszy z trudem, cofnął się jednak.

- Do zobaczenia jutro rano.

Colm została sama. Leżąc na łóżku, obserwowała, jak idzie w poprzek sypialni i wychodzi. Powoli usiadła i rozejrzała się po pokoju. Osierocona, zziębnięta i nie zaspokojona walczyła z krążącymi w niej sprzecznymi uczuciami.

Sen nie nadchodził. Colm kręciła się i rzucała. Dwa razy wstała i poszła do łazienki. Raz otworzyła drzwi od pokoju i spojrzała w dół. Niewiele brakowało, żeby poszła na dół do pokoju Pacera i oblała go zimną wodą. Nie, to nie był właściwy powód, dla którego by poszła. Chciała, by ją obejmował, trzymał przytuloną do siebie. Mimo całego głęboko zakorzenionego strachu potrzebowała go!

Wreszcie, gdy noc na Manhattanie zaczęła blednąć, przymknęła oczy. Śniła o Boru... i że Pacer był obok niej... i jeszcze jeden obserwator, który śledził ich i sprawał, że chciało się jej płakać. Tylko Pacer umiał utrzymać tę upiorną zjawę na dystans, tylko on osłaniał ją przed lękiem.

Rozdział 5

Colm, otworzywszy oczy, uświadomiła sobie, że nie jest u siebie w domu. Leżała skulona w środku łóżka. Śniło się jej, że była z Pacerem. Powinien leżeć obok. Wspomnienie nocy przemknęło przez jej myśli jak błyskawica. Czy rzeczywiście to był tylko sen, że się kochali? Ich wzajemne pieścizoty były przecież tak rzeczywiste.

W popłochu usiadła na łóżku. A może to się zdarzyło naprawdę? Pacer wydawał się tak realny. Nie mogła się nim nasycić. Chciała więcej i więcej, i kochali się przez całą noc. Za każdym razem było lepiej. Czy on jest czarodziejem? Dlaczego się nie bała, nawet w obecności tego obserwatora?

Wpatrując się w leżącą obok niej poduszkę, nie usłyszała otwierających się drzwi.

- Kochanie, dobrze się czujesz?

Na dźwięk jego głosu aż drgnęła. Odwróciła się do drzwi.

Wstydlivy, lecz promienny uśmiech Colm sprawił, że Pacer o mały włos nie zapomniał o swym przyrzeczeniu. Taca z kawą i grzankami wyslizgnęła się niemal z jego rąk. Wziął głęboki oddech i patrząc na nią, uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Sądziłem, że moglibyśmy razem wypić kawę - powiedział.

- Nie masz żadnego spotkania rano?

- Tylko z tobą. - Podeszedł do łóżka i położył tacę na jej kolanach.

Colm z trudnością przełknęła, wpatrując się w niego. Wyglądał bardzo dobrze nawet całkowicie ubrany, jednak w krótkim kimonie był zabójczy, cholernie niebezpieczny.

- Dzięki za kawę - powiedziała. - Mogłam się napić na dole.

- Obrażasz mnie. Kochanie, rumienisz się. - Odsunął na bok narzutę i usiadł na łóżku.

- A nie powinnam? Wszystko, co mówisz, dotyczy seksu. To znaczy, ma seksualne podteksty... Och, wiesz dobrze, o co mi chodzi.

„Chyba bredzę” - pomyślała.

- Nie jestem pewny. Czy mam sobie pójść? - Uśmiechnął się.

- Tak. Nie. Napij się kawy. - Gdy przysunął się do niej, całe jej ciało zarumieniło się, jakby została wrzucona do gorącej kąpieli. - Grzanekę? - zapytała, posmarowawszy dżemem swoją kromkę.

- Możesz posmarować i moją?

Usiłowała opanować drżenie rąk, lecz mimo wszystko odrobina truskawkowego dżemu spadła na jej nocną koszulkę.

- Pozwól, proszę. - Pochylił się i zlizął dżem. - Bardzo dobry. Czy mogę prosić o jeszcze? Uwielbiam truskawki. - Uśmiechnął się.

- Robisz tak specjalnie. - „Nie powinnam na niego patrzeć - pomyślała sfrustrowana. - Zmysłowość po prostu bucha z niego. Jest cholernie groźny”.

- Kończ kawę i grzanekę - powiedział. - Chcę ci pokazać Manhattan. Chcę cię też zabrać do Rumpelmayera.

Colm zapomniała na chwilę o swoich obawach.

- Byłam tam. Gdy zatrzymaliśmy się w Plaza... ale ty się tego domyśliłeś, prawda?

Skinął głową, odgarniając jej z twarzy potargane włosy.

- Denerwuje mnie, gdy sobie przypominę, jak klóciłem

się z Conem i Devem na temat wyjazdu do Houston. Nie wiele brakowało, bym tam nie pojechał. Mogły minąć miesiące, zanim bym ciebie spotkał.

Colm poczuła uderzenie fali zimna i gorąca, była swobodna i zakuta w łańcuchy, dzika i zamknięta w klatce.

- Mogliśmy się nigdy nie spotkać.

Potrząsała głową.

- Jesteś moją *karmą**, przeznaczeniem. Musieliśmy się spotkać.

Umknęła spojrzeniem na jego klatkę piersiową, gdzie włosy tworzyły trójkąt.

- Myślałam, że Indianie nie mają na ciele włosów. - Dlaczego to powiedziała? Teraz nie mogła oderwać od niego oczu.

- Być może niektórzy nie mają. Pamiętaj, że mój ojciec był Irlandczykiem.

- Czy mógłbyś mi któregoś dnia opowiedzieć coś więcej o rodzinie?

- Tak. - Jego nozdrza drgnęły. - Ślicznie pachniesz.

- Dziękuję. - Po prostu topniała w oczach. „Nie daj się” - nakazała sobie.

Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował w dekol.

- Myślałem, że zostało jeszcze trochę dżemu - powiedział, gdy poczuł, jak zeszywniała. - Czy cię uraziłem?

Tak! Tak, uraził ją. Rozbijał wszystkie jej mechanizmy obronne.

- Może byśmy się jednak ubrali?

- Opowiedz mi coś więcej o mężczyźnie, który na ciebie napadł.

Ta prośba wstrząsnęła nią.

* *Karma* - w buddyzmie i hinduizmie: suma uczynków człowieka, wyznaczająca jego późniejszy los.

- Skąd to pytanie? - Nie mógł wiedzieć, że Petey Kelso uczeplił się jej snów. Nikt o tym nie wiedział.

- Trzeba, żebyś o tym mówiła, kochanie. - Pacer pocałował ją w czubek nosa. - Powiedziałaś, że nie zostałaś zgwałcona, lecz przestraszona. - Wyczuł, jak się zżyma i sztywnieje. - Opowiedz mi. - Chrapliwy głos był jedynym przejawem gniewu przepelniającego Dillona.

- Przez cały czas terapii mój ojciec mówił wyraźnie, że to ja jestem winna, że ja to spowodowałam.

Pacer uniósł ją i posadził sobie na kolanach.

- Bardzo staroświeckie podejście, cholernie mało ojcowskie. Wygląda na to, że on też potrzebował terapii. Dalej, kochanie...

- To wszystko. Męczę mnie nocne koszmary... i od czasu do czasu spotykam się ze swoim terapeutą.

Pacer delikatnie dotknął jej twarzy.

- Dla mnie jesteś najczystsza z czystych, niepokalana, a gdy wyjdziemy z tego łóżka... - Uśmiechnął się na widok jej nachmurzonego spojrzenia. - Cóż, jesteśmy razem w łóżku.

- Tylko w znaczeniu dosłownym - powiedziała cierpko. Poglaskał ją po policzku.

- Jesteś bardzo dzielna.

Jego łagodny głos wydawał się roztopiać ten bolesny pancerz, który przez wszystkie lata ją dławił, stawał się coraz grubszy i coraz bardziej paraliżujący. A teraz wychynał z zakątków jej umysłu i rozpadał się, po prostu się rozpuszczał.

- Obawiałam się zbytniego zbliżenia do ludzi - wyrzucała z siebie słowa - choć terapeutka cały czas mi powtarzała, że nie było w tym mojej winy. Wierzyłam jej, wbrew temu, co mówił ojciec. Lecz nocne koszmary nawiedzały mnie ciągle. - Przytulił ją. - Przyzwyczaiłam się

do myśli, że nie będę miała dzieci, że świat jest zbyt niebezpieczny, ale wszystkie te lęki odeszły ode mnie.

Były natomiast inne, głęboko schowane, ukryte, których nie umiała nawet nazwać; nieznani dręczyciele. Nawet Pacerowi nie umiała opisać nieopisywalnego.

Zdjął jedwabną nitkę z jej twarzy.

- Colm?

Głęboko westchnęła, odpychając czarne myśli.

- Dzieci to wielka odpowiedzialność.

- Tak. Obserwuję swoich przyjaciół i ich dzieci. Bardzo uważnie.

„Mieć dziecko z Pacerem, to byłoby naprawdę wspaniałe” - Colm zdławiła tę myśl natychmiast.

Pacer wyczuł jakieś napięcie. Colm Fitzroy miała skomplikowaną osobowość. Bardzo pragnął ją poznać. Dotknął jej ramienia palcem.

- Jesteś piękna.

Rozkosz przebiegła przez nią. Jakiej magii używał, że zwykle dotknięcie sprawiało, iż marzyła o nim?

- Twoje oczy się rozszerzają - wyszeptał. - Te wspaniałe klejnoty są pełne ognia i lodu.

Uciekła wzrokiem, próbując opanować swoje pożądanie.

- Ty... ty kochałeś swoją żonę, prawda?

- Tak.

Oczekiwała takiej odpowiedzi. Nie spodziewała się jednak, że sprawi jej tak przeszywający ból.

Spotkałem Marie, gdy leżałem w szpitalu w Sajgonie, lecząc swoją ranę. Gdy stanąłem znowu na nogi, otworzyliśmy szpital i sierociniec dla dzieci. I pobraliśmy się. Potem ona zginęła, a ja zostałem w Wietnamie i dalej prowadziłem szpital. Ciągle jeszcze utrzymuję kontakt z lekarzami stamtąd.

- I ciągle jeszcze ją kochasz?

- Tak... ale pogodziłem się już z jej utratą. - Spojrzał na Colm. Choć tak bardzo kochał Marie, to jednak nigdy nie doświadczył tej wszechogarniającej siły, pragnienia i pożądania, które zaatakowały go, gdy po raz pierwszy ujrzał Colm Fitzroy.

Nagle uniósł ją ze swych kolan i wstał z łóżka.

- Pora na Manhattan - powiedział, ujmując tacę i ruszając niemal sprintem do drzwi. - Mamy się spotkać z Conem i Devem o jedenastej trzydzieści, ale to będzie krótkie spotkanie.

Drzwi zamknęły się za nim i raz jeszcze Colm wyciągnęła się na łóżku ciężko wzdychając. Miała z pewnością podniesione ciśnienie. Pacer Dillon całkiem zawrócił jej w głowie.

Prysznic i szampon poprawiły jej nastrój. Ubrana w szeroką spódnicę i bawełnianą bluzkę, w lekkich pantoflach opuściła pokój gotowa do walki z Pacerem Creekwodem Dillonem. On jest bardzo mocny, ale ona może przejąć nad nim kontrolę.

- Cześć - powiedział, gdy weszła do salonu, lustrując ją pełnym żaru spojrzeniem. Taksówka już czeka.

Manhattan był jak klejnot. Lato już się kończyło, ale ciągle jeszcze wiała ciepła bryza, a puszyste chmury płynęły po jasnoniebieskim niebie. Budynek z granitu, stali i szkła błyszczały jak wypolerowane miecze wbite w ziemię. Kakofonia ruchu ulicznego, ludzkiego gwaru, gwizdków, pisków i klaksonów tworzyła wścieły podkład muzyczny dla najbardziej ekscytującego miasta świata.

Gdy dotarli do Park Avenue, Colm zatrzymała się i rozejrzała wokół.

- To rytm bijącego serca.

- Tak. - Pacer nie dostrzegł w ogóle niczego poza jednym, jego oczy były wprost wbite w Colm. Przez parę go-

dzin mieli włóczyć się po Manhattanie, zgubić się w anonimowości miasta, być sam na sam.

Colm była zachwycona wyjściem. Przyjemność przebywania z Pacerem była czymś, co ją zdziwiło. Tyle już razy zbił ją z tropu. Ale bywało też inaczej. Jak teraz, gdy trzymając go za rękę, wędrowała po ulicach i uliczkach.

- Tu jest absolutnie pięknie. Park Avenue to wszystko, co pamiętam.

- Teraz pójdziemy do Saks, a potem do Rumpelmayera. - Wsunął jej dłoń pod ramię i przeszli w poprzek szerokiej ulicy. - Masz prawo wyboru. Na co masz ochotę dziś wieczorem: musical czy teatr, wcześniejszy obiad czy późniejsza kolacja?

- Muszę to przemyśleć. - Jak dawno już nie była tak beztroska, nieskrępowana. Człowiek u jej boku potrafił tego dokonać.

- Czuje, że lubisz robienie zakupów? - zapytał.

Ścisłe mówiąc, było jej obojętne, co robią. Wystarczyło, że jest razem z nim. Zapewniał wygodę, był podniecający, męski, delikatny. Poznawanie go stawało się dla niej tym, co najważniejsze. Jej ograniczenia nie wydawały się już tak ważne.

- Bardzo lubię zakupy - odpowiedziała. - Była taka projektantka na Fifth Avenue, która miała sklep niedaleko Bergdorfa. Bardzo interesujące modele...

- Charine. Jest tam nadal. Wpadniemy do niej.

Wędrując w górę Fifth Avenue, zatrzymali się przed sklepem z beżowymi zasłonami z jedwabiu w oknach i nazwą „Charine” wijącą się złotymi literami nad drzwiami. Colm niemal zasugerowała, by nie wchodzili. Spacer u boku Pacera przemawiał do niej bardziej niż oglądanie ciuchów.

Mała brunetka z oczyma jak czarne guziki wyłoniła się z zaplecza, gdy tylko Pacer przedstawił się ekspedientce.

- Dillon! - wykrzyknęła. - Gdzieś przebywał całe wieki, *mon cheri*?

Pacer schylił się, by ją pocałować, a Colm poczuła zabawny skurcz żołądka.

- Przyprowaździłem przyjaciółkę, byście się poznały - powiedział. - Wiem, że przedkłada twoje projekty nad inne.

- *Mais oui* - Charine uśmiechnęła się do Colm. - Proszę za mną.

Colm nie była aż tak bardzo pochłonięta ideą kupowania sobie ubrań, lecz zmieniła zdanie, gdy tylko zobaczyła wspaniałe projekty Francuzki. Przymierzywszy nieskończoną liczbę strojów, zdecydowała się ostatecznie na jedwabną tunikę, czarną sukienkę koktajlową i rozkoszną togę. Charine obiecała wykonać niezbędne drobne poprawki w ciągu dnia i dostarczyć stroje do domu Pacera po południu.

- Jesteś zirytowana - zauważył Pacer, gdy opuścili sklep.

- Nie powinienes upierać się przy płaceniu za to wszystko. Przecież wiesz, że mam pieniądze.

Zatrzymał taksówkę i otworzył jej drzwi.

- Nie bądź taka obraźliwa tylko dlatego, że chciałem ci zrobić prezent.

- Cholernie drogi prezent, Dillon.

Wsiadł za nią do taksówki i podał adres Wendel Towers.

- Uspokój się, panno Fitzroy. Twój honor nie został splamiony.

- Do diabła...

Zanim zdołała powiedzieć coś więcej, objęły ją mocne ramiona. Nie zdążyła nawet zauważyć, kiedy taksówka odjechała od krawężnika, gdy usta Pacera spoczęły na jej wargach. Zatonęła w głębokim pocałunku.

Pożądanie ogarnęło ją od razu. Poczuła, jak przejawia się ono gorącym sokiem jej ciała. Na Boga, przecież są

w taksówce! A ona była gotowa odrzucić wszelkie ostrzeżenia, które wbijała sobie do głowy, tylko dlatego że obejmował ją Pace Creekwood Dillon. Dlaczego był taki wyjątkowy? Co różniło go od innych mężczyzn?

Nawet wtedy gdy płonęła z pragnienia, jakaś jej część próbowała się wycofać. Gdy czuła pulsującą męskość, jej umysł stawał się czysty jak nie zapisana kartka papieru.

- Hej, proszę państwa - powiedział kierowca. - Jesteśmy na miejscu, a licznik bije.

- Nieważne - wymruczał Pacer.

- Pacer!

- Tak, kochanie? - Łagodnie ugryzł ją w kark.

- Zapłać mu - powiedziała słabym głosem i natychmiast pożałowała tych słów, gdy poczuła, że ją puścił.

Pacer dał kilka banknotów kierowcy i obrócił się do Colm.

Jego wzrok rozpuszczał ją jak sierpniowe słońce wosk. Oszłomiło ją, że to ona musiała walczyć z pragnieniem rzucenia się mu w ramiona.

Trzymając się za ręce, przeszli przez obszerne hol Wendel Towers. Dotyk stał się ich podstawową potrzebą.

Jadąc prywatną windą na ostatnie piętro, Colm zerknęła na zegarek.

- Jesteśmy niemal godzinę spóźnieni. Czy nie zaburzy to rozkładu dnia?

Pacer wruszył ramionami.

- Pracę i tak wykonują najbardziej efektywni ludzie. Con i Dev są wyjątkowo utalentowani. - Uśmiechnął się do niej. - A tak między nami, to nie wiem, w ilu spotkaniach brałem udział, bo oni nie mogli się oderwać od **swoich** dam.

Colm oglądała ściany windy.

- Tak?

Czyżby Pacer uważał ją za **swoją** damę?

- Moi przyjaciele są zupełnie zdominowani przez żony. - Obserwował, jak rumieniec pokrywa jej kark i zapragnął go pocałować.

Powoli skinęła głową.

- Dev wygląda na takiego, który mógłby skoczyć z dachu dla swej żony.

- Zrobił to.

- Co? - Podniosła głowę do góry i ujrzała nagłą bladość na jego twarzy. Ochryply głos ujawniał głębokie emocje. - Nie żartujesz?

- Pędząc po schodach przeciwpożarowych skoczył na człowieka, który gonił Felicity - powiedział Pacer bezbarwnym głosem. - Gdyby nie trafił, zabiłby się, spadając z dwudziestego piętra.

- Widziałeś to - wyszeptła.

- Owszem, i omal szlag mnie nie trafił na miejscu. Jest cholernym głupcem, ale kocha Felicity, tak jak Con kocha Heller. Con zakochał się w Heller niemal od pierwszego wejrzenia i poruszył niebo i ziemię, by ją ocalić, gdy była w niebezpieczeństwie. Oni naprawdę kochają swoje żony. - Pacer spojrział na nią. On też kochał Colm Fitzroy. Kiedy go tak urzeźbła? To było bez znaczenia. Stało się.

Colm nie mogła się od niego odwrócić, tak jak nie mogła powstrzymać niepokojącego uczucia, że Pacer Creekwood Dillon całkowicie opanowuje jej zmysły. A ona nawet nie próbowała z tym walczyć.

- Pacer, jesteś głupcem. - Czuła się wewnętrznie rozdarta, niespokojna, a jednak chciała go z żywiołową siłą. W tej chwili mogłaby go rzucić na podłogę i wspiąć się na niego. Zaszokowało ją to.

„Jej ciało jest kształtne i zachwycające - pomyślał Pacer. - Jest taką nieśmiałą kusicielką, pociągającą Ewą”.
Dławiło go pragnienie.

„Jego ciało jest takie silne, sprężyste i pociągające -

pomyślała Colm. - Kiedy tak oszalałam? Marzę na jawie o Kochaniu się z mężczyzną, którego znam zaledwie od tygodnia. I nie widzę w tym nic niestosownego..."

- Masz oczy jak błękitne gwiazdy - wyszeptał. - Jesteś prześliczna. - Widział w jej oczach pożądanie.

- A twoje są jak czyste srebro. - Miała dziwne wrażenie, że obejmował ją, że ją posiadał. Musi być chora!

- Lubię tę szorstkość w twoim głosie.

- Muszę zejść po coś na dół. - Była przypadkiem śmiertelnej choroby wywołanej przez Pecera Creekwooda Dillona. Czy był zarejestrowany w Centrum Chorób Zakaźnych?

- Mam ci powiedzieć, jak na mnie działasz? - Krew w nim zawrzała, gdy zobaczył, jak się usztywnia, bacznie go obserwując. Ta ostrożność pobudziła go, gdy wyobraził sobie, jak zanika cały jej opór.

- Lepiej pomówmy o interesach - powiedziała półgłosem. Czuliła, jak cięży jej głowa. Ręce i nogi miała jak z ołowiu, a jednak rozsadała ją energia.

Przysunął się do niej i chwycił ją pod brodę.

- Colm Fitzroy, podniecasz mój umysł, ciało i ducha. Jak i kiedy zrobiłaś to, nie wiem. - Pocałował ją mocno.

Żył w stanie śpiączki i nawet o tym nie wiedział. Colm obudziła go znowu do życia. Pocałował pulsującą żyłkę na jej szyi.

- Ja też nie wiem - odpowiedziała. Uwielbiała, gdy ją obejmował. Pobudzał ją i dawał poczucie bezpieczeństwa. Nie otwierała oczu. - Musimy pomówić o interesach.

- Jakich interesach?

Drzwi windy się otworzyły.

Pacer się skrzywił. Co oni tu robią? Powinni jak najszybciej wrócić do domu.

- Czy to już?

- Tak, cholera, już.

* * *

- Dlaczego uważasz że mamy kłopoty?
- Są pewne oznaki, jacyś ludzie zadają za dużo pytań, niektóre dane...
- Nie powinniście mieć żadnych danych.
- Każdy musi zapisywać informacje. Wszystko zaczęło się dziać w ciągu kilku ostatnich dni. Nie podoba mi się to.
- Spał wszystko, co pozwoliłoby połączyć nas z... naszymi interesami na południowej granicy.
- Dobrze.
- Kto prowadzi śledztwo?
- Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem. I to mnie najbardziej wkurza.
- Rząd?
- Nie sądzę, ale to zawodowcy. Wszystko dotyczy rancho, pytają się w Houston i Dallas.
- Znajdź ich i zlikwiduj.
- Próbuję.
- Zrób to.
- Tak jest. Lecz ty ze swej strony też zacznij działać.

- Kto dzwonił? - zapytał Con.
- Ludzie Pacera nie przedstawiają się - odpowiedział Dev. - Wiesz o tym.
- A gdzie ten głupiec? - leniwie zapytał Con.
- Wiesz, gdzie może być - skrzywił się Dev. - Do tej pory krążysz po pokoju, gdy nie możesz pójść do Heller odpowiednio wcześniej.
- Con wzruszył ramionami.
- Przyzwyczailem się do tego uczucia. A jak ty?
- Cóż mogę na to poradzić? Należę do Felicity. - Dev się uśmiechnął.
- Nigdy nie widziałem tak szczęśliwego małżeństwa.

- Taak. Myślę, że coś podobnego przytrafiło się Pacerowi.

Con skinął głową.

- Na to wygląda.

Drzwi do biura Cona otworzyły się i obaj mężczyźni wstali, gdy do pokoju weszła Colm, a za nią Pacer.

- Dobry wieczór - powiedział Dev i uśmiechnął się, zauważywszy zaróżowione policzki Colm i władczy wzrok Pacera.

Pacer przyglądał się przyjaciołom przez dłuższą chwilę. Dev zamknął oczy.

- Con, zadzwoń do Felicity i powiedz jej, że Pacer ma zamiar mnie zabić. Może uda się jej go powstrzymać.

- Tylko ona i Heller mogłyby tego dokonać - powiedział słodko Pacer.

Con wzdrygnął się.

- Nie cierpię, gdy mówisz w ten sposób. Przypomina mi się wtedy... - przerwał nagle.

- Co? - zapytała Colm. - Dlaczego patrzycie na siebie w ten sposób? - Zbliżyła się do Pacera i wzięła go za rękę. - Powiesz mi?

Pacer westchnął i skinął głową.

- Może lepiej nie - powiedział ciężko Dev. - To była moja wina.

- Dev...

- Pacer, tak było. - Dev spojrzał poważnie w oczy Colm. - Podczas ostatnich dni Sajgonu, tuż przed upadkiem, myśleliśmy, że będziemy zwolnieni do domów. Którejś nocy wypiliśmy za dużo. Jacyś faceci skrepowali mnie, porwali i wyrzucili na wrogim terytorium. Zostałem schwytyany i wsadzony do bambusowej klatki. To, co robią tam z człowiekiem, nie jest zbyt miłe, lecz najgorsze było, że nie można w niej ani stać ani siedzieć. Została zaprojektowana tak, by było w niej maksymalnie nie-

wygodnie. Pacer i Con przybyli, żeby mnie uratować. Con wydostał mnie z klatki, lecz ktoś podniósł alarm. Pacer zabił gołymi rękoma z pół tuzina mężczyzn, tak że udało nam się stamtąd wydostać... i ani razu nie odezwał się głośniejszym niż szeptem. - Dev spojrzął twardo na przyjaciela. - Nienawidził tego, co robi. Gdybym się nie upił, nie byłoby to potrzebne.

- I powiedziałem ci, żebyś o tym zapomniał.

- Ty nie możesz, to dlaczego ja powinienem?

- Skończcie już z tym obaj - ostro powiedział Con. -

Colm nie potrzebuje już słyszeć o niczym więcej.

Pacer obrócił głowę w kierunku Colm i dostrzegł dziki wyraz jej oczu i zeszywniałe ciało.

- Kochanie, nie...

- Czy ktokolwiek zna ciebie naprawdę?

- Nie do końca - powiedział Con. - My, jak dotąd, byliśmy najbliżsi. Mam jednak poczucie, że ty poznasz go dużo lepiej.

- Con ma rację - powiedział spokojnie Pacer.

Colm potrząsnęła głową.

- Trudno w to uwierzyć.

Podniósł ją i pocałował, delikatnie dotykając jej ust swoimi.

- Nie jesteśmy jedynymi facetami, których zdominowały kobiety - powiedział cicho Dev do Cona.

- To prawda. I jaki to przyjemny widok.

- Chyba jesteś zdziwiony.

- Ty też.

Colm otworzyła oczy.

- Pacer, postaw mnie - powiedziała, mając na swych ustach jego wargi.

- Dobrze. Na chwilę. - Pozwolił, by się ześlizgnęła, dotykając jego ciała, lecz nie puścił jej całkowicie. Zwraca-

cając się do przyjaciół, zapytał: -Dowiedzieliście się czegoś?

- Bardzo zagadkowe, bardzo tajemnicze, jak zwykle - odpowiedział Dev. - Wygląda na to, że podejrzany Milo Webster był powiernikiem Vince'a Collamera... - Spojrzał na Colm.

- Dalej - powiedziała twardo. - Wiem, że mój ojciec robił interesy z Websterem.

- Bardzo dużo z nich dotyczyło południowej granicy... no... południowego kierunku. Nikaragua, Kolumbia.

Westchnęła, wędrując wzrokiem od Deva do Cona.

- Nikt nigdy nawet nie wspomniał, że mój ojciec był wciągnięty w interesy związane z narkotykami czy bronią, jeśli to ma pan na myśli, panie Abrams.

Dev skinął powoli głową.

- Mów do mnie Dev.

- Nawet najlepszy detektyw popełnia błędy, Colm - stwierdził Con.

Spojrzała uważnie na Pacera.

- Ale nie sądzisz, żeby to dotyczyło twoich ludzi.

- Nie mylili się już od dawna - powiedział spokojnie

Pacer. - Lecz zgadzam się z Conem. Nawet najlepszy może się mylić - przerwał. - Może nie chcesz słuchać dalszego ciągu.

Podeszła do fotela i usiadła.

- Chcę wiedzieć wszystko.

Dev rzucił szybkie spojrzenie na Pacera, który skinął głową, a następnie spojrzał na Cona. Con'usiadł przy swoim biurku i wyciągnął jakieś notatki.

- Wydaje się, że narkotyki to tylko część sprawy. Jest jeszcze szmuglowanie ludzi do kraju i pranie pieniędzy przez międzynarodowe spółki holdingowe. - Zamilkł, spoglądając na notatki. - Wygląda na to, że szmuglowali

poszukiwanych przez Interpol członków mafii z innych krajów. Ściąga się ich tutaj, by dać im nową tożsamość. Dev gwizdnał.

- Nie w kij dmuchał. Może powinniśmy poinformować rząd.

- Czy wasi ludzie odkryli, że mój ojciec był wciągnięty w to wszystko? - zapytała Colm słabym głosem.

- Jego nazwisko pojawia się od czasu do czasu - powiedział Con - lecz nie ma żadnych wyraźnych...

- Mój ojciec był współnikiem Webstera w niektórych sprawach, lecz nie był jedynym jego współnikiem.

Con zamyślił się, stukając palcem w notatki.

- Czy wiedziałaś, że twoje akcje zostały wykupione przez koncern Ajax Investments?

- Skinęła głową.

- Próbowałam sama wykupić więcej akcji. - Wzięła głęboki oddech. - Mówiąc prawdę, uważałam, że Ajax był związany z AbWenDil.

- Nie, zaczynamy dopiero skupywać akcje... na polecenie Pacera - powiedział łagodnie Dev.

- Wierzę mu. - Colm przełknęła ślinę.

- Kości zostały rzucone. Gdy ujrzała niewyraźny uśmiech na twarzy Pacera, zapragnęła go pocałować, prztulić. By wyrwać się spod wpływu Dillona, spojrzała na jego przyjaciół.

- W jakiś sposób to nawet zabawne, jeśli chodzi o Webstera.

- Dlaczego? - spytał Dev.

- Kiedyś mój ojciec myślał, że mogłabym wyjść za niego.

Dev zauważył jak palce Pacera zacisnęły się na oparciu fotela.

- Nie ma na to najmniejszej szansy.

- Masz cholerną rację.

- Znowu ten słodki głos - lakonicznie zauważył Con.

- Pace, ona jest w tym pokoju, razem z nami. Nic jej się stać nie może.

- Masz cholerną rację.

- Jest wściekły. - Dev łagodnie wyjaśnił sytuację Colm, która patrzyła z szeroko otwartymi oczami. - Jeśli jakiś głupiec zechciałby teraz wejść mu w drogę, zrobiłby z niego szmatę.

- Och. - Colm obserwowała, jak twarz Pacera powoli się zmienia, jakby ktoś ją rozmasowywał. Wyciągnąwszy rękę, schwyciła jego dłoń i uśmiechnęła się do niego.

Uniósł jej dłoń i przycisnął do ust.

Con aż otworzył usta z podziwu.

- Boże, ależ ona ma moc.

- Faktycznie - zauważył słabym głosem Dev, obserwując, jak Pacer wpatruje się w Colm, a napięcie powoli opuszcza jego ciało. - Co chcesz zrobić?

Pacer obrócił się do Deva.

- Przeszukaj schowki Webstera. Dowiedz się wszystkiego.

Con i Dev wstali. Colm czuła, że przygląda się oddziałowi złożonemu z dwóch żołnierzy.

- Bierzemy się do niego - powiedział Pacer lekkim tonem. - Twardo i ostro, szybko i spokojnie.

- Dokładnie tak?

- Tak jest, Con. Dokładnie.

- Tak jest.

Dev skinął ostro głową.

Colm wpatrywała się z otwartymi ustami w Pacera, następnie spojrzała na dwóch mężczyzn stojących spokojnie przed nim i tak mu posłusznych.

- To brzmi jak wypowiedzenie wojny - zauważyła drżącym głosem.

- Tylko wtedy, kochanie, gdy stwierdzę, że cię podgry-

zali, usiłowali zniszczyć... albo mają cokolwiek, co należy do ciebie.

- Wtedy ja też wchodzę.

- Oczywiście. - Schylił się i pocałował ją w policzek, ociągając się z wyprostowaniem. - To nie będzie łatwe, moje serce, jeśli są tacy, jak ich oceniam. Będziemy musieli być brutalni... bo oni są tacy.

Skinęła głową.

- Nie widzę nawet cienia szansy na to, by była to tylko burza w szklance wody - powiedział Con.

- Być może - powiedział Pacer. - Ale mam złe wrażenia z ranczo. Oczywiście, poradzimy sobie z nimi.

- To załatwia sprawę - powiedział bez emocji Dev. - Kiedy zaczynamy?

- Muszę najpierw wrócić do Houston i przetrzeć parę ścieżek.

- Rance - spokojnie podpowiedziała Colm.

Pacer kiwnął głową.

- To jedno. Będziemy działać bez pośpiechu. Właściwie to musimy załatwić sprawę do następnego zebrania rady firmy Fitzroy. W tym czasie pokażę Colm Nowy Jork, a ona oprowadzi mnie po Houston. Moi ludzie poradzą sobie z resztą... gdy dam znak.

- Zajmujemy więc pozycje - powiedział Dev. - Colm, będziemy kupować twoje akcje i przeprowadzimy głębszą analizę stanu twojej firmy.

- Dobrze. Będę głosować razem z wami, wykorzystując pakiet akcji odziedziczonych po mojej matce. -

Uśmiechnęła się blado. - W ten sposób przepchnęłam się do prezesury i stanowiska naczelnego. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Podczas kilku ostatnich zebrań Webster zachowywał się bez skrupułów. Na samym początku był bardzo ostrożny, lecz teraz otwarcie usiłuje mnie zmusić do ustąpienia z zajmowanych stanowisk.

Con skinął głową.

- Zrobimy co można, by zmienić jego plany. Przylecimy, gdy wprawisz wszystko w ruch, Pacer. Do tego momentu będziemy siedzieli jak mysz pod miotłą, wykupując tylko akcje. To może być zabawne.

- Jasne. - Łagodna twarz Pacera na chwilę stężała. - Czuje, że jest tu jeszcze dużo tajemnic, muszę się jeszcze dużo dowiedzieć. - Potrząsnął głową. - To jest pod ręką... mętne, ale jest... gdzieś tuż, tuż,

Dev gwizdnął łagodnie i Con zeszywniał.

- O co chodzi? - spytała Colm, przenosząc wzrok od jednego do drugiego.

Dev zamyślił się.

- Pacer... widzi pewne rzeczy. Czasem to mu się zdarza, gdy spotyka ludzi... widzi ich najgłębsze tajemnice. - Dev potrząsnął głową. - Jego dziadek, Szary Wilk, miał dostęp do mistycznego świata.

Colm zrozumiała to natychmiast. Dlaczego wierzyła Pacerowi Creekwoodowi Dillonowi? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, lecz wierzyła.

- Miałam takie wrażenie, że powinnam zamykać oczy, gdy patrzę na ciebie. - Roześmiała się i pogłaskała go po policzku. - Wariactwa mówię, prawda?

Schwycił jej rękę i ponownie pocałował.

- Ależ ona załazła mu za skórę - powiedział uszczęśliwiony Dev.

- Faktycznie. - Con uśmiechnął się, gdy Pacer podniósł głowę, by spojrzeć na nich. - Czy nie przeciągamy struny?

- Troszkę - odpowiedział Pacer i się uśmiechnął. Mając Colm u boku, czuł się tak radosny! Nagle naszła go fala lęku. Była w niebezpieczeństwie! Kto jej zagrażał? Gdzie był wróg? Pacer opiekował się nią, lecz nie mógł działać zbyt szybko. Musi wiedzieć więcej. Od tej chwili

musi być blisko Colm, by ją poznać i żeby ona go poznała. Musnął wargami jej policzek.

Colm poczuła, jak jego dotyk ją rozpała. Drapieżny ogień o imieniu Pacer był poza jej kontrolą, rozniecając w niej żar pożądania, niwecząc wszystkie jej mechanizmy obronne... i była szczęśliwa.

- Czy ciągle jeszcze chcesz mi coś pokazać w Nowym Jorku?

- Tak.

Pomyślał, że z nim będzie bezpieczna. A jej obecność w jego domu dawała mu poczucie szczęścia.

- Po lunchu pójdziemy z Megan do parku.

- Dzisiaj? - Olbrzymi pies nie wywoływał już w niej poczucia zagrożenia. Czy Pacer uwolni ją od wszystkich lęków?

- Tak.

- I zrobimy jakieś zakupy.

Conrad zaczął coś mówić półgłosem, podniósłszy słuchawkę telefonu. Dev usiadł przy drugim aparacie.

- Do zobaczenia - powiedział spokojnie Pacer.

Obaj mężczyźni, pochłonięci swoimi sprawami, kiwnęli głowami na pożegnanie.

Colm wyszła z pokoju za Pacerem. Była całkowicie pewna, że potrafiłaby usunąć napięcie, które go ogarnęło, gdyby tylko wyciągnęła dłonie i dotknęła jego rąk.

Wiedziała, że gdyby na niego spojrzała, jego twarz byłaby zrelaksowana, pogodna, chłodna. Centymetr po centymetrze cierpliwie i powoli przywiązywał ją do siebie, biorąc na siebie jej problemy. Lecz czy go znała?

Czym byłoby teraz życie bez niego? Olbrzymim wysiłkiem woli opanowała drżenie, które zaczęło ją ogarniać. Kim był Pacer Creekwood Dillon? Aniołem? Diabłem? Zbawcą? Niszczycielem? Wszystkim po trochu? Czy też żadnym z nich?

- Kochanie, zrelaksuj się, chcemy mieć trochę przyjemności z naszych krótkich wakacji.

- Wiem.

- Ale ciągle mi nie wierzysz,

- Wierzę tej części ciebie, którą poznałam, ale ta, której nie znam, jest dużo większa.

Był bardzo przystojną tajemnicą. Gdy patrzyła na niego, jego serce biło szybciej, niż powinno. Zakochana w absolutnie obcym? Nonsens.

- Będziemy ją wspólnie poznawać - powiedział. - Nie będę niczego ukrywać przed tobą.

Zamyślił się. Czy mógłby również odkryć powody jej kłopotów? Colm miała wspaniałą broń; zmysłową, paraliżującą umysł.

Colm uśmiechnęła się do niego, lecz nie mogła powstrzymać pytania, jaką też cenę zapłaciłby Pacer za odsłonięcie swego wnętrza. A czy ona potrafiłaby się otworzyć przed nim? Była pewna, że przed nikim jeszcze nie odsłonił się tak naprawdę, nawet przed Devem i Conem. Być może cena byłaby zbyt wysoka.

Rozdział 6

Nowy Jork miał na nich czarodziejski wpływ. Cały czas bawili się, zwiedzając zakątki tego wyrafinowanego miasta ze szkła i stali.

Colm wiedziała, że nie zapomni nigdy czasu spędzonego z Pacerem. Stworzył atmosferę przesyconą radością. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie mogła jej zaznać. Czy utrzyma go przy sobie? Próbowała zapomnieć o tym dręczącym ją pytaniu.

Dni mijały szybko. Noce były boskie.

- Nie sądziłam, że lubisz tańczyć - powiedziała mu pewnego wieczoru, gdy kołysali się w rytm łagodnego walca w Rainbow Room.

- Teraz bardziej niż kiedykolwiek. - Wtulił usta w jej włosy. - Sukienka wspaniale na tobie leży, ale chyba już to mówiłem?

- Powiedz jeszcze raz. - Roześmiała się. W towarzystwie Pacera nawet nie próbowała się maskować. Nigdy nie nalegał, by dowiedzieć się więcej, niż chciała powiedzieć. Pozwalało to zapomnieć o przeszłości. Choć na kilka dni. Wędrując magicznym Manhattanem, mogli oboje zapomnieć o zaborczym świecie, odizolować się od spraw przyziemnych.

Ostatniego dnia w Nowym Jorku, podczas spaceru z psem, Colm nie mogła powstrzymać się od śmiechu, widząc, jak ludzie schodzą im z drogi.

- Widzisz? - powiedziała do Pacera. - Mówiłam ci, że to poskutkuje.

- Nie zgadzam się. Spuść ją ze smyczy, Colm. Co będzie, jeśli pociągnie cię za sobą?

- Nie zrobi tego. To grzeczna dziewczynka.

Gdy jakiś pies zaszczekał na Megan, wilczyca się zatrzymała.

- Proszę pani, niech pani trzyma swego lwa krótko. Mój Harvey nie lubi innych psów. - Tęgi mężczyzna był podobny do swego wojowniczego czworonoga.

- To pan niech trzyma swego psa - odpowiedziała Colm. - Jest niebezpieczny. Chodźmy, Megan, nie chcę, żebyś się zadawała z jakąś hołotą.

- Świetnie ci idzie - rzucił półgłosem Pacer, spoglądając przez ramię, gdy pobiegli dalej.

- Nie sądziłam, że tacy ludzie mają wstęp do Central Parku. - Colm lekko dyszała, pot pokrywał jej ciało. - Czy ty się nigdy nie pocisz, nigdy nie masz zadyszki? - zapytała z zazdrością.

- Pewnie bym się spocił, gdybym musiał dołożyć temu facetowi z psem.

- Bzdura. To było zupełnie zero. - Zdwijając wysiłek, próbowała wyprzedzić Pacera, lecz było to niemożliwe. Zwolniwszy, pociągnęła Megan i opadła na ławkę. - Chcesz... mnie... wykończyć.

- Twoje zero mogło stracić parę zębów. - Pacer usiadł obok, przytulając ją do siebie. - Nie pozwolę ci odejść, Colm - powiedział i pocałował ją.

Cały świat zawirował jej w oczach. Wreszcie się cofnęła.

- Ludzie patrzą - powiedziała, łapiąc z trudem oddech.

- Nie na Manhattanie, kochanie. Pocałuj mnie jeszcze raz.

Pocałowała.

- Żałuję, że musimy dzisiaj wyjeżdżać - powiedziała z ustami przyciśniętymi do jego warg.

- Będziesz mogła pokazać mi swoje miasto. Jakie ono jest?

- Fajne. - Zdyszana, wzburzona wpatrywała się w niego. Cholera, całkiem ją oczarował. Jak to się stało?

Po powrocie do Teksasu Colm ciągle czuła się odurzona aurii, którą otoczył ją Pacer.

Gdy jechali z lotniska do mieszkania Colm, Houston było podobne do błyszczącego Szmaragdowego Miasta z bardzo, bardzo wesołej krainy czarodzieja Oz. Słoneczne światło pokrywało je złotem, obsypując wszystko lśniącymi klejnotami.

- Denerwujesz się - zauważył Pacer, spoglądając na nią uważnie.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała głosem cierpkim jak niedojrzałe jabłko.

- Czy dlatego że przyjąłem propozycję zamieszkania u ciebie?

- Nie bądź głupi. - Pomyślała, że niedługo sama z siebie może zrobić idiotkę, błagając, by wpuścił ją do łóżka, gdzie się podział jej lęk przed poufałością?

Zapra gnęła, by powrócił.

- Jeśli nawet sprawi ci to kłopot - powiedział - nie chciałbym zostawić cię samej w mieszkaniu. Mówiłem ci, że mam jakieś dziwne przeczucia?

- Mówiłeś.

- Więc się nie irytuj. Zostaję z tobą.

Wjechał mercedesem do podziemnego garażu na miejsce oznaczone nazwiskiem Colm i pomógł jej wysiąść.

- Masz wspaniałe nogi, kochanie.

- Dziękuję. - Colm czuła, że cały jej świat staje na głowie. Dlaczego nie martwi się tym, że ten namiętny, tajemniczy Pacer Creekwood Dillon wtargnął w jej życie i rozgościł się w nim na dobre?

Wziąwszy torebkę, poszła do windy. Pacer zajął się dwiema cięższymi walizkami. Zauważyła, że rozgląda się po garażu. „Pacer zawsze ma się na bacności” - pomyślała. Ledwo zwróciła uwagę na ostry dźwięk silnika. Cała była skoncentrowana na Pacerze, i na tym, że będzie go miała u siebie. Była w połowie drogi do windy, gdy przebłysk strachu sprawił, że zatrzymała się i odwróciła do nadjeżdżającego samochodu.

Gnał w jej kierunku. Colm, cała sparaliżowana, mogła tylko się przyglądać. Instynktownie napięła mięśnie, szykując się do ucieczki.

Nie zdążyła nawet drgnąć, gdy Pacer znalazł się przed nią. Odepchnął ją z kierunku jazdy samochodu, zanim wóz zdążył uderzyć. Upadła ciężko na cementową podłogę. Oszołomiona, lecz przytomna, usłyszała jęk bólu. Wiedziała, że został uderzony. Pacer był ranny!

Wyjąc silnikiem, samochód wpadł na rampę wyjazdową i zniknął.

Ramię i biodro bolały ją od upadku, lecz ignorując ból pozbierała się jakoś i odwróciła do Pacera. Siedział na cementcie, rozcierając ramię.

- Pacer? Jesteś ranny?
- Zwykły siniak.
- Uratowałeś mnie.

Nie odpowiedział.

- Upadłaś. Pozwól, że cię obejrzę.
- To ja powinnam cię obejrzeć. Słyszałam jęk.
- Może pojdziemy na górę i tam pozwolę ci obejrzeć mnie całego?

Ogarnął ją płomień namiętności.

- Jesteś bardzo zabawny.
- Wcale nie żartowałem. -Wstał i pomógł jej się podnieść.-Idziemy?

Zareagowała na całe zajście dopiero wtedy, gdy drzwi

windy zamknęły się za nimi. Zaczęła się trząść, odwróciła się od Pacera.

- Ten samochód... - powiedziała słabo - chciał...

- Ciii - Wziął ją w objęcia. - Nie myśl o tym. Jestem z tobą. Jesteś bezpieczna. - Jego ręce głaskały ją po plecach, uśmierzając drżenie. - Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Podniosła głowę, szukając z zamkniętymi oczami jego ust, jego ciepła i siły. Język Pacera znalazł się między jej wargami i delikatnie dotknął jej języka.

Objęła go ramionami, kurczowo wbijając mu palce w plecy, wczepiając się w niego rozpaczliwie. Chciała, by ją kochał. Ostatnia z barier opadła, Colm przywarła do niego jeszcze silniej.

Serce Pacera waliło tak mocno, że pomyślał, iż wyskoczy mu z piersi. Podciągnął ją do góry, czując żądzę nie do powstrzymania.

- Kochanie. Bo wezmę cię w tej windzie... a chciałbym to zrobić w bardziej nastrojowym miejscu.

Jego słowa rozogniły ją.

- Mówisz zachęcająco.

- Czyż nie? - Pożądanie pulsowało w nim. Chciał jej, lecz tak ją uwielbiał, że pragnął ją również chronić. W jej oczach była wyraźna zachęta, lecz widział również ociąganie i obawę.

Winda stanęła na piętrze Colm i otworzyła się. W tym samym momencie drzwi do jej mieszkania stanęły otworem, ukazując gospodynię Pinę, stojącą z olbrzymim metalowym rondlem w ręku.

- *Senorita*? To pani? - zapytał Pina.

- Tegośmy oczekiwali - powiedział łagodnie Pacer.

- Tak, Pino - Colm się roześmiała, gdy Pacer puścił ją niechętnie. - Co ty robisz?

- Zabezpieczam się, *senorita* - odpowiedziała Pina.

gestem zapraszając Colm i Pacera do środka. - Kupiłam również *perro*.

- Psa? Kupiłaś... - Głos Colm zamarł, gdy dostrzegła stojącą w foyer bestię.

- Irlandzki wilk, jak Megan - powiedział Pacer. - Świetnie tu pasuje. Cześć, chłopie...

- To dziewczyna, *senor*, wabi się Pansy. Teraz mieszka tutaj. - Pina spojrzała na Colm. - Wiem, że pani się boi, *senorita*, lecz ona jest lepsza od systemu alarmowego. Dlatego musi tu być.

- Rozumiem - powiedziała Colm słabym głosem. Życ przez kilka dni z Megan w mieszkaniu Pacera, a mieć tego wilka u siebie w domu, to były dwie różne rzeczy. Jednak wiedziała, o czym mówi Pina. - Rozumiem, że jest lepsza od alarmu przeciw włamaniowego.

- *Si*. Nie można jej przeciąć drutów, *senorita*.

- To prawda.

- Wydaje się, że jest przyjazna - powiedział Pacer, wyciągając rękę do psa, by ją obwąchał.

- Tak jest, *senor*, dopóki nie spróbuje pan mnie uderzyć. Wtedy pana zabije. - Pina się rozpromieniła. - Mój kuzyn Juan powiedział, że ona jest dobrze wytresowana. Naucz ją też bronić *senoritę* Colm.

- Juan tresował psy wyścigowe na Florydzie - wyjaśniła Colm Pacerowi. - Teraz prowadzi szkołę psów obronnych.

- *Si*. Powiedział mi, że ona ma zbyt dobre serce, by zabijać, ale będzie bronić pani, *senorita*, i mnie. Dlatego ją wzięłam.

- Uff, dobrze. Ale nie chciałabym, żeby zabiła *senora* Dillona, Pino.

Pina wzruszyła ramionami.

- Dobrze, może tego nie zrobi.

- Co za ulga. - Pacer uśmiechnął się i przykucnął.

Wielki wilk obwąchał go. - Czy Juan jest pewny, że ten pies ochroni dom, Pino?

- *Si*. Juan jest dobrym trenerem, sehor.

- Jej kuzyn jest... swego rodzaju przedsiębiorcą - sucho powiedziała Colm. - Jest znany z tego, że prowadził walki kogutów i szmuglował przez granicę wysokoprocentową *tequile*.

- Moja rodzina nie jest dumna z tej działalności Juana... lecz czasem bywa użyteczny - powiedziała Pina, ściągając usta. - A psa kupiłam. Powiedziałam pani wujkowi, by zapłacił Juanowi.

- Wujek Henry?

- *Si*.

- Ale dlaczego tak nagle potrzebuje psa?

- Też chciałbym znać odpowiedź - słodko powiedział Pacer, zwracając głowę do Colm. Poczula dreszcz. Poznała w głosie ton, którego tak bali się Dev i Con.

- Ktoś się włamał do mieszkania - powiedziała Pina. - Wezwałam *policia*, a gdy przyszli, schowałam się. - Twarz Piny stężała. - Ci źli ludzie zdemolowali gabinet, pozzrucali wszystkie książki z półek. Niektóre z nich zniszczyli. Nie chcę takich rzeczy tutaj. - Pina wskazała na ciężki rondel. - Nie biorę tego w łóżko.

- Kładąc, się spać - delikatnie poprawiła ją Colm.

- *Si*, to właśnie mówię. Nie mogli się dostać do sejfu, ale próbowali.

- Och? Przecież w sejfie niczego nie ma.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do nas?

Pina długo przyglądała się Pacerowi.

- Pan myśli, że mogą przyjść znowu. O to chodzi?

- Być może. Chcę obejrzeć gabinet.

- Gdy *policia* odeszła, sprzątnęłam wszystko. Powiedzieli, że mogę.

- Cholera. - Pacer skrzywił się i skinął głową. - Mimo wszystko chcę zobaczyć.

Colm przyglądała się, jak szedł przez wyłożone marmurem foyer. Potem spojrzała na Pinę i psa.

- Chodź tutaj, Pansy. Co za głupie imię dla tak wielkiego zwierzęcia!

Gdy suka wcisnęła nos w jej dłoń, Colm wpatrywała się w zamknięte drzwi do gabinetu.

- *Mucho hombre, senorita*. Cieszę się, że jest z panią.

- Ja też. - Colm spojrzała na sukę, której głowa była jednak zbyt blisko kolan. - Cieszę się, że i ty tu jesteś, Pansy.

Pacer obszedł gabinet, dotykając różnych przedmiotów, przesuwając palcami po książkach, lecz nie wyczuwał żadnych wibracji. Pina, jako dbająca o porządek gospościa, usunęła wszelkie ślady po nieproszonych gościach. Czego szukali? Co sprawiło, że wdarli się do mieszkania Colm? Kłopoty w firmie? Możliwość jej przejęcia? Dlaczego teraz?

Pacerowi wydawało się, że wycieka z niego krew. Opanował go strach, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał. Niech ich wszystkich piekło pochłonie! Znajdzie tego, który prześladowuje Colm, i dowie się, dlaczego się włamał.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Tak, tu Pacer. Było włamanie do mieszkania Colm Fitzroy. Nie wiem, czego tu szukali, ale mam zamiar to ustalić. I niemal udało im się potrafić ją w garażu. Zbadaj to. Już. Zrób to. Chcę wiedzieć wszystko jeszcze dzisiaj wieczorem. Słyszysz mnie? Rozstaw wszędzie ludzi, w tym budynku i w firmie... i na ranczo. Nie zapomnij o Calebie.

Odłożył słuchawkę i przeszedł się jeszcze raz po pokoju, próbując sobie wyobrazić, czego mogli szukać intruzi. Colm otworzyła drzwi i zamarła. Pacer stał pośrodku

pokoju z zamkniętymi oczami, zacisnąwszy pięści, niemal nie oddychając.

- W porządku, kochanie. Wejdz.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Zawsze będę wiedział, że jesteś obok mnie.

- Zadzwoiłam z innego telefonu do Rance'a. Przyjdzie tutaj... Choć niechętnie. Powiedziałam mu, że go zastrzelisz, jeśli tego nie zrobi.

- Zastrzelę każdego, kto chciałby zrobić ci krzywdę.

A jeśli Webster ze swą bandą odpowiada za to włamanie, rozdepczę go - powiedział z prostotą.

- Jesteś przekonany, że to oni?

- Owszem.

- Ale coś jeszcze cię niepokoi?

Uśmiechnął się.

- Zaczynasz mnie wyczuwać, moje serce. To mi się podoba. - Jego uśmiech zniknął. - Coś się jednak nie zgadza, kochanie. Nie wiem co... ale się dowiem.

- Sądzisz, że jeszcze ktoś jest w to wciągnięty?

Poruszył ramionami, jakby dźwigał na nich wielki ciężar.

- Nie wiem, o co chodzi, lecz coś mnie niepokoi. Byłbym głupcem, gdybym nie przywiązywał do tego wagi.

Skinęła głową.

- Zadzwoiłam do wujka Henry'ego. Chciałam mu zwrócić pieniądze za psa, lecz się nie zgodził. Przyjdzie dzisiaj wieczorem na kolację.

- To porządny człowiek. I ma dobrą opinię jako biznesmen.

- Mógłby prowadzić własne przedsiębiorstwo, lecz zawsze był lojalny w stosunku do firmy Fitzroy. - Uśmiechnęła się. - Był bardzo bliskim przyjacielem mojej matki... Sądzę, że również jej żona, lecz nigdy jej nie po

znałam. Zmarła przed moim urodzeniem. Opowiadał mi wiele o matce.

- Twój ojciec nie robił tego? - Pacer dostrzegł, jak jej twarz się zmienia, tężeje.

- Nigdy nie pytałam ojca o matkę. -Przygryzła wargę. -On jej nie kochał, na pewno. Nie wszystko, co mówił do niej, rozumiałam, lecz ciągle widzę jej ściągniętą z bólu twarz. Wiedziałam, że czasem ją bił. Matka tłumaczyła sianiaki upadkiem. - Colm podniosła oczy na Pacera. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek chciała pracować w kompanii ojca... Pamiętam natomiast, jak przyprowadzał do domu obce kobiety, jeszcze za życia matki. Byłam małą, gdy umarła, ale pamiętam je dobrze.

- To mogło być związane z interesami, kochanie.

Colm spojrzała na niego.

- Nie. To nie były sprawy biznesu, gdyż te kobiety przebywały w domu dzień i noc. Gdy matka umarła, było jeszcze gorzej. Zanim zaczęłam chodzić do szkoły, już o nich wiedziałam. Często robiły wstretne uwagi, które mnie irytowały, więc nauczyłam się ich unikać. Wiedziałam jednak, że są w domu. Gdy moje guwernantki narzekały, że przyjęcia i pijaństwa wywierają zły wpływ na dziecko, zwalniał je. Wreszcie wysłał mnie do szkoły z internatem. - Zdławiła w sobie szloch. - Bałam się tak bardzo, że było to dla mnie zdecydowanie lepsze niż siedzenie w domu.

Pacer szybko do niej podszedł i mocno przytulił.

- Już nigdy nie będziesz samotna. Ja będę z tobą. - Odsunął się od niej trochę. - Poślemy nasze dzieci do szkoły wtedy, gdy do tego dojrzeją... Będą tylko nas oglądać. Bardzo czułych dla siebie.

Colm zaśmiała się z przymusem.

- Poruszasz się wielkimi krokami, Dillon.

Jego dziecko! Z włosami w jasne pasemka, o srebrzy-

stobłąkitnych oczach, nieustraszone, w wieku dwóch lat...
Dość!

- Długie nogi bardzo mi w tym pomagają - odpowiedział, głaszcząc ją łagodnie po plecach. - Jesteś śliczna.

Pożądanie przemknęło przez nią jak cyklon, pozbawiając ją oddechu.

- Musimy się przygotować do kolacji. Mamy gości.

- Tak. - Idące od niego ciepło rozgrzewało ją. - Czy pozwolisz zabrać się na górę? Chcę się z tobą kochać.

- Tak. - To było głupie, może niebezpieczne. - Tak, chcę tego.

- Weszli do holu i ramię przy ramieniu poszli schodami na górę.

Powtarzała sobie, że nie idzie na szafot. Idzie, żeby się kochać. Trochę tylko się trzęsie, to wszystko.

- Nie nalegam, kochanie - powiedział Pacer.

- Wiem. - Wprowadziła go do swego pokoju. Zawsze tak bliski, nagle wydał się jej obcy. Pomaszerowała prosto do łóżka i usiadła, gdyż nogi nazbyt się trzęsły, by ją utrzymać. - No to jesteśmy.

Pacer uklęknął przed nią.

- Jeśli tylko każesz mi przestać, kochanie, przerwiemy.

- Pocałuj mnie, Pacer. Uwolnij mnie od tego strachu.

Zastanowił się, czy pamięta, że to samo powiedziała mu w Nowym Jorku.

- Kochanie, spróbuję.

Położył ją na łóżku i powoli rozebrał, obsypując pocałunkami. Następnie podniósł się i zdjął z siebie ubranie, rozrzucając je po podłodze.

Klęknąwszy na łóżku, pochylił się nad jej talią, dmuchając delikatnie w obnażoną skórę. Westchnęła, a on spoczął na niej ustami, dotykając językiem, pieszcząc i masując delikatne ciało. Jego największym pragnieniem było zaspokojenie jej, chciał, by się pogrążyła w miłości.

Wędrował wargami po skórze, rozpalając ją. Ruchliwy język uwodził, przekazując jego uczucia i pożądanie w swych słodkich poszukiwaniach.

- A ja, głupia, myślałam, że język służy do mówienia.
- Colm nie mogła złapać oddechu, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu.

- Między innymi - powiedział wtulony w jej ciało, wzbudzając w niej jeszcze większe pożądanie, harmonizujące z ogarniającą go żądzą. Przeniósł głowę niżej, wargami odsuwając na bok jej majteczki i równocześnie, zsuwając je delikatnie dłonią.

- Pacer!

- Kocham cię, moja słodka Colm. Nie bój się.

- Tak?

- Tak. Będzie ci się podobało, zobaczysz.

- Och. - Wniknął w nią ogień tysięcy iskiei, gdy poczuła aksamit jego dotyku: ciepło, żar i słodycz nie znanego jej uczucia wnikania w jej ciało. Łagodność i szal, spokój i podniecenie, wszystkie te uczucia stapiały się w jedno, gdy Pacer ją pieścił. Poczuła, jak rozpada się na kawałeczki, by po chwili scalić się jako część Pacera. Groźnego, przemożnego...

Przenikające pożądanie ożywiło jej ciało, poddając je Pacerowi. Żadna z jego pieszczot nie była w stanie ugasić ognia, który ją ogarnął.

- Teraz! - wykrzyknęła z głębi swego istnienia, nie mając o tym najmniejszego pojęcia.

- Kochanie... - Pacer z potarganymi włosami i pół-przymkniętymi, błyszczącymi z podniecenia oczami uniósł głowę.

- Ja... nie wiedziałam - powiedziała słabym głosem, wbijając paznokcie w jego barki. Uśmiechnęła się do niego. - To jest wspaniałe.

- Jest.

- Kochaj mnie.

- Kocham cię od chwili, w której podtrzymałem opadającą sukienkę. Na zawsze. - Jego słowa złączyły ich słodkim przymierzem, wzmagając jeszcze bardziej otaczającą ich żarliwą aurę. Ręce i usta Dillona ponownie wędrowały po jej ciele, rozpalając bezgranicznie zmysły.

Czuła, jak pulsuje w niej pożądanie, jak jej ciało omdlewa. Przyłgnęła do Pacera. Podniecona jego powolnym rytmem, pragnąc zaznać czegoś więcej, zaczęła go gorączkowo pieścić.

- Nie bój się, moja Colm.

- Nie boję się. - I była to prawda. Palila się do niego, pragnęła go. Przywarła do niego całą sobą, jej ciało wilo się zachęcającymi ruchami.

Pacer nie mógł się powstrzymać. Wślizgnął się w nią, przekroczył zwilgotniałą bramę i został uwięziony przez gorącą obręcz jej ciała. Doznał stanu nieznanej ekstazy.

- Colm!

- Tak! - Wstrząśnięta i drżąca nagle znalazła się na szczycie góry i eksplodowała nad przepaścią, spadając w próżnię, lecąc w aksamitną otchłań znaną tylko zakochanym.

- Kocham cię.

Kto to powiedział?

Pacer trzymał ją w objęciach, dopóki nie minęły ostatnie wibracje spełnionej miłości.

- Bardzo mi się to podobało - powiedziała Colm. Spoglądała w górę, widząc na jego twarzy rozleniwione zadowolenie, które i ona odczuwała. - To było wspaniałe. Myślałam, że będę się bała. A zamiast tego czułam tylko radość.

Uśmiechnął się.

- Od nikogo nie usłyszałem czegoś bardziej miłego.

- Że nie boję się ciebie?

- Tak, kochanie. To jest dla mnie najważniejsze. - Pochylił się i pocałował ją mocno, z łagodną dzikością, upajając się jękiem, który wydobył się z jej ust.

Przyływ namiętności poruszył Pacera. Tylko Colm rozpalą go tak szybko.

Przez mgnienie oka Colm poczuła jakiś mrok w swej duszy, lecz uczucie to zniknęło natychmiast. Czy poczucie szczęścia też jest ulotne? Przywarła do Pacera.

- Zawsze będę tutaj i z tobą, Colm.

- Tak łatwo możesz mnie przejrzeć?

- Nie, kochanie. Po prostu jesteśmy jednością. Z nikim nie czułem się tak dobrze. Nasza miłość jest tak żywa, pogodna i wspianiała.

- Szaleństwo, prawda? - Jej przymknięte powieki zaczęły drzeć, gdy namiętność znowu dała znać o sobie. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że to może się stać tak szybko? Kochanie się było tak zadziwiające i... przyjemne. Wspaniałe. - Całe szczęście, że mamy klimatyzację, Pacerze Creekwoodzie Dillonie. Inaczej spłonęlibyśmy w ogniu, który wzniesasz.

- Jesteś prawdziwą podpalaczką. Z nas dwojga ja jestem zimny. - Pocałował jej obnażoną pierś, czując wszystko, tylko nie chłód. Serce biło mu jak młot, rozsadzało żebra. - Jeśli sobie życzysz, możemy przedyskutować sprawy związane z rynkiem akcji. - Złapał wargami jej sutek i zaczął go delikatnie ssać, delektując się słodyczą tej chwili, gdy jego ciało domagało się odpoczynku.

- Albo ceny nierogacizny na wolnym rynku. - Słowa Colm zabrzmiały niewyraźnie, gdy dotknęła i objęła palcami jego pobudzoną męskość. - Rzeczywiście, bardzo dobrze odpowiadasz w czasie rozmowy.

- Czyż nie jest to prawda? Co powiesz o cenach Rent-A-Wreck? - Pacer czuł, jak traci opanowanie nad sobą.

- Nie ma tematu, o którym nie moglibyśmy porozmawiać, kochanie. - Tylko o czym przed chwilą mówił?

- Uprawianie miłości nabiera nowego znaczenia, jeśli można wymienić się pomysłami. A może jakieś nowe receptury? - Colm omdlewała, jej głos słabł, w miarę jak wargi Pacera wędrowały po jej brzuchu coraz niżej, niżej...

- Tak. - Co powiedziała Colm? Czy w ogóle coś mówiła? Zawodził go słuch, oczy przesłaniała mgła. Ochota do żartów odeszła mu w momencie, gdy znowu poczuł ją w swych ramionach. Oddawał się całym sobą. - Kocham cię, kochanie.

- Za wcześnie na takie słowa.

- Wiedziałem o tym już pierwszej nocy, gdy podtrzymałem opadającą sukienkę.

- To była szybka decyzja - powiedziała rozmarzona, wyginając się w łuk, gdy całował jej najbardziej sekretne miejsce.

- Wtedy strzelił we mnie grom z jasnego nieba.

Powodowana narastającą potrzebą sprawienia mu przyjemności, Colm rozpoczęła wędrować ustami po jego piersiach. Z zadowoleniem zobaczyła, że pieszczenie sutków ponownie go pobudziło. Jak łatwo uczyła się go kochać.

- Ja to naprawdę lubię.

Położył się na niej i zsunął aż do stóp. Zaczął pieścić jej palce. Przesuwając się powoli do góry, brał ją w tak żywiołowy sposób, jaki tylko jest dostępny mężczyźnie, a ona wtórowała jego wibracjom, drząc całym ciałem.

W narastającym crescendo wznosili się, Ignąc do siebie, splatając się i obejmując. Opuścili swój codzienny świat i pożegnowali na planetę, którą stworzyli dla siebie. Miłość i życie wybuchały wokół nich.

Colm poczuła przyływ takiej słodyczy, że straciła od-

dech. Przez chwilę miała wrażenie, że oderwała się od niego i płynie samotnie wśród gwiazd.

W wybuchu namiętności oddawali się sobie wzajemnie, a wyzwolona w tym akcie moc życia ogarniała ich, ukazując niezmierną potęgę miłości.

Wreszcie opadli z delikatnym i słodkim drżeniem.

- To było cudowne.

- Otwórz oczy, kochanie.

- Nie, Pacer, chcę podziwiać te cudowności, które ciągle wirują mi przed oczyma.

- Widzisz gwiazdy i planety?

Jej oczy otworzyły się nagle.

- Tak. Znowu czytasz w moich myślach?

- Nie, po prostu przeżywam to samo, gdy cię kocham.

Przytuliła się do niego mocno. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Rzuciła wzrokiem na srebrny zegar na ścianie, wybijający właśnie szóstą.

- O Boże, jesteśmy tutaj już dwie godziny.

- Wielkimi sprawami należy się delektować - powiedział Pacer, gdy pukanie stało się bardziej natrętne.

- *Senorita* Colm?

- Tak, o co chodzi, Pina?

- *Que?* Proszę otworzyć drzwi. Chcę omówić z panią problem deseru.

- To cię oduczy trzymać starych domowników - wyszeptał Pacer.

Colm spojrzała na niego, leżał na plecach z dłońmi założonymi pod głowę.

- Jej matka przez wiele lat prowadziła dom mojej matki, a jej babka była nianią mojej matki. Pina знаła bardzo dobrze moją mamę! Poza tym nie miałam wyboru. Któregoś dnia przyszła i powiedziała, że zostaje. - Mówiąc tak, Colm walczyła z ubraniem, coraz bardziej wściekła na Pacera, który chichotał, wciągając spodnie.

Potyknąwszy się, Colm popędziła do drzwi i uchyliła je.

- Zrób, jak uważasz, Pina.

- Dlaczego ma pani ubranie w takim nieładzie? - Pinie udało się wreszcie wetknąć głowę w drzwi. - Aaa, teraz rozumiem. Pora na zamążpójście.

- Co do deseru...

- *Si*, zaraz do tego wrócimy, ale *senor* Pacer i tak się z panią ożeni.

Sądząc po głosie Colm, Pacer był pewny, że jest zażenowana. Uśmiechając się podszedł do drzwi, przytulił Colm i powiedział do Piny:

- Właśnie się kochaliśmy.

- *Si* - powiedziała surowo gospodyni. - Czy ożeni się pan z *senorita*? Bo jeśli nie, to Juan wpakuje panu kulkę.

- Pina! - Colm nie mogła się powstrzymać od łez i śmiechu jednocześnie. - Pacer, cicho!

- Wezwij swego kuzyna, Pino. Chciałbym, żeby ktoś nas zaciągnął do ołtarza. Ta dama stawia mi opór.

- *Que?* - Pina oparła dłonie na biodrach. - Wyciągnę weselny welon pani mamy.

- Dobry pomysł - błyskawicznie poparł ją Pacer. - Jestem zawsze gotowy do wykonania właściwych pomysłów.

Pina przytaknęła ruchem głowy.

- Widzi *senorita*, on boi się Juana.

- Taak, widzę to. - Colm spojrziała na promieniejącego zadowoleniem Pacera. - Chcę wziąć prysznic i przebrać się.

- Ja także. - Spojrział ponownie na Pinę. - Co do deseru, to lubię „pieczoną Alaskę”.

- *Que?* Przygotowałam lody z melonem, *senorita*, ale mogę...

- Lody z melonem są świetne - powiedziała Colm. Pina skłoniła się i odeszła, a Colm spojrziała twardo na Pacera. - Lepiej się ubieraj.

- Chciałem powiedzieć Pinie, że lubię również melony.
- Wiś-nia. - Colm czuła zimno i gorąco równocześnie.

Ciągle go chciała. Boże!

- Nie, melon - łagodnie odpowiedział Pacer.
 - Twój pokój jest na dole, na końcu holu.
 - Możliwe, ale wolę mieszkać tutaj. - Spojrzał na nią.
- Zrobisz ze mnie uczciwego człowieka w ciągu kilku dni, więc sądzę, że tak będzie lepiej.

Colm walczyła z sobą, by się nie uśmiechnąć.

- Wszystko psujesz.
- Ja?
- Ty.

Podszedł do stojącej w pokoju szafy i nacisnął klamkę, otwierając drzwi.

- Za mało tu dla mnie miejsca. Chyba jednak lepiej będzie, gdy zostanę w pokoju na dole.

Pragnęła bardzo, by został z nią, lecz było na to za wcześnie.

- Tamten pokój jest... zupełnie wygodny - powiedziała po chwili zastanowienia.

Uśmiechając się podszedł do niej i otoczył ramionami.

- Nie przejmuj się tym, kochanie. Mamy dla siebie czas całego świata. - Pocałował ją w czoło. - Wyjeżdżam jutro rano na ranczo.

- Jadę z tobą.

- Masz zebranie rady. Musisz zostać tutaj. Oboje wiemy, że firma jest w bardzo słabej kondycji finansowej. Chcesz zaryzykować, że ktoś ją przejmie?

- Nie. - Wiedziała jednak, że oddałaby ją bez zmrużenia oka, byle tylko nie stracić Pacera.

- Kochanie, nic nas nie rozdzieli. Obiecuję ci... - Zawiesił głos. - Poza tym chcę przeszukać centymetr po centymetrze twój gabinet. Możliwe, że jest tam jakaś taj-

na skrytka, w której schowano coś, czego szukali włamywacze.

- Czy mogą się jeszcze raz włamać?

- Niewykluczone. Ważniejsze jednak jest zabezpieczenie się przed jakimś ponownym incydentem z samochodem. Mam ludzi, którzy są rozstawieni tutaj i w firmie. - Uśmiechnął się do niej. - Właśnie... dostałaś nowego, raczej ponurego asystenta o imieniu Lazarus. Nie obawiaj się go, kochanie. Osłoni cię sobą, jeśli tylko byłby jakieś kłopoty. Zauważysz również paru nowych pracowników. - Pacer ciężko westchnął. - Zaryzykowałem z twoim wujkiem Henrym. Och, wiem, że uważasz go za uczciwego, kochanie, i doceniam to, ale... muszę się sam przekonać. Moi ludzie oceniają go również wysoko.

- Twoi...

Pacer powoli skinął głową.

- Jak już wiesz, utworzyłem pewną organizację składającą się z ludzi różnej narodowości. Wielu spośród nich to weterani, niektórzy Azjaci, część to Europejczycy, lecz pomagamy sobie wzajemnie bez względu na okoliczności. Moja sieć obejmuje wszelkie rodzaje zawodów i interesów, mamy już nawet personel drugiej generacji.

- Najemnicy?

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie to jest najważniejsze.

- I to jest ta tajna armia, o której wspominali twoi przyjaciele?

-Tak.

Przyglądała się jego twardej twarzy o zdecydowanym wyrazie.

- Nie chcę, żebyś mnie trzymał z dala od sprawy, a sam ryzykował.

- Nie robię tego, choć przeraża mnie sama myśl, że możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Muszę się dostać na ranczo, sam. Wezmę z sobą Pansy.

- Ledwo ją widziałeś, a już jej wierzysz?

- Ona jest jak ty, kochanie. Ma serce.

Colm potarła głową o jego brodę.

- Czy właśnie teraz nazwałeś mnie suką?

- Jesteś bardzo kochana.

Pacer uśmiechnął się. Tyle w niej było tego cholernego serca. Colm bała się wielu rzeczy, lecz swoje lęki trzymała w ryzach i przeganiała, gdzie pieprz rośnie. Chciała mu pomagać, choć się zdarzało, że lęk niemal ją paraliżował. Była szlachetną damą o wyjątkowej wytrzymałości.

- Potwór. - Uniosła głowę i ugryzła go w podbródek.

- Jeśli sądzisz, kochanie, że to mnie odwiedzie od zamiaru, to się mylisz - powiedział chrapliwym głosem Pacer. - Bardzo się podniecam, gdy mnie gryziesz.

- Wszystko cię podnieca.

- Wszystko, co ty robisz.

Spojrzała do góry i uśmiechnęła się. W jej oczach dostrzegł ukryty lęk.

- Wrócę do ciebie.

- Musisz... albo wytoczę ci sprawę o złamanie przyrzeczenia.

- Nie ma potrzeby. Wrócę błyskawicznie, by znaleźć się pod pantoflem.

- Obiecuj.

- Daję ci moje słowo.

- Lepiej go dotrzymaj. - Głos jej się załamał i ukryła twarz na jego piersiach.

Podczas lotu helikopterem na ranczo Pacerowi co chwila jawiła się przed oczami twarz Colm. Cały czas był zaprzątnięty myślami o niej.

Odwrócił się i rzucił okiem na irlandzkiego wilka. Pansy bez obaw wsiadła do helikoptera.

- No, panienko, jesteście niemal na miejscu.

Suka wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym oddania.

- Tak, to tutaj. Siedziba Rance'a. Siadamy. Nie chcę, żeby się za wcześniej zorientowali, że tu jesteśmy.

Pacer wylądował na znanej mu już małej polance. Helikopter był tu dobrze ukryty, nawet przed obserwatorem z góry. Suka wysiadła za nim, trzymając się ciągle z tyłu. Pacer sprawdził okolicę wokół chaty i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Było mu lżej, że Rance, choć mu się to bardzo nie podobało, jest w Houston z Colm.

Colm! Gdy pomyślał o ostatniej nocy, całe jego ciało ogarnął dreszcz pożądania. Przyszła do niego! Przypomniał sobie, jak się zdziwił, gdy otworzyła drzwi do jego sypialni.

- Nie byłam pewna, czy przyjdiesz do mnie - powiedziała łagodnie - więc uznałam, że przyjdę do ciebie.

Widział, jak krew napływa jej do twarzy. Choć byli już z sobą tak blisko, ciągle była niepewna i wstydliva.

- Chciałem przyjść do ciebie, kochanie; miałem nadzieję, że mnie nie wygonisz. - Otworzył ramiona, a ona wślizgnęła się w nie. - Płonę z tęsknoty za tobą.

- Czuję to samo - wyszeptala, obejmując go ramionami za szyję i przywierając do jego ust. -Lubię się kochać z tobą.

- I to cię dziwi?

- Tak.

Pociągnął ją do łóżka i przez całą noc byli z sobą, nie wypuszczając się z objęć do samego brzasku. Wtedy dopiero zmorzył ich sen.

Pacer nie zauważył nawet, że zacisnął rękę na obroży Pansy, tak że zaczęła się dusić.

- Daruj mi, panienko, myślałem o twojej pani. Niezbyt to mądre w takiej chwili, ale nie mogę o niej zapomnieć.

- Uśmiechnął się. - Zwariowałem, wdaję się w rozmowę z wilkiem. Chodźmy. Mamy coś do zrobienia.

Colm usiłowała skupić się na śniadaniu i rozmowie, którą prowadziła z Rance'em, ale ciągle wracała myślami do Pacera. Czy nic mu się nie stało? Czy również uważał, że ostatnia noc była wspaniała? Cała aż spłonęła, gdy przypomniała sobie pełne pasji wzajemne oddanie. Pacer był wspaniałym, delikatnym kochankiem. Na samo wspomnienie jak całował palce u jej stóp, zawrzała w niej krew.

- Słucham? Przepraszam, Rance, zamyśliłem się.
- Zauważyłem. Mówię, że jest tu cholerny hałas.
- Wytrzymasz w mieście przez parę dni.
- Nie mogę. Nienawidzę miasta. Zawsze nienawidziłem.

Colm spojrzała poważnie na mężczyznę, który był dla niej kimś więcej niż ojcem czy przyjacielem.

- No cóż, będziesz musiał się przyzwyczaić - powiedziała cierpko. - Wystarczy, że się niepokoję o Pacera.

- Powinnaś być razem z nim. - Rance nachmurzony patrzył na fajkę. - On nie zna Boru tak dobrze, jak ty.

- To właśnie mu powiedziałam. - Lęk owiał ją chłodem, choć wiedziała, że Pacer jest dobry. Walczył przecież w Wietnamie. Był skryty, ostry i odważny. Mimo ciągłego tłumaczenia nie mogła jednak opanować swoich obaw.

- *Wrócę, zanim zaczniesz za mną tęsknić, kochanie* - przecież tak powiedział, zanim ją mocno pocałował na pożegnanie.

- *A jeśli nie ?* - Nie mógł się uwolnić z jej objęć.

- *Skontaktuj się z Devem i Conem. Powinni przyjechać dzisiaj.*

Następny pocałunek tylko wzmógł jej pożądanie... i strach.

Colm bawiła się talerzykiem, na którym leżały kawałki pomarańczy.

- Czy sądzisz, że pojawią się nowe kłopoty? Pacer może działać zbyt pochopnie.

- Jest bardzo zręczny. Powinien łatwo dostać się do środka, załatwić co trzeba i zniknąć. - Rance odłożył nie zapaloną fajkę i wypił trochę soku pomarańczowego.

- Ale tobie to się nie podoba.

- Tak. Nie podoba mi się - powiedział zgaszonym tonem Rance. - Nie miał jeszcze do czynienia z ludźmi Webstera. A ja już ich poznałem.

- Pacer... poradzi sobie. - Jego utrata byłaby jak śmierć.

Rance spojrzał na Colm.

- Lepiej niech wróci. Zawsze chciałem zobaczyć twój ślub. Adaira również marzyła o tym. To powinno być wspaniałe wesele, niech więc lepiej wróci, bo zapojują na niego strzelbą.

Na ustach Colm pojawił się cień uśmiechu.

- Uciekłby z krzykiem w siną dal.

- Wiesz, że nie.

- Wiem. - Nigdy niczego nie była bardziej pewna.

Ostatnia noc była dowodem. Nie było miejsca, w którym mogłaby się przed nim ukryć, nawet gdyby chciała.

A wcale nie chciała. Jeśli nawet Pacer nie był zakochany, to wzięłaby go takim, jaki jest, gdyż nikt i nic nie dało jej takiej radości jak on. Przekraczającej wszelkie wyobrażenia. Ostatniej nocy szeptał jej tak czarowne słowa, że chciała słyszeć ich jeszcze więcej. I chciała mu się odwzajemnić.

Nawet teraz, choć byli tak daleko od siebie, miała wrażenie, że go całuje, że się obejmują. Potrzebowała go!

Pacer wrócił do helikoptera i wyciągnął mały plecak. W jego myślach znowu pojawiła się Colm.

Gdy usłyszał ciche warczenie sukki, chwycił broń i pobiegł w najbliższe krzaki.

- Chodź, panienko. - Pacer nie miał pewności, czy pójdzie, lecz podażyła za nim cicho i spokojnie.

Z punktu obserwacyjnego w krzakach zobaczył, jak dwóch mężczyzn zbliża się do chaty ostrożnie, z bronią w rękę. Jeden z nich w lewej ręce trzymał nóż.

- Pewnie poszedł na polowanie - powiedział ten, który szedł pierwszy.

- Aha. Ma szczęście - dodał mężczyzna z nożem. - W przeciwnym wypadku musielibyśmy go zabić.

- Dla mnie to bez znaczenia. Stary głupek kiedyś mnie wkurzył, strzelił mi w tyłek ładunkiem soli.

- Teraz możesz spalić jego budę. Poczujesz się lepiej.

- Na pewno.

Pacer nie chciał się ujawnić, lecz z drugiej strony nie mógł pozwolić, by spalili Rance'owi chatę.

- Cóż, moja panienko - szepnął do wilka - zobaczymy, czego cię nauczyli.

Wypełzając powoli z krzaków, zmierzał w kierunku mężczyzny, który z kanistra rozlewał benzynę wzdłuż ścian chatki. Pacer wielkimi susami podbiegł do niego od tyłu. Jedną ręką zatkał mu usta, by zagłuszyć ewentualny krzyk, a drugą uderzył.

Głośny jęk rozległ się w ciszy. Pacerowi pozostała tylko nadzieja, że drugi mężczyzna tego nie dosłyszał.

Warczenie psa i odgłos kroków dotarł do jego uszu w tej samej chwili. Odwrócił się i zobaczył spadającą mu na głowę kolbę karabinu.

W tym samym momencie Pansy skoczyła, wywracając na ziemię człowieka z karabinem. Karabin z hukiem wy-

strzelił, lecz suka tak się wzięła w przeciwnika, że już nic nie mogło jej powstrzymać.

Pacer w samą porę odwrócił się z powrotem do pierwszego, który zaczął wracać do przytomności, by ponownie go unieszkodliwić.

- Dobra panienska. Pilnuj ich.

Wróciwszy do helikoptera, wezwał przez radio jednego ze swych ludzi.

- Mam tu parkę, którą trzeba zdjąć. Co? Webster był zajęty, tak? Nie zarejestrował się w SEC? Dobrze. Myślę, że musimy powstrzymać wykupywanie przez niego akcji. Skąd, do diabła, zdobywa tyle forsy, by kupować te akcje? Zajmijcie się wszystkim. Ja idę dalej.

Pacer związał mężczyzn, ułożył ich w cieniu chaty i dał każdemu trochę wody. Potem obu starannie zakneblował. Nie martwcie się. Zdejmą was za piętnaście czy dwadzieścia minut. Pojedziecie prosto do komfortowej celi.

Mężczyźni wpatrywali się w niego, mamrocząc coś przez kneble.

Wziął leżące w krzakach plecak i broń, po czym powędrował drogą, która powinna go była wyprowadzić na olbrzymią równinę.

Suka podążała u jego boku, gdy zaczął biec równym truchtem, którego nauczył się w dzieciństwie. Z łatwością przemierzał rozległą przestrzeń.

Po upływie godziny patrzył w dół, na zabudowania ranczo.

- Cholera, ależ to piękne miejsce, ślicznie rozłożone na pagórkach. Teksaski raj.

Suka cicho zaskomlała.

- Grzeczna panienska. - Pacer poklepał ją po łbie. Może zostaniesz tutaj? Zostań. - Powędrował dalej, lekko pochylony. Kątem oka dostrzegł, że suka skuliła się i podąża za nim. - Bardzo dobrze. Będzie nas dwoje.

* * *

Colm nie była zachwycona udziałem w zebraniu rady. Jej myśli krążyły wokół Pęcera. Pomagała jej obecność Rance'a. Uśmiechnęła się, gdy Caleb przycupnęła na brzeżku sąsiedniego krzesła u szczytu długiego stołu, ignorując uniesione zdziwieniem brwi kilku członków rady.

Z początku spotkanie przebiegało w atmosferze spokoju i ostrożności. Krok po kroku ujawniali się jednak ci, którzy nie sprzeciwiali się przejściu firmy. Milo Webster był ich rzecznikiem.

- Panie Webster, czuję się urażona sugestią - powiedziała zimno Colm - że nie jestem zdolna do prowadzenia kompanii, która należy do mnie.

Webster uśmiechnął się z przekąsem.

- Pani ojciec nie miał żadnych planów dotyczących przejścia przez panią jego...

- Firma Fitzroy należała do rodziny mojej matki, a nie do ojca, panie Webster.

Webster wzruszył obojętnie ramionami.

- Niemniej jednak, ponieważ on i ja byliśmy współnikami, a on powierzył mi swoje akcje uprawniające do głosowania, uważam, że gra pani na zwłokę, mając nadzieję, że znajdzie się jakieś rozwiązanie. Ale to się pani nie uda, pani Collamer.

- Nazywam się Fitzroy, jak pan dobrze wie i jak zwracał się pan do mnie już wcześniej.

- Mam nadzieję, że nie chodzi pani o znieważenie ojca, pani... hm... Fitzroy.

- O co mi chodzi, to nie pańska sprawa, panie Webster. Pomimo to powiem panu, że wiem o wykupywaniu naszych akcji firmy Fitzroy przez Ajax Investments. Mogę pana zapewnić, że to w żaden sposób nie odwiedzie mnie od postawienia firmy Fitzroy na szczycie notowań giełdowych. - Westchnęła nerwowo, gdy zobaczyła, jak oczy

Webstera zmieniają się w szparki. Przypominał jej jadłowitego węża. - Czy możemy teraz wrócić do bieżących spraw? Może sekretarz odczyta ostatnie, mające jakiśsens zdanie...

Dyskusja trwała w nieskończoność. Colm nie ustępowała na krok, lecz Webster naciskał mocno. Ostre pytania na temat stanu finansowego firmy nieubłaganie spychały ją do narożnika. Bez przerwy zastanawiała się, skąd miał tyle dokładnych informacji na temat firmy.

Gdy otworzyły się cicho drzwi i weszli dwaj wysocy, starannie ubrani mężczyźni, Colm odwróciła się.

- Dev, Con. - Poczwała ulgę, gdy zobaczyła ich uśmiechy. Na pewno pomogliby Pacerowi. Może więc powinna skoncentrować się na pokonaniu Webstera jego własną bronią?

- Czego chcecie? - wybuchnął Webster. - To jest spotkanie członków rady, którzy będą głosować nad...

- Ooo? - łagodnie przerwał Dev. - Kontrolujemy pakiet akcji uprawniających do głosowania, więc chętnie weźmiemy udział w obradach. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Panno Fitzroy, czy zgodzi się pani, byśmy połączyli nasze głosy?

Colm skinęła głową, czując, jak dreszcz przebiega jej po plecach. Czy udało im się zdobyć odpowiednią ilość akcji? Jeśli tak, to w jaki sposób udało im się zrobić to tak szybko?

- I - dodał Con - zdecydowaliśmy poprzeć zmiany i udoskonalenia proponowane przez panią Fitzroy. Firma Fitzroy zostanie gruntownie przekształcona, lecz jej polityka nie ulegnie zbyt dużym zmianom. Akceptujemy ponowne zatrudnienie zwolnionych pracowników i szereg innych propozycji. - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, gdy zobaczył radosne zdziwienie Colm. - Czy możemy to przedyskutować?

Nie było żadnych protestów. Milo Webster został osaczony. Gdy głosowanie się skończyło, Dev usiadł ponownie w fotelu i uśmiechnął się zimno do Webstera.

- Jeśli jest pan zainteresowany sprzedażem swych udziałów, Webster, niech pan zadzwoni na ten numer. - Pchnął palcami kartkę przez stół do Webstera. - Damy panu dobrą cenę rynkową. - Dev wymienił liczbę, która wywołała na twarzy Webstera grymas złości.

- Jeszcze zobaczymy - odpowiedział Webster, wpatrując się w Deva i Cona.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Webster - spokojnie powiedział Dev. - Moglibyśmy pomyśleć, że nadszedł czas ujawnienia naszego dossier na twój temat.

Twarz Webstera zblęzła na chwilę, po czym odzyskał panowanie nad sobą.

- Ja również mam różne dossier. Może powinienem je ujawnić...

- Wynoś się stąd - powiedział Con cichym głosem. Webster otworzył usta, zamknął je, odsunął do tyłu krzesło i wyszedł z pokoju.

- Po raz pierwszy widziałem kogoś bliskiego apopleksji - powiedział Dev, pochylając się i całując Colm w policzek. - Zawsze chciałem użyć tego słowa.

- Jesteś wojownicza, Colm Fitzroy - stwierdził Con. - Myślę, że przegoniłaś go do własnego domu. - Jego oczy zwęziły się, gdy zerwała się z krzesła. - O co chodzi?

- Pojechał do Boru. Tam jest Pacer.

- Naprawdę? - stwierdził spokojnie Con. - Powiedział mi, że będzie w pobliżu, gdy przybędziemy. Jestem mu coś winien.

- Zbierajmy się - rzekł Dev. - Ja pilotuję.

Colm popatrzyła na niego, gdy szli razem do windy.

- Pacer mówił, że jesteś wyjątkowo narwanym pilotem.

- Usłyszeć coś takiego od Pacera! To żart.

- Od czasu do czasu Dev potrafi wystraszyć - powiedział łagodnie Con. - Myślę, że skorzystamy z tego dzisiaj. - Wymienili spojrzenie z Devem, gdy jechali windą na dach. - Dasz radę dołożyć Websterowi?

- Poradzę z nim sobie w każdej sytuacji... a jeśli nie, to go zastrzelę - powiedział Dev ze złością. - Nie dostanie Pacera.

Con skinął głową.

- Jeśli Webster zrobi krzywdę Pacerowi... - zaczęła Colm, lecz głos jej się załamał. Wzięła głęboki oddech. Powtórzyła sobie, że Pacer jest twardy. Wszystko będzie dobrze. Przecież obiecał.

- Nie dostanie Pacera, Colm - powiedział Con. - Nie wielu ludzi mogłoby to zrobić. A gdyby mimo wszystko coś mu się przydarzyło, to byłoby to dla Houston tragiczne.

- Co przez to rozumiesz?

- Tajna armia Pacera... Są mu bardzo wierni. Gdyby coś mu się stało, mogliby zrównać Houston z ziemią.

- Och!

- A my byśmy im pomogli. - Głos Deva zabrzmiał jak trąby w dzień Sądu Ostatecznego.

- Ja również - dodała Colm. - Nie mogę go stracić. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią i skłonili się z szacunkiem.

Rozdział 7

Pacer znajdował się na pagórku, z którego było widać Boru. Suka przy warowała u jego boku.

Strażnik przeszedł nie dalej niż pół metra od miejsca, w którym leżał na brzuchu, wpatrzony w ranczo.

- Dobra dziewczynka. - Pacer pogłaskał wilczycę, która nie drgnęła, ani nawet nie pisnęła. - Idziemy.

Skulony szybko przebiegał od krzaka do krzaka. Suka podążała tuż, tuż z pyskiem przy jego piętach.

Gdy znalazł się w zaroślach, które otaczały przestrzeń przed frontem domu, wyprostował się, otrząpał i zaczął rozglądać. Upewniwszy się, że nie ma nikogo w pobliżu, wyszedł z zarośli i bez pośpiechu podszedł do frontowych drzwi.

Wraz z Pansy weszli do środka, jakby byli zaproszonymi gośćmi. Na podstawie tego, co wiedział o domach ranczerskich, postanowił zajrzeć przez drugie z kolei drzwi w głównym holu. Wziąwszy głęboki oddech, nacisnął klamkę i pchnął lekko drzwi. Miał rację. Był to gabinet Webstera; pusty.

Oparł się plecami o drzwi i rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś śladów systemu elektronicznego ostrzegania. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Jednak nie dostrzegł niczego. Webster prawdopodobnie nie sądził, że system taki jest mu potrzebny we własnym gabinecie.

Suka wetknęła mu pysk w dłoń i cichutko zawarczała.

- Dobra z ciebie dziewczynka, Pansy. Daj znać, jeśli ktoś będzie nadchodził.

Pacer rzucił okiem na półki z książkami, biurko, obraz, który na ogół maskował sejf. Czy Webster trzyma najważniejsze papiery w sypialni, czy tutaj? Bez różnicy. Był w gabinecie, więc musi się rozejrzeć najpierw tutaj.

Wziąwszy drabinkę, obszedł wszystko wokół, przyglądając się książkom. Mapy, tabele, dane, książki finansowe różnej wielkości...

Następnie podszedł do biurka i z łatwością otworzył zamknięte na klucz szuflady. Nic.

Obraz nad obramowaniem kominka nawet nie drgnął.

Zbadał zasłony, dywan, nawet barek. Nic.

Musimy pójść na górę, Pansy.

Uchylił drzwi i zobaczył tęgą, ciemnowłosą kobietę idącą szerokim korytarzem. Odczekał, aż zniknie, przebiegł przez hol i podążył schodami na górę.

Insyngtownie wybrał podwójne drzwi, które, miał nadzieję, prowadziły do części zajmowanej przez gospodarza. Następne drzwi w ozdobionym stiukami przejściu były pojedyncze. Zamknięte! W ciągu paru sekund za pomocą podręcznego zestawu narzędzi pokonał zamek i znalazł się w środku razem z psem.

Poruszał się szybko, starając się jednak nie zostawić żadnych śladów. Opukał ściany, przejrzał wiele szaf i szafek. Nic! Co jest, do diabła?

Gdy suka zawarczała cicho, odwrócił się i podkraść się do okna.

- Helikopter? - wyszeptał.

Con ani Dev nie pojawiliby się w ten sposób.

Mógł się ukryć w gabinecie. Chciał być z Websterem sam na sam, żeby wycisnąć z niego trochę informacji.

Trzymając sukę przy nodze, Pacer wyszedł z pokoju i spojrzał znad balustrady na olbrzymie foyer. Nie było nikogo, zaczął więc schodzić. Ciemnowłosą kobietę ujrzał

w połowie drogi. Trzymając rękę na obroży Pansy, spoj-
rzał kobiecie w twarz.

- Pan jest mężczyzną *senority* Colm? - zapytała
z dziwnym akcentem.

Kiwnął głową, uświadomiwszy sobie, że kobieta jest
pewnie gospodynią, ciągle jeszcze lojalną wobec rodziny
Fitzroy.

- On pana zabije.

- Ukryję się w gabinecie.

- Przyjdzie tam.

- Wiem.

- Niech pan się schowa za barem. Nikomu nie pozwala
z niego korzystać.

- Dziękuję.

W czasie gdy Pacer zbiegał po schodach do gabinetu,
gospodyni zatrzasnęła drzwi wejściowe. Zobaczywszy,
że drzwi do gabinetu zamknęły się wreszcie za Pacerem,
odblokowała je ponownie. Pomyślała, że *senorita* Colm
poznała prawdziwego bohatera. Ten człowiek mógł przy-
wrócić jej Boru.

Drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem, uderzając
o ścianę.

Gospodyni zdrętwiała, usłyszawszy ten dźwięk, i za-
cisnęła wargi. Następnie skryła się w cieniu. Schodzenie
z drogi Websterowi stało się już zwyczajem.

- Zajrzyjmy do kartoteki, Brice - powiedział Webster,
zmierzając w kierunku gabinetu. - Chcę wiedzieć wszy-
stko o tych dwóch.

- Mogę ci powiedzieć, że Conrad Wendel i Deveril
Abrams to twardzi ludzie - powiedział Brice. - Zadając
się z nimi, można przegrać.

- Ja nie przegrywam, Brice. Pamiętaj o tym.
Brice wzruszył ramionami.

- Może powinieneś pomyśleć o skorzystaniu z oferty Troya. Moglibyśmy się stąd urwać. Wyjechać do Meksyku.

- Nie. Podoba mi się to miejsce... i dużo mnie kosztowało, by się tu znaleźć.

- Troy spotkał się ze mną przed zebraniem. Podniósł cenę.

- Moja odpowiedź brzmi: nie, Brice. Zostaję tutaj. Boru jest moje. - Webster przerwał, zapatrzony w przestrzeń.

„Ciekawe. Dlaczego tak mu na tym zależy? O co tu chodzi?” Pacer machnął ręką, jakby chciał odgonić jakieś natrętne myśli. Do diabła z nim.

Webster rozejrzał się wokół i wybuchnął śmiechem.

- Gdy byłem podrostkiem, musiałem sprzątać stajnie tych bogatych sukinsynów. Snułem wtedy różne plany, myślałem, że kiedyś zabiorę im ich rezydencje. Obiecywałem sobie, że któregoś dnia zajmę ich miejsce. I zobacz

- Boru jest moje... Nie! Zostaję.

Brice przytrzymał rękę Webstera, gdy ten otwierał drzwi do gabinetu.

- Troy zadzwoni po południu.

- Spław go.

- W porządku. Jeszcze jedno. Powiedziałaś, że chcesz obejrzeć nową klacz.

- Tak. Jedyne rzecz, na której się znam, to konie. Jeśli ten cholerny handlarz spróbował mnie oszukać, natychmiast się zorientuję. Gdzie ją trzymasz?

- W północnej stajni.

- Chodź, ale załatwmy to szybko. Chcę, żeby Claus i Stefan zajęli się robotą. To są ludzie, których potrzebujemy, by utrzyć nosa innym.

- Nie wierzę żadnemu z nich.

Śmiech Webstera zabrzmiał jak szczekanie psa.

- Nie musisz ich lubić. Ważne, że robią, co do nich należy.

Pacer usłyszał, że drzwi zamykają się z powrotem, a głosy cichną w oddali. Nikt nie wszedł do gabinetu. Odczekał dla pewności kilka bezcennych sekund, uniósł głowę znad baru, by się rozejrzeć. Ukrycie suki było cholernie trudnym zadaniem.

- Chodź, Pansy. - Otworzywszy drzwi, zobaczył gospodynię. - Możesz przechować ją w kuchni? - Przytaknęła, a on się uśmiechnął.

- Jeśli zrobiłoby się tu... głośno, wypuść ją, a sama się schowaj.

- *Si, señor*, ale mam wałek do ciasta. Szybko, musi się pan schować. - Mówiąc szybko po hiszpańsku, gospodyni próbowała zmusić sukę do pójścia z sobą. Jednak suka ruszyła za gospodynią dopiero wtedy, gdy Pacer ostrym tonem wydał rozkaz.

Następnie wrócił do pokoju i przyjrzał się barkowi. Nie było na nim żadnych butelek ani kieliszków. Czyżby Webster był abstynentem? Nie miał czasu na zastanowienie. Jeśli Webster rzeczywiście zamierzał objrzeć konia, zostało mu najwyżej dziesięć minut.

Szybko, lecz dokładnie, przeskakał pokój jeszcze raz. Cholera! Niczego nie było.

Zdesperowany przesunął drabinkę wzdłuż ściany i zaczął przekopywać się przez książki, skupiając się na tych, które wyglądały na rzadko używane.

Gdy był przy ścianie naprzeciwko drzwi, usłyszał syczący dźwięk, jakby skądś uciekało powietrze. Znajdując się na szczycie drabiny, nie miał czasu, by zeskoczyć i się ukryć. Zwinął się w kłębek.

Sąsiedni regał z książkami zaczął się wsuwać w głąb. Odsunąwszy trochę dobrze naoliwioną drabinę, przygoto-

wał się do skoku na wchodzącego tajnym wejściem gościa.

Rude włosy wchodzącej do gabinetu osoby powstrzymały go. Zatrzymanie się w pół skoku, do którego się szykował, kosztowało go jednak wiele wysiłku.

- Colm! Skąd się tu wzięłaś, do cholery!

- Witam z całego serca. - Spojrzała na niego do góry.

Przyszłam walczyć u twego boku.

Oślupiał, słysząc to śmieszne, trochę staromodne wyznanie, a jednocześnie bardzo go ono wzruszyło.

- Przestań.

- Co?

- Budzić we mnie myśli o kochaniu. Muszę być skoncentrowany wyłącznie na Websterze. Gdzie Dev i Con?

- Gdzieś w okolicy, razem z ludźmi. Kazali mi czekać w chacie Rance'a...

- A ty zdecydowałaś, że nie będziesz posłuszna.

- Nie chcieli słuchać o przejściu, więc postanowiłam sprawdzić, czy jest jeszcze czynne. Nie było używane od lat. W wyobraźni Pacera pojawił się obraz przysypanej ziemią lub uwięzionej w tunelu Colm. Przecież nikt nie miałby pojęcia, gdzie ona się znajduje.

Zeskoczywszy z drabiny, chwycił ją w ramiona i gorąco ucałował.

- Do diabła, Colm, mogłaś się zranić albo mogło się stać jeszcze coś gorszego... - Przymknął na chwilę oczy. Nie mogę cię stracić.

- Przecież byłam zupełnie bezpieczna. Tylko Manuela, nasza gospodyni, wie o istnieniu tunelu. Wraz ze swoją rodziną utrzymuje go w porządku. Dbają, żeby był czynny. Nigdy nie powiedziałyby o nim Websterowi. Nie powiedziała o nim nawet memu ojcu, gdyż nie pochodził z rodziny Fitzroyów. - Colm uśmiechnęła się i pogłaskała Pacera po policzku. Był razem z nią! Był bezpieczny!

- Nikt nie domyśli się istnienia tunelu, dopóki ktoś mu o nim nie powie. Nie można znaleźć mieszkańców Boru, jeśli sami nie zechcą się pokazać. - Rozejrzała się po gabinecie. - Mama zatrzymała ten pokój dla siebie... miał być mój, ale ojciec go przejął.

Pacer potrząsnął głową.

- To musiało być bardzo trudne, ten ciągły stan wojny z ojcem.

- Prawdę mówiąc, po pewnym czasie stało się zupełnie łatwe.

- Nie cierpiał tego zgorzkniałego tonu w jej głosie. Przytulił ją.

- Musimy się pośpieszyć.

- Co robisz?

- Próbuję przejrzeć książki. Mam nadzieję, że coś w nich znajdę.

- Spróbuj w sejfie.

- Za obrazem nie ma nic.

- Sejf jest w barze. Pokażę ci.

Rzucił okiem na drzwi i podszedł za nią do dębowego barku. Nacisnęła na róg i rzeźbiony kaseton w środku wysunął się do przodu jak szuflada.

Pacer przyjrzał się zawartości i chwycił leżący w głębi, opakowany w plastik pakiet.

- Nic więcej? - zapytała Colm, gdy sięgnął nad jej ramieniem i zamknął szufladę.

- Pośpieszmy się. Obejrzymy to w tunelu. Czy jest tam dosyć powietrza?

Skinęła głową, podchodząc do regału z książkami. Nacisnąwszy drewnianą różę w boazerii, powiedziała:

- Widzisz, trzeba ją obrócić i nacisnąć we właściwy sposób.

- Szybciej!- Pacer usłyszał dźwięk głosów dochodzących przez ciężkie dębowe drzwi.

Colm przeszła przez otwór w ścianie. Pacer podązał tuż za nią. Gdy tylko znalazł się w środku, nacisnął przycisk. Drzwi zamknęły się cicho i lekko.

-Sądzę, że Manuela i jej rodzina planują coś w rodzaju powstania, jeśli nie odzyskam Boru legalnie. - Colm wskazała na ułożoną w kącie broń.

Pacer patrzył na betonowe ściany, zauważył lampę zawieszoną pod sufitem.

-Bardzo ładnie urządzone. - Mówił niemal szeptem.

-Możesz krzyczeć, jeśli chcesz. Nikt cię nie usłyszy w gabinecie. Ale... - Nacisnęła przycisk na ścianie. - My możemy ich słyszeć.

Skinął głową.

-Daj mi znać, jeśli będą mówić coś ciekawego. -

Oparłszy się o ścianę, zaczął przeglądać papiery wyciągnięte z pakietu.

Przez kilka minut Colm przysłuchiwała się zjadliwym uwagom o Devie i Conie, lecz nagle uświadomiła sobie, że Pacer milczy.

- Co tam jest?

Podniósł szybko głowę?

- Nie to, co się spodziewałem znaleźć... ale też bardzo ciekawe. - Trzymał w ręce plik zmiętych, pożółkłych kartek. - To akt własności ranczo. Jest wystawiony na twoją matką. Nie ma w nim nawet wzmianki o sprzedaży.

- Co powiedziałeś? - Colm wstrzymała oddech, jej serce waliło dziwnie, jakby w zwolnionym rytmie. Pojawił się płomyk nadziei.

- Mówię, że dopóki Webster nie dowie się o tym sejfie i spadku, to mieszka tu nielegalnie. Musiał jakoś omotać twego ojca, jeśli sporządził akt sprzedaży. Ranczo należy do ciebie.

- Sądzisz, że mój ojciec nic o tym nie wiedział? - Potrząsnęła głową. - Mam nadzieję, że tak było. Choć ojciec

był wyjątkowo chytry, jeśli w grę wchodziły pieniądze. Pilnował każdego centa.

- Nie wiem, co się tu zdarzyło... ale wygląda na to, że jesteś legalną właścicielką Boru.

- Zawsze byłam pewna, że ojciec nie mógł go sprzedać... lecz nie miałam żadnego dowodu.

- Już masz. - Pacer wręczył jej pakiet. - Jest tu jeszcze parę rzeczy, na które chyba powinnaś rzucić okiem. - Rozejrzył się. - To jest bardzo dobrze zbudowane.

Colm uniosła głowę znad dokumentów.

- Tak. Mój pradziadek Caleb, gdy był młodym mężczyzną, zbudował tunel dla ochrony przed atakami Indian. Indianie nie sprawiali mu jednak nigdy kłopotu, natomiast przy interesach ze szmuglerami z Galveston tunel okazał się bardzo przydatny. - Uśmiechnęła się. - Kupował przemywany koniak i rum i sprzedawał je dalej. - Spojrzała na sufit. - Pierwszy dom został spalony przez niezadowolonych handlarzy. Tunel ocalał, ponieważ było wtedy mokro, a przy odbudowie domu został dodatkowo wzmocniony.

Pacer pochylił się i pocałował ją w nos.

- Piękna z ciebie dama i jestem szczęśliwy, że masz wreszcie broń, by odzyskać ranczo.

- Dzięki tobie. - Odruchowo wyciągnęła rękę i objęła go za szyję, przyciągając jego usta do swoich.

Objął ją ramionami.

- Kocham cię... i wiem, że to beznadziejnie głupi moment na takie słowa.

Roześmiała się, aż popłynęły jej łzy.

- Ale dobrze się ich słucha.

Jego uśmiech działał na nią jak pieszczoła.

- Owszem. - Trzymając ją w ramionach, spojrzał na zegarek. - Myślałem, że znajdę w tych papierach coś więcej na temat Webstera. Może jednak Dev i Con...

- Cii... Słuchaj, to wujek Henry.

Głos Henry'ego Bellina Troya dotarł do Colm i Pacera znajdujących się w tunelu. Słysząc w nim było odrazę, jaką wujek Colm żywił do Milo Webstera.

- Zaakceptujcie moją propozycję. To nie jest właściwe dla was miejsce. Zapuściliście ziemię, wystrzelaliście trzodę. Przecież są inne miejsca.

- A dlaczego panu tak zależy na Boru?

- Chcę je dać w prezencie mojej kuzynce. Poza tym ona jest pełnoprawną właścicielką ranczo. Jej matka chciałaby tego.

- Ciągłe się kręciłeś przy starej Vince'a, co? Mówił mi o tym.

- Uważaj na to, co mówisz.

- To ty się lepiej pilnuj. Brice łatwo się obraża i może cię stąd wyrzucić.

- Niech spróbuje.

Colm pociągnęła Pacera za rękaw.

- Wujek Henry jest wściekły. Poznają to po jego głosie, ale on nie jest dla nich żadnym przeciwnikiem.

- Nie martw się, kochanie. Wpadnę tam, jeśli będzie trzeba. Wątpliwości Pacera co do Henry'ego Troya rozwiąły się. Był podejrzliwy w stosunku do wszystkich, którzy otaczali Colm. To, co teraz usłyszał, dowodziło, że Troy na pewno nie był wrogiem Colm.

Rozmowa w gabinecie nagle się urwała.

Colm zeszywniała.

- Co się dzieje? To zabrzmiało jak strzał.

- Zaczęło się - powiedział Pacer.

- Opuszczają gabinet - powiedziała, nasłuchując uważnie.- Wygląda na to, że w pośpiechu...

- Chodźmy. Weź jeden z nich. - Pacer wskazał na rewolwery owinięte w plastik. - Sądzę, że umiesz strzelać.

- Jestem Teksanką. Mogę trafić muchę siedzącą na

uchu wiewiórki. - Odwinęła jeden z rewolwerów i sprawdziła amunicję. Następnie spojrzała na Pacera. - Ale kiepski ze mnie myśliwy. Mogłabym zabić tylko z głodu. Dotknął jej policzka.

- Ja też nie lubię strzelać do ludzi. Może nie będziemy musieli. Jesteś piękna, kochanie. Trzymaj się mnie. - Skinął głową, wtedy Colm uruchomiła mechanizm otwierający drzwi i weszli do pokoju.

- Do diabła - zamruczał Pacer, zmierzając do okna. - Na dworze wałą jak w Wietnamie.

Colm poszła za nim. Karabinowe strzały rozlegały się raz za razem. Zauważyła ludzi pochowanych za jeepami, ciężarówkami i drzewami. Od czasu do czasu któryś z nich przebiegał, wzniecając kłęby pyłu, a pociski wznosiły wokół niego chmury kurzu. Schwyciła Pacera za ramię, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę. Kowbojska strzelanina w Boru? Kątem oka zauważyła ciemnowłosego mężczyznę, który wyskoczył zza ciężarówki i ukrył się za kupą kamieni. Dev! Chwył na ramieniu Pacera się zacieśnił. Co będzie, jeśli jego przyjaciel zostanie ranny? Co się stanie, jeśli Webster i jego ludzie zwyciężą?

- Spokojnie, kochanie - powiedział Pacer. - Wszystko w porządku. Dev i Con sami tworzą armię... i są cholernie niebezpieczni, kiedy się wkurzą. - Skrzywił usta w uśmiechu. - Współczuję tym, którzy staną im na drodze.

- Oni to samo mówią o tobie.

Spojrzał na nią.

- Wiem. Jestem znany z tego, że mogę narobić dużo kłopotów, ale nie tobie, kochanie. Tobie nigdy. - Pocałował ją szybko. - Zaczekaj tutaj. Chcę mieć pewność, że Webster się nie wymknie.

Otworzyła usta, chcąc się sprzeciwić, lecz prawie natychmiast skinęła potakująco głową. Gdy odszedł, została przy oknie, kuląc się za każdym razem, gdy usłyszała

krzyk ranionego. Czekanie na Pacera trwało piekielnie długo. Zobaczywszy go ponownie, rzuciła mu się w ramiona.

-Wszystko w porządku, kochanie. Uwierz mi.

-Wierzę.

Jakaś kula strzaskała szybę. Pacer pociągnął Colm na podłogę, osłaniając ją swym ciałem.

-Chłopcy zrobili się zbyt bezczelni.

-Powinniśmy im pomóc.

-Nie będziemy się wtrącać. Docenią to. - Pocałował ją, delektując się smakiem jej ust. - Podoba mi się tu, na podłodze, i z tobą.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Dev Abrams.

-Dymiący karabin i w ogóle? - powiedział powoli Pacer, stawiając Colm na nogi. - Jakież to malowniczy obrazek. Dev skrzywił się.

-Kretyńska strzelanina z gówniarzami. - Spojrzał na Colm i potrząsnął głową. - Jak się tu dostałaś?

- To długa historia - odpowiedział Pacer. - Moja pani jest bardzo zawzięta.

- Moja jest taka sama - powiedział Dev. - Caleb jest z nami. Świetny z niego strzelec.

- Uczyl mnie strzelać razem z wujkiem Henrym - powiedziała cicho Colm, niezupełnie pewna, czy wszystko się skończyło.

Usłyszeli łoskot w holu i Dev śmiechnął się zawadiacko.

- Przybywa hołota.

Lazarius wraz z kilkoma mężczyznami wprowadzili do pokoju Webstera i Brice'a.

- Jak się tu znaleźliście, do jasnej cholery? - zapytał Webster, wpatrując się w Pacera i Colm. Jego twarz była pokryta kurzem.

- Uważaj, jak się zwracasz do mojej pani w jej własnym domu - powiedział słodko Pacer.

Colm spojrzała na niego z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Dlaczego jest taki wściekły? - zapytał Con, wchodząc do pokoju.

- Nie wiem - odpowiedział Dev ze wzrokiem utkwionym w Pacera. - Mam nadzieję, że nikt nie zranił jego pani. Nie chciałbym brać udziału w masowym morderstwie... jeśli nie będę musiał.

- Pójdiesz do więzienia, Webster - powiedział Pacer.

- To ciebie zamkną, Dillon. Przekroczyłeś...

- Ta ziemia nie jest twoja, Webster. Mamy na to dowód. Nie masz żadnej umowy kupna-sprzedazy. Zresztą, ponieważ legalny właściciel nie sprzedałby ci niczego, każda umowa byłaby nieważna.

Webster nie mógł opanować drżenia, które go nagle ogarnęło. Nigdy jeszcze nie widział takiego uśmiechu. Był to uśmiech grzechotnika.

- Ziemię dostałem od mego przyjaciela Vince'a Collamera.

- Nie mógł ci niczego dać, bo ten dom i ziemia nigdy do niego nie należały.

- To kłamstwo.

Dev pochylił się do przodu i zakrył dłonią usta Webstera.

- Nie mów tak do pana Dillona. To mnie denerwuje. Henry Troy przepchnął się przez grupę mężczyzn i niespokojnie spojrział na Colm.

- Moje drogie dziecko, wszystko w porządku? Kiedy tu się zjawiłaś?

- Pan Troy to również niezły strzelec - wymruczał Dev.

- Wszystko w porządku, wujku Henry. Jestem z Pacerem. - Colm uśmiechnęła się nerwowo.

Henry przeniósł wzrok z Colm na Pacera, pokiwał głową i szeroko się uśmiechnął.

- Mam jeszcze kilka pytań - powiedziała Colm, patrząc na Pacera.

- Kochanie, spokojnie. Wszystko się ułoży.

Podszedł do przyjaciół, by uścisnąć im ręce, nie przestając obserwować Colm.

- Jest piękna i odważna jak cholera - powiedział do Deva i Cona.

- Ale coś cię jeszcze martwi.

- Zawsze mnie przejrzysz, Dev.

- O co chodzi? - zapytał Con, przyglądając się przyjaciołom.

- Coś przydarzyło się jej w młodości. Chcę się o tym dowiedzieć wszystkiego.

- Tak? Możemy pomóc?

- Myślę, że tak. Chcę, żebyście kogoś znaleźli.

RS

Rozdział 8

Przejeżdżając przez bramę posiadłości Wendela seniora, Pacer przypomniał sobie czasy, gdy razem z Devem i Conem spędzali tu letnie wakacje w czasie studiów w Princeton. Pan Wendel przyglądał się im, gdy pracowali z mozołem nad utrzymaniem ogrodu w stylu angielskim, naprawiając kamienne tarasy, robiąc wszystko, co było potrzebne. Jak miał na imię ich szef? Wielki Bil Marsden. Wszyscy trzej zwracali się jednak do niego mówiąc: sir.

Obaj przyjaciele byli już w tej wspaniałej rezydencji. Pacer słyszał ich głosy, zmierzając przez hol do pracowni. Otworzył drzwi i spojrzał na nich.

- To jest Kelso? - zapytał, spojrzawszy na siedzącego mężczyznę o twarzy buldoga.

- Kto to, panie Abrams? - spytał nieznajomy. - Myślałem, że mamy pogadać o robocie dla mnie.

- I rzeczywiście możesz dostać pracę, Tweedy - powiedział Dev chłodnym, spokojnym głosem do zaniepokojonego gościa.

- Nie znaleźliśmy Kelso, Pacer - powiedział Con. - Ten człowiek był jego najlepszym przyjacielem w Folsom.

- Chcemy się dowiedzieć czegoś o Kelso - powiedział Pacer, podnosząc głos, by zwrócić uwagę Tweedy'ego. Nie tracił czasu na uprzejmości. - Jeśli powiesz nam prawdę, znajdziemy ci jakąś pracę na próbę. Jeśli skłamiesz, cholernie szybko stąd wylecisz. Bez pracy i bez nadziei na nią.

- Kelso? Nie żyje od paru lat.

Pacer ciężko westchnął.

- Byłeś jego najlepszym przyjacielem - powiedział Dev. - Słyszałem, że opowiadał ci o wszystkim. To prawda?

Tweedy gapił się raz na jednego, raz na drugiego.

- Może.

- Zjeżdżaj - powiedział Pacer. - Zapomnij o robocie. Dajcie mu parę docłów. - Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi.

- Zaraz, zaraz. Co chcecie wiedzieć?

Pacer zatrzymał się i spojrzał na Tweedy'ego.

- Jak to było, gdy Kelso został aresztowany za napad na młodą dziewczynę z ranczo Fitzroyów w Teksasie? - Pacer obserwował, jak Tweedy mruży świńskie oczka, usiłując uporać się z pytaniem.

- Aaa, córka Collamera, ale to się nie udało. Jakiś duppek nakrył Peteya i postrzelił...

- Troy - mruknął Dev.

Tweedy potrząsnął głową.

- Pety chciał, za to dorwać Collamera. Mówił, że mógłby, ale miał wtedy ciąg. - Tweedy popatrzył na karafkę z whisky i oblizal wyschnięte wargi. - Mogę się napić?

- Możesz poczekać. - Pacer czuł, jak krew tężeje mu w żyłach. Rozsadzała go złość. Ponure twarze przyjaciół mówiły wyraźnie, że są w identycznym nastroju. - Wyjaśnij.

- O co chodzi? Przecież mówiłem. Stary Collamer dogadał się z Peteyem, że ten przeleci mu dzieciaka. Mówił, że musi ją nauczyć. Szkoda, że to nie byłem ja. Ja bym...

Dev rzucił się na Pacera.

- Con, zabierz go stąd! Nie utrzymam Pacera. - Dev czuł, jak jest spychany do tyłu. - Zamknij drzwi na klucz. Wyrzuć go stąd, szybko.

Pacer chciał zabić Tweedy'ego. Dev nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Cholera, Pacer, połamiesz mi kości! - Dev znalazł się na podłodze.

Przepraszam. - Myśl o Colm, bezpiecznej w domu, i głębokie oddechy uspokoiły go. Lecz ogień nienawiści do Vince'a Collamera nie przestał płonąć.

- Cieszę się, że Collamer nie żyje - powiedział Dev. - W przeciwnym razie musielibyśmy go zabić. Nie sądzę, żeby Felicity chciała mnie widzieć w więzieniu. - Dev odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że na twarzy Pacera pojawia się uśmiech.

- Tak, przeszła przez to już raz, co nie było zabawne. - Ręka Pacera drżała, gdy podniósł ją do twarzy. - Niech diabli wezmą jego duszę.

- Tak jest. Con zajmie się Tweedem. Załatwimy wszystko. A ty leć do Houston. Zadzwoń do ciebie.

- Dzięki. - Pacer popatrzył na przyjaciół. - Cierpiała i dalej cierpi. Cholera, cholera...

- Zbieraj się, chłopie. Znajdziesz właściwe słowa, by sobie z tym poradzić.

- Muszę.

Dev aż krzywił się z bólu, patrząc na cierpienie przyjaciela.

- Czy wiedziała, że to jej ojciec tak ją urządził? Jak sądzisz?

- Myślę, że podświadomie wiedziała.

- Cholera. Zabicie Vince'a Collamera sprawiłoby mi przyjemność.

Godzinę później Pacer leciał do Houston. Zrezygnował z posiłku i napojów, zamknął oczy i usiłował wejść w trans, czego nauczył go jego indiański dziadek. Chciał odpocząć, odciąć się od świata, uleczyć duszę i umysł, od-

dalić się od ziemi i wszelkiego zła, które tworzył człowiek.

Lotnisko w Houston przypominało dom wariatów, lecz dojrzał Colm od razu.

- Co tu robisz? - zapytał, obejmując ją.

- Con zadzwonił do mnie i powiedział, że lecisz. Myślisz, że wiedział, jak bardzo tęsknię za tobą?

Albo jak ja za tobą? - Pochylił się i pocałował ją mocno. - Chodźmy.

Pacer wyczuł jej niepokój, dostrzegł niepewne spojrzenie, lecz nie pytając o nic, prowadził przez halę przylotów do parkingu.

Za kierownicą samochodu obrócił się do Colm i wziął ją w ramiona, namiętnie całując, rozkoszując się możliwością dotykania jej ciała.

-Tak jest lepiej.

Jadąc do domu, pomyślał, że nadszedł już czas, by jej powiedzieć o wszystkim. Nie miał zamiaru iść do mieszkania ani do firmy. Ranczo było jej rajem - i miejscem zbrodni. Cholera! Ogarnęło go uczucie niepokoju.

-Powiedz mi, Pacer, o co chodzi? Wiem, że stało się coś strasznego.

- Zachowujesz się jak obie moje babcie.

-Nie kpij. Nie umiesz. Zaczynam cię poznawać, Pacerze Creekwoodzie Dillonie.

- Ufasz mi?

- Całą sobą.

- Dobrze. Dowiesz się wszystkiego, co ja wiem, kochanie. - Wyciągnął rękę i przyciągnął ją bliżej do siebie.

-To jedyny powód, dla którego lubię te kanapowe fotele.

- Jesteś paskudny.

Opanował ją strach. Jeszcze nigdy, od chwili gdy się poznali, Pacer nie zachowywał się tak zagadkowo.

Co się stało w Nowym Jorku? Kogo spotkał? Kto prze-

darł się do jego wnętrza i wstrząsnął Pacerem Creek-woodem Dillonem? A może już miał jej dość? Przestał ją kochać? Bzdura! Kochał ją, była tego pewna.

- Powiem ci wszystko, kochanie, gdy będziemy w domu. - Jej wątpliwości, jej pytania były łatwe do odgadnięcia.

„Miłość” - pomyślała. Nazywał ją kochaniem. Pacer nie powiedziałby tego, gdyby tak nie myślał. Ogarnął ją spokój. Nie było niczego ważniejszego. Chwilami miała wrażenie, że szczęście, którego zaznaje w obecności Pecera, jest snem. Potrzebowała jego miłości, chciała go tak bardzo. Odsuwał od niej natrętą i niepokojącą ciemność.

Ujął jej rękę i podniósł do ust.

- Zbliża się wesele, kochanie. Czy jesteś już gotowa?

- Zupełnie. A ty?

- Nie mogę się doczekać chwili, gdy zostaniesz Colm Fitzroy Dillon. - Spojrzał na nią i dostrzegł jakiś cień na jej twarzy. Musi zrobić wszystko, by te cienie zniknęły.

Colm wyprostowała się. Zorientowała się, dokąd jada.

- Jedziemy na ranczo.

- Tak jest, kochanie.

Był spięty. Chociaż ciągle zachowywał się spokojnie, wyczuwała w nim jakieś napięcie.

- Niepokoisz mnie.

- Nie ma powodu. Wszystko jest w porządku. Muszę po prostu porozmawiać z tobą w spokoju.

- Dobrze.

Oparła mu głowę na ramieniu. Kochała go, potrzebowała go. Odrzuciwszy wszelkie inne myśli, patrzyła przez szybę.

Sen spowił ją czarnym szalem.

- Ciesz się, że zasnąłaś, mój aniołku - wyszeptał Pacer. - Wiele siły będziesz potrzebowała, by znieść to, co ci powiem.

Lecąc do Houston, przez cały czas walczył z myślą, by nie powiedzieć jej o tym, czego dowiedział się od Tweedy'ego. Śledztwo na temat Peteya Kelso dowiodło, że był to człowiek bez żadnych zasad. Był jednak aniołem w porównaniu z mężczyzną, który rzucił swą córkę na pastwę wilków, zorganizował gwałt, wystawił na ryzyko jej życie i zdrowie. Bogu dzięki, że wmieszał się w to Henry Troy.

Pacer zatrzymał samochód na podwórzu, wysiadł i podszedł do auta z drugiej strony. Wziął Colm na ręce, starając się nie budzić jej.

Manuela otworzyła drzwi i z troską spojrzała na Colm, gdy wniósł ją do środka.

- Wszystko w porządku - powiedział. - *Senorita* jest po prostu senna. Zabieram ją do gabinetu.

- Przyniosę świeżej lemoniady, *senor* Pacer.

- Dziękuję.

Colm przebudziła się, gdy położył ją na kanapie.

- Jesteśmy w domu?

Roześmiał się.

- Owszem.

Wiedział dobrze, o co jej chodzi. „Domem” było zawsze lanczo.

- Powiedz mi. - Patrząc na niego, próbowała się podnieść.

- Manuela przyniesie coś zimnego do picia. Wtedy ci powiem. - Odwrócił się, gdy drzwi za nim się otworzyły i weszła gospodyni z tacą.

Colm była na granicy wytrzymałości. Po raz pierwszy drażniły ją precyzyjne ruchy Manuli. Wreszcie gospodyni wyszła.

- Więc? - niecierpliwie zapytała Colm.

- Przede wszystkim pozwól mi powiedzieć, że wolałbym ci o tym nie mówić, ale obiecałem, że będę z tobą

szczerzy i niczego nie będę ukrywał. - Pacer spojrzał na nią, po czym uklęknął. - Kocham cię i zawsze będę ci mówił prawdę.

- Dziękuję. - Czowała, że drży ze strachu, że trzęsą się jej ręce, miała oddech nierówny. Krążąca w krwiobiegu adrenalina była zabójczą trucizną. - Mów dalej.

Pacer usłyszał drżenie w jej głosie.

- Gdy opowiedziałas mi o napadzie i o tym, jak uratował cię wujek Henry, zrobiłem się podejrzliwy.

- Zdziwiłeś się, że młoda dziewczyna z bogatej rodziny nie miała odpowiedniej ochrony?

- Tak.

- I do czego doszedłeś? - Nie chciała słyszeć odpowiedzi. Walczyła z przagnieniem, by zakryć uszy.

- Dowiedziałem się, że człowiek, który napadł na ciebie, nie żyje.

- I?

- I że ten napad był opłacony przez twojego ojca. - Poczł, że jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Podziwiał jej odwagę. Pomyślał, że być może łyzy i napad hysterii byłyby lepsze.

Ciasne więzy, które krępowały ją tak długo, nagle puściły. Ogarnęło ją uczucie ulgi, a także złość i litość.

- Ja... ja myślę, że zawsze wiedziałam. Wiem, że później wujek Henry i Rance zawsze mnie pilnowali. Pojawiali się, gdy tylko byłam w domu. Mój ojciec bardzo się przejął tym, co mu powiedział wujek Henry. Wkrótce po tym wydarzeniu wysłał mnie do szkoły z internatem. Byłam samotna, lecz szczęśliwa, będąc daleko od domu. Nie chciałam wracać do domu nawet na święta. - Colm oparła głowę na ramieniu Pacera.

- O czym myślisz? - spytał, obawiając się, że szok był nazbyt wielki. Może nie powinien jej o tym mówić. Do

diabła. Nic nie powinno jej zaszkodzić, i nie zaszkodzi, jeśli będzie mógł jej pomóc.

Głęboko westchnęła.

- Gdy byłam w domu, zawsze się cieszyłam, jeśli zadzwonił wujek Henry, by zabrać mnie na wycieczkę, na narty albo na wakacje. Czasem Rance zabierał mnie na jakąś wyprawę. Ale najczęściej robił to wujek Henry. Latem wyjeżdżałam na obóz.

- To dlatego Henry i Rance tak cię pilnują. - Pacerowi w głębi umysłu coś świtało, lecz nie mógł sobie niczego skojarzyć. Cokolwiek to nie było, siedziało głęboko. Skąd się brał ten sygnał, który się odzywał za każdym razem, gdy wspomniano imię Henry'ego Troya?

- A co ty o tym sądzisz? - spytała Colm. Przeciągnęła mu ręką po włosach. Bardzo to lubiła. To co usłyszała o diabelskich działaniach ojca, choć nie było niespodzianką, pozbawiło ją energii. Poczula się dziwnie ociężała. Miała wrażenie, że poza Pacerem nic nie istnieje.

- Coś mnie nurtuje - powiedział - ale nie mogę sobie z tym poradzić.

Nalał trochę lemoniady i podał jej szklanekę.

Wypiła łyk, wstała i przeszła się po gabinecie. Wykonane ręcznie mahoniowe panele, wiszące na ścianach, zostały przywiezione z Irlandii. Wpatrując się w portret matki nad gzymsem kominka, Colm westchnęła.

- Żałuję, że mama nie żyła dłużej. O tylu rzeczach chciałabym wiedzieć. Lecz wtedy była tak tajemnicza jak wszyscy Fitzryowie.

- O co ci chodzi, kochanie? Skąd to wiesz?

Colm uśmiechnęła się.

- Zostawiła mi listy i notatki, wszystko bardzo tajemnicze. - Zapatrzyła się w obraz. - Czuję, że jest tu jakaś wiadomość dla mnie, ale nie umiem jej znaleźć.

Pacer podążył za jej wzrokiem.

- Wiadomość ukryta w obrazie?
- Tak rozumiałam jej listy, lecz niczego tu nie ma.
Może powinnam wziąć jakiegoś eksperta, żeby zbadał ten obraz?

- Czy twój ojciec widział kiedykolwiek listy, które ci zostawiła?

- Nie. Zostawiła je wujkowi Henry'emu. Oddała mu na przechowanie.

- Rozumiem.

- Razem z należącymi do rodziny Fitzroyów numerami kont bankowych w Szwajcarii. Ojciec podejrzewał coś takiego, ale niczego nie odkrył. - Uśmiech Colm był gorzki. - Nie wiedziałam o tym, dopóki nie umarł.

- Lecz nie powiedziałaś mu, nawet gdybyś wiedziała.

- Oczywiście, że nie. Te fundusze wsparły kompanię po śmierci ojca, gdy dowiedzieliśmy się, jak bardzo osłabił firmę.

- Opowiedz mi o obrazie.

- Niewiele mam do powiedzenia. - Wzruszyła ramionami, przypomniawszy sobie niezadowolenie i smutek, jakie ją ogarniały, gdy nie mogła niczego znaleźć. - Wykonał go sławny portrecista francuski, którego prace cieszyły się uznaniem. Ojciec był z tego powodu sfrustrowany, gdy próbował go sprzedać. Nie może go zdjąć bez rozebrania całej ściany. Rama stanowi element konstrukcyjny, a płótno jest przymocowane do ramy.

Pacer aż gwizdnął, stając na nogi.

- To cholernie głupi pomysł. Tak postąpić z droгоценną rzeczą. Chyba że... - Dotknął ramienia Colm. - Obawiam się, że nie masz tych tajemniczych listów, które zostawiła mama.

- Oczywiście, że mam. - Podeszła do baru i otworzyła sejf. - Gdy odzyskałaś dla mnie ranczo, przенiosłam tu wiele osobistych rzeczy. - Wyjęła pudełko i wyciągnęła

z niego kilka kartek. - To są listy do mnie. Sądzę, że mama napisała je tuż przed śmiercią. Wszystkie są przepojone smutkiem. - Rozłożyła je na stoliku, jeden wręczyła Pacerowi. - Ten list dał mi wujek Henry zaraz po śmierci mamy.

Pacer zaczął czytać:

Kochanie! Obraz w bibliotece zawiera moje przesłanie do ciebie.

Poznasz całą prawdę. Zawsze będę cię kochać. Matka.

Podszedł do drabinki, odczepił ją od prowadnicy i przeniósł do kominka.

- To strata czasu, Pacer, Byłam na górze wiele razy. Nie ma tam żadnego napisu w żadnym języku.

- Nie będę się przyglądać obrazowi. Obejrzę ramię, kochanie.

Coś ciągnęło go do obrazu. Może sama Adaira? Czuł napięcie, które tak często towarzyszyło mu w Wietnamie.

Colm podeszła bliżej, zafascynowana ruchami jego rąk wędrujących po rzeźbionym drewnie.

- Ojciec był przekonany, że dostałby dużo pieniędzy za samą ramię, lecz wszyscy uważali, że jest zbyt mocno zespolona ze ścianą, by próbować ją usunąć.

- Hmmm. - Rozetki wyrzeźbione w szerokiej, drewnianej ramie były delikatne i pięknie wykonane. Poza jedną. Nacisnął ją. Usłyszeli trzask. Pacer się schylił, gdyż inaczej odchylający się obraz uderzyłby go. Naoliwione zawiasy nie wydawały żadnego dźwięku. - Jeszcze jeden tunel w labiryncie.

Colm westchnęła.

- Nie miałam o tym pojęcia. - Roześmiała się głośno. - Jeszcze raz mama i dziadek popsuli ojcu szyki. - Weszła na fotel, po czym wdrapała się na górę.

- Zejdź na dół, Colm. Sam sprawdzę wszystko.

- Dobrze, ale się pośpiesz.

- Po co ten pośpiech? - Uśmiechnął się do niej. - Sądząc po tym, jak tu wygląda, zawartość leżała dość długo.

- Chcę zobaczyć.

To było coś od jej matki: wiadomość, wspomnienie. Colm była niecierpliwa. Jej ukochana mama, którą ledwo mogła sobie przypomnieć, pamiętała o niej.

Colm przeglądała papiery, oficjalne dokumenty i czekała na okaziciela.

- Pacer, zobacz ile mamy ziemi. Moja rodzina chciała być naprawdę pewna, że ojciec nie dostanie w swoje ręce tych posiadłości. - Poczwała ból. - Dlaczego wyszła za niego? Przecież go nie kochała. Po co by to wszystko ukrywała przed nim?

- Może z początku go kochała, lecz przekonała się, że nie może mu powierzyć opieki nad spadkiem.

- Myślę, że nie wierzysz w to, co mówisz. Ja nie wierzę.

Pacer zszedł z drabiny i usiadł obok niej na sofie.

- Nie mogę nie lubić człowieka, który był twoim ojcem. Nieważne, co mi mówi mój instynkt.

Pogłaskała go po policzku, delikatnie całując.

- Lecz nie ufasz Vince'owi Collamerowi, prawda?

Potrząsała głową.

- Sądzę, że niewiele brakowało, by przekroczył granice moralności... Lecz tylu ludzi postępuje w podobny sposób, a uważa się ich za filary społeczeństwa.

- Aha, być może. - Colm przerzucała znalezione papiery.

Przeczytają je razem z Pacerem, gdy będą mieli trochę wolnego czasu. Wszystko, co robiła z Pacerem, było podniecające i wspaniałe. Unosząc zwitek papieru, potrząsała w zamyśleniu głową.

- Jestem pewna, że ojciec nie miał pojęcia o niczym. Ja nie miałam. Plantacje pomarańczy, szyby naftowe, nieruchomości na wsi i w mieście. O, mój Boże, ten kawałek ziemi leży w samym śródmieściu Houston. - Spojrzała na niego z uśmiechem, który jednak zniknął, gdy zauważyła, że Pacer jej nie słucha. - Co to jest?

- W tajemniczym liście w obrazie, zawierającym potrzebne ci informacje, mogło chodzić o to, kochanie. - Położył jej na podółku pakiecik zawinięty w pergamin. - Jest na nim twoje imię.

- Otwórz, proszę - powiedziała bezdźwięcznie.

- Dobrze. - Zauważył, że i jemu trochę drżą ręce. Byli z Colm bardzo bliscy sobie, szczęśliwi. Na samą myśl o tym, że coś mogłoby ją zranić, wzbierała w nim złość. - To twoja metryka. Stwierdza, że jesteś córką Adairy Marie Fitzroy i Vincenta Collamera. Na chrzcie dano ci imię Colm Fitzroy Collamer.

- Zmieniłam je na Fitzroy, kiedy stałam się pełnoletnia.

- Wiem. - Przerzucał listy, szybko czytając nagłówki. - Jakieś sugestie dotyczące papierów wartościowych. Powinnaś je przeczytać. - Na końcu była koperta z napisem: Colm Fitzroy Collamer, do rąk własnych. -Przeczytaj to, kochanie.

- Nie, ty to zrób. Obawiam się, że... - Czują, że jest jej duszno i gorąco, choć pokój był wyposażony w klimatyzację. Miała również dziwne uczucie, jakby ktoś był obok niej. Matka?

Złożywszy ręce, przyglądała się, jak Pacer otwiera kopertę. Chciała i nie chciała się dowiedzieć, co tam jest napisane.

- Ostrożnie.

- Oczywiście. - Jej zdenerwowanie udzieliło się Pacerowi. Do diabła z całym światem, jeśli ktoś miałby ją zno-

wu zranić. Otworzył dość grubą kopertę. Choć papier był w dobrym stanie, dotykał bardzo ostrożnie. Przeczytał na głos datę.

- To było tuż przed śmiercią mamy. - Colm ogarnął smutek. - Ja... ja naprawdę jej nie znałam, ale bardzo ją kochałam.

- Wiem.

- Czytaj.

- Dobrze.

Moje drogie dziecko!

Zawsze będę cię kochać, na tym i na tamtym świecie. Chcę dać świadectwo prawdzie na piśmie, gdyż boję się o swoje bezpieczeństwo. Gdy odszedł twój dziadek, Vince stał się bardziej wymagający. Wie, że część majątku Fitzroyów jest przed nim ukryta fizycznie i prawnie. Ale tylko w ten sposób mogę ci zapewnić spadek.

Nigdy nie miałam wątpliwości, że Vince Collamer jest niebezpieczny. Przysięgam, że nie widziałam o tym, gdy za niego wychodziłam, gdyż nigdy nie dopuściłabym do takich komplikacji dla ciebie i mnie.

Pacer zamilkł, gdy Colm chwyciła go za rękę.

- Spokojnie, kochanie.

- O co jej chodzi?

- Nie jestem pewny. Czy mam czytać dalej? - Jeśli Collamer zabił matkę Colm, ekshumuje jego ciało i szczątki wrzuci do wapna. - Kochanie?

- Czytaj Pacer. Ciesz się, że jesteś ze mną.

- Zawsze będę przy tobie.

Wybacz mi oszustwo, którego dokonałam i które uważałam za konieczne. Tylko twój dziadek znał prawdę, a teraz poznasz ją również i ty. Ojcem twoim nie jest Vincent

Collamer. Nigdy go nie kochałam. Poślubiłam go w desperacji, gdyż człowiek, którego kochałam, twój ojciec, był żonaty. By uniknąć wstydu i kłopotów, zgodziłam się wyjść za Vince 'a, choć wiedziałam, że chce poślubić mnie wyłącznie dla pieniędzy i majątku. Nasze małżeńskie życie nie było szczęśliwe, a co gorsza, człowiek, którego kochałam, stracił żonę krótko przed twoim urodzeniem. Mogłabym go poślubić, gdybym poczekała, ale nie mogłam tego przewidzieć.

Wkrótce po ślubie zaczęłam się bać Wince 'a tak bardzo, że nigdy mu nie powiedziałam, iż nie jesteś jego dzieckiem. To mały, nikczemy człowiek, który nie byłby lepszy dla dziecka niż dla mnie, a cóż dopiero dla dziecka, które nie było jego...

Pacer przerwał, widząc łzy Colm, słysząc jej szloch.

- Kochanie, nie...

- Jestem szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa. Nigdy nie uważałam go za ojca. Nienawidziłam go i czułam się z tego powodu winna. Nareszcie jestem wolna. -Westchnęła, przyciskając dłonie do piersi. - Myślę, że zawsze o tym wiedziałam. Nie mógł być moim ojcem.

Pacer objął ją ramieniem i przytulił.

-Nikt już nie zrani cię bardziej, niż on to zrobił. Nie pozwolę na to. Kocham cię, moja Colm.

-Pacer, tak bardzo cię kocham. Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiesz jak bardzo. Uratowałeś mi życie. - Otworzyła szeroko oczy. - Kto jest moim ojcem?

-Poczekaj, jest tu jeszcze coś.

Tak więc, moja droga córeczko, teraz już wiesz.

Kochałam twojego ojca i kocham go nadal, tak jak on mnie kochał i kocha dalej. Pragnęliśmy siebie rozpaczliwie, lecz jego żona była bardzo chora i nie mogłam mu

pozwoić na dokonanie tak bolesnego wyboru. Nigdy nie dowiedział się, że ma takie wspaniałe dziecko. Masz jego uśmiech...

- Pacer, co się stało?

- Myślę, że wiem, kto jest twoim ojcem, kochanie... -

Uśmiechnął się do niej. - Będiesz zadowolona. - Ulżyło mu. Wstał gwałtownie, podniósł ją i zakręcił w kółko.

- Kto? Kto? - dopytywała się.

- Wydajesz takie dźwięki, jak sowa. - Pacer roześmiał się głośno z radości, że Colm będzie tak bardzo szczęśliwa. - Twoja matka miała rację. Masz jego uśmiech. Za-uważylem to wtedy, gdy go spotkałem po raz pierwszy, lecz dotychczas tego nie skojarzyłem. - Trzymając ją ciągle nad podłogą, pocałował głośno w policzek.

- Pacerze Creekwoodzie Dillonie! Jak długo możesz mnie tak trzymać w zawieszaniu?

- Dosłownie czy w przenośni?

- Dość!

- Jestem po prostu szczęśliwy z twojego powodu.

- Pacer!

- Pocałuj mnie.

- Powiedz mi.

Usiadł na sofie i wziął ją na kolana.

- Przeczytam ci to... ale mnie to już nie zdziwi.

- Pacer, już dość.

- Dobrze.

Opowiedz wszystko swojemu ojcu, bo wiem, że cię kocha i ty go kochasz. W rzeczywistości powinnaś nosić nazwisko Colm Fitzroy Troy.

Pacer upuścił kartkę na podłogę, ręce Colm objęły jego szyję.

- Szczęśliwa? - zapytał.

- Wujek Henry jest moim ojcem?

- Tak. Gdy spotkałem go po raz pierwszy, wydawało mi się, że dostrzegam w nim coś znajomego, lecz nie umiałem tego określić. Macie ten sam uśmiech.

- Mam... mamy... - powtarzała nieprzytomnie Colm. Spojrzała na Pacera. - Co sądzisz o moim nowym nazwisku?

- Lubię je. - Zawahał się. - Czy będziesz wołała go używać zamiast nazwiska Dillon?

Potrząsnęła głową.

- Wstawię je między... A może nie powinnam. Nie zapytałam go... A może powinnam...

- Kochanie, Henry będzie zachwycony. Mogę przyjąć.

- Zawsze go kochałam.

- On również. Gdy zobaczył mnie po raz pierwszy i zauważył, jak się na ciebie gapię, przyjrzał mi się bardzo dokładnie.

- Naprawdę? - Colm była wstrząśnięta. Jej ambiwalentne uczucia do Vince'a Collamera, udreka, że nie jest w stosunku do niego lojalna, że nie kocha go, wszystko to było jej nieświadomą reakcją na prawdę.

- Tak. - Pacer zrobił głęboki wdech, napawając się jej zapachem. - Jak sądzisz, pobije mnie?

Zastanawiała się, jak zachowa się wujek. Wujek Henry jest jej ojcem! Wszystko było tak nieralne, tak cudowne. Spojrzała na mężczyznę, który ją obejmował.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Że moje życie zmieniło się tak bardzo od chwili, gdy ty się pojawiłeś. Tak bardzo cię kocham.

Jej słodki uśmiech sprawił, że serce uwięzło mu w gardle.

- I wiesz bardzo dobrze, jak wielką masz nade mną władzę, Colm Fitzroy Dillon Troy.

- To ja. - Przytuliwszy się do niego, uszczypnęła go w ucho. - Ooo, widzę jakieś zmiany na dole.

- Jęcza.

- Nie powiedziałam, że nie lubię zmian. Czuję się jak jubilatka.

- Wspaniale. - Pacer nie mógł złapać oddechu, czuł dzwonienie w uszach, - Chcesz, żebym przyniósł szampana? - Sama myśl o tym, że mógłby pozwolić jej odejść, sprawiała mu wielki ból.

- Nie - wyszeptała mu w ucho. - Chcę, żebyś mnie rozebrał, a ja rozbioreę ciebie. Potem będziemy tańczyć, szaleć i... - Jęknął, gdy musnęła językiem jego ucho.

- Nigdy nie będę miał dosyć.

- Udowodnij.

Wstał, trzymając ją w objęciach.

- Właśnie chcę to zrobić.

- Bardzo dobrze. Nie chcę wszystkiego robić sama.

- Och, moja miła, gdy znajdziemy się w łóżku, nie będziesz musiała robić niczego.

- Lubię, gdy twoje oczy stają się takie szare. To oznacza, że jesteś naprawdę podniecony.

Już wkrótce ten wspaniały mężczyzna będzie jej mężem. Marzenia stały się rzeczywiście. Dawał jej wszystko: miłość, namiętność, nadzieję.

- Muszą więc być szare od chwili, gdy cię spotkałem. Od tej chwili jestem ciągle podniecony.

Rozdział 9

Ranek w dzień ślubu był jasny i wspaniały. Widać Teksas starał się zaprezentować jak najlepiej.

Colm wyglądała przez okno sypialni, która kiedyś należała do jej babki i dziadka, właścicieli Boru. Teraz Boru należało do niej, a już wkrótce jego właścicielem będzie również Pacer... Przyjdzie też taki dzień, że ranczo obejmą w posiadanie ich dzieci.

Pacer tyle dla niej zrobił. Już za kilka godzin będzie jego żoną. Przepęłniało ją poczucie szczęścia.

Podczas ślubu będą jej towarzyszyć ojciec i Rance. Odczuła ponownie radość, przypominając sobie rozjaśnioną twarz Henry'ego Troya na wieść o tym, że jest jego córką.

- Colm, jesteś tak podobna do Adairy - powiedział, a ona dostrzegła cień bólu w jego oczach. - Ciągle mi jej brak, ale teraz mam ciebie. Już dawno powinienem był wiedzieć, że jesteś moja, kochana córko. Zawsze cię kochałem jak własne dziecko.

- Sądzę, że ja też wiedziałam o tym, ojczu. - Zwracając się do niego po raz pierwszy „ojczu”, odczuła prawdziwą ekstazę.

Twarz Henry'ego stężała.

- Po tym, co ty i Pacer opowiedzieliście mi o Collamery, nie dziwię się pewności policji, która twierdzi, że jego śmierć nie była spowodowana wypadkiem. Oczywiście Milo Webster nie przyzna się do niczego. Ale komuś zależało na śmierci Collamera. Ja sam pragnąłbym jej, gdybym znał plany Vince'a wobec ciebie.

- Pacer twierdzi, że to był nadęty, płaski człowieczek. Nie czuję już do niego żadnej niechęci, ojczu. Po prostu ulżyło mi. - Gdy Henry objął ją, wtuliła się w niego. - Mam ojca. Jak mogę nienawidzić Vince'a Collamera lub kogoś innego?

Henry odsunął się lekko od niej.

- To był wyjątkowy sukinsyn. Pacer jest przekonany, że po napadzie miał zamiar umieścić cię w szpitalu psychiatrycznym.

- Ale ty mnie uratowałeś od Peteya Kelso, ojczu.

- Tego dnia czułem do ciebie tyle miłości. Zabrałem cię do szpitala, a ty byłaś taka dzielna, pocieszałaś mnie, gdy przekonałaś się, że moja złość nie jest skierowana do ciebie. - Jeszcze raz objął ją mocno. - Odzyskałem Adairę w tobie, moje dziecko.

- Cieszę się ojczu, że już wkrótce zamieszkaż na ranchu i że podoba cię się dom, który dla ciebie stawia Pacer.

- Nie mógł mi sprawić miłszego prezentu.

- Uważał, że będziemy chcieli być blisko siebie.

To był dzień jej ślubu. Oczywiście Colm zwilgotniały, gdy myślała o ojcu i o wspaniałym mężczyźnie, który już wkrótce zostanie jej mężem.

Do pokoju wszedł Pacer. Colm wyglądała jak bogini w jedwabiach i koronkach koloru kości słoniowej. Zatrzymał się, ujrawszy w lustrze jej uśmiech: przyglądała się czemuś w zamyśleniu.

Nie musiał pukać, drzwi były otwarte. Napawał się chwilą, gdy mógł po prostu na nią patrzeć. W ślubnej sukni wyglądała wspaniale. Głęboki dekolt na plecach ukazywał skórę gładką jak jedwab.

- Wyglądasz jak księżniczka.

Zaskoczona Colm odwróciła się szybko, delikatny obłoczek zawirował wokół niej.

- Jesteś piękny, Pacerze Creekwoodzie Dillonie. - Je-

go ręcznie szyty garnitur z czarnego jedwabiu podkreślał srebrne pasemka we włosach. Czarne, z najdelikatniejszej skóry buty od Gucciego wspinałe błyszcząły. - Nie powinienes oglądać narzeczonej aż do momentu rozpoczęcia ceremonii.

- Brakowało mi ciebie.

- Mnie też. - Przepęłniało ją uczucie miłości i wyciągnęła do niego rękę.

- Jesteś zbyt piękna, by cię całować.

- Nie przejmuj się.

Schylił się do jej ust.

- Kochanie, gdy wszedłem, marzyłaś o czymś z otwartymi oczami.

- O ojcu i o tobie.

Usta Colm miały smak miodu, jej skóra pachniała jak kwiaty pokryte ranną rosą.

- Moja żona.

- Jeszcze nie.

- Zawsze moja żona.

Ogarnęło ją pożądanie jak zawsze, gdy jej dotykał. Towarzyszące temu zwilgotnienie między udami pobudzało ją jeszcze bardziej.

- *Madre de Dios!* Co pan tu robi, *senor*? Nie wolno panu oglądać narzeczonej. - Manuela, wzięwszy się pod boki, wpatrywała się w nich. - Już pana tu nie ma.

- Wkrótce cię zobaczę. - Pocałunek Pacera był płomienny.

Po jego wyjściu Colm z niechęcią otworzyła oczy.

- *Mucho hombre* - wymruczała gospodyni, przyglądając się Colm. - On cię kocha.

- Tak.

- Bądź z nim szczęśliwa... i z ojcem. - Głos Manueli złągodniał. - Twoja *mamacita* byłaby również bardzo szczęśliwa.

- Dziękuję.

- Już pora.

Schodząc po schodach, Colm spojrzała prosto w oczy Rance'owi, a potem ojcu. Była w pogodnym, dobrym nastroju. Ciągle jeszcze między nią i Pacerem istniały jakieś nieokreślone sprawy, lecz poradzą sobie z nimi. Ich miłość była tak oczywista, życie tak słodkie. Wszystko inne nie miało znaczenia, było nieważne.

Małżeństwo z Pacerem sprawiało, że jej życie nabierało sensu.

Czekający na nią u wejścia do przestronnego living roomu dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, gdy zabrzmiał marsz Mendelssohna grany na skrzypcach i harfie.

Felicity nachyliła się do Heller.

- Denerwuję się bardziej niż na własnym ślubie.

- Wyglądasz wspaniale, tak jak i nasi mężowie. Ale Pacer i Colm są prześlicznymi.

Obie kobiety obróciły się, by zobaczyć, jak ojciec i Rance wprowadzają narzeczoną.

Pacer nie mógł oderwać od niej wzroku. Podbiła go od pierwszego spojrzenia. A teraz będzie jego żoną.

Ślubowali sobie zgodnie z odwiecznym obrządkiem, ich słowa odbijały się echem od stiukowego sklepienia.

- Ja, Pacer, biorę cię, Colm....

- Ja, Colm, biorę cię, Pacera...

- Możecie się pocałować.

Franciszkanin udzielił im swego błogosławieństwa.

- Żono, otwórz oczy. Skończyło się.

- Jesteś mój?

Naiwne pytanie wzbudziło cichy szmer i śmiech, który rozszedł się po pokoju.

- Wiesz, że jestem.

- Ona jest teraz naszą ciotką, prawda, Simeon?

Potomstwo Wendela i Abramsa spogłądało na najstar-

szego chłopca w oczekiwaniu na potwierdzenie. Jego stateczne kiwnięcie głową sprawiło, że na ich twarzach rozkwitły uśmiechy, co rozproszyło uroczystą powagę ceremonii.

- Zabawa może się zacząć - powiedział łagodnie Dev, całując swą żonę za uchem.

- Diabeł. - Felicity pogłaskała go po policzku. Fakt, że byli razem, ciągle wydawał się jej cudem. Przeniosła wzrok na Cona i Hella, którzy trzymali się za ręce.

- Mamy bardzo dużo szczęścia, Dev.

- Bardzo, kochanie, bardzo dużo. - Dev spojrzał na oblubieńców. Widzieli tylko siebie.

- Chodźmy stąd - szepnął Pacer nagłaco do Colm.

- Tak szybko? Nie będzie to nieuprzejme? - Sama jednak również pragnęła być tylko ze swym nowo poślubionym mężem.

- Nie chcę być uprzejmy. Chcę być z tobą. Teraz.

- Zapowiada się wspaniale. - Uśmiechnęła się. - Dobrze, chodźmy.

Błyskawicznie pożegnali się z gośćmi. Colm udawała, że nie dostrzega żartobliwych uśmiechów na twarzach Deva i Cona.

Pacer prowadził helikopter firmy Fitzroy, lecąc do Galveston. W czasie lotu prawie nie rozmawiali. Colm była niemal przygnieciona ogromem tego, co zrobiła. Ona, która zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż, była teraz żoną Pacera Creekwooda Dillona. Wtargnął w jej życie zaledwie kilka miesięcy temu, a już wywrócił wszystko do góry nogami. Ale tak bardzo go kochała. Spojrzała na niego pewna, że poślubienie go było najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła.

Wylądowali na lotnisku w Galveston pod kontrolą żołnierza piechoty moskiej i przeszli na pokład łodzi moto-

rowej, która przewiozła ich na wynajęty przez Pacera jacht. Mieli na nim odbyć swoją podróż poślubną.

Pacer dał znać kapitanowi, że już może wypływać i poprowadził Colm na dół.

- Tutaj, kochanie - powiedział, otwierając drzwi do kabiny.

- Jest śliczna, Pacer - powiedziała, rozglądając się po lśniących drewnianych ścianach i błyszczących mosiężnych uchwytach.

- Jak ty - wyszeptał i zaczął odpinać długi rząd perłowych guzików na plecach jej sukni. Zsunął z niej sukienkę, długą haleczkę i cofnął się, przymykając oczy. W pantoflach na wysokich obcasach, pończochach i jedwabnych majteczkach Colm była najbardziej podniecającą kobietą, jaką spotkał. - Nie powinienem tego sobie robić... ale jest wspaniałe.

Uśmiechnęła się.

- Cierpisz, co?

- Erotyczna agonია, kochanie. - Gwałtownie zrzucił z siebie ubranie, podniósł ją i zaniósł do królewskiego łóżka. Na samą myśl, że mogłaby się z nim kochać w pantofelkach na wysokich obcasach, wzburzona krew zaczęła jeszcze żywiej krążyć w jego żyłach. Usiadł na brzegu łóżka, trzymając ją na kolanach. Gdy spojrzała na niego, dostrzegł cień niepokoju w jej oczach.

- Co się stało? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Nieważne.

- Wszystko, co ciebie dotyczy, jest ważne. Opowiedz.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie opowiedziałeś mi o telefonie od agenta FBI, który dzwonił poprzedniej nocy.

Objął ją ramionami.

- Przepraszam, ale nie miał mi zbyt wiele do powie-

dzenia. Wstępne dochodzenie wykazało, że Webster wy-
cygał rancho od Vince'a Collamera i że prawdopodobnie
go zabił. - Pacer wzruszył ramionami. - Webster ni-
gdy się nie przyzna do niczego, więc udowodnienie tego
zajmie trochę czasu... ale poradzimy sobie. Zależy mi na
tym. Webster musi zapłacić za wszystko.

Uśmiech Pacera wywołał w niej dreszcz.

- Masz cierpliwość, by się tym zajmować?

- Tak. - Pocałował ją w rękę. - Przejmujesz się nim?

- Nie. Nie czuję potrzeby zemsty, ale nie chcę też, żeby
wyszedł z więzienia, dopóki nie spłaci swych długów.

- To rozumiem, jesteś naprawdę moją dziewczyną.

Twarz Pacera spochmumiała.

- Stefan Denys próbował przejechać cię w garażu, on
również razem ze swym kumplem włamali się do twojego
mieszkania. - Jego oczy zwęziły się. - Agent FBI uważa,
że Brice się złamie i dowiemy się, czego szukali.

Colm musnęła wargami kącik jego ust.

- Dzięki, mężu, za wszystko co zrobiłeś dla mnie...
i mojej mamy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, moja żono. Za-
dawalanie ciebie sprawia mi wyjątkową przyjemność. -
Była jak najśłodsza brzoskwinia i bardzo chciał ją
nadgryźć. Przepelniało go pożądanie. Zdjął wargami je-
dwabną nitkę z jej czoła. Będzie jej pragnął zawsze.

- Serce bije ci tak mocno - powiedziała, przyciskając
rękę do jego piersi.

- Chcę ciebie i kocham cię.

W jej oczach zalśniły łzy i potoczyły się po policzkach.

- Sprawiasz, że zdarzają się same dobre rzeczy, Pacer.

Usiłował zlizać płynące po jej twarzy łezki, ale nie był
dostatecznie szybki.

Popchnąwszy go do tyłu, tak że oboje wylądowali na
łóżku, Colm znalazła się na nim.

- Kocham cię i czuję się bardzo podniecona. A ty?
- Absolutny brak zainteresowania - powiedział chrapliwie, czując, jak twardnieje i już jest gotów eksplodować.

- Aha, absolutny brak zainteresowania wygląda bardzo ciekawie - zauważyła, kołysząc się łagodnie. - Podobają cię się?

- Aż za bardzo. - Usiłując być delikatnym, spróbował ją ułożyć obok siebie.

- Nie. Chcę w ten sposób. - Sięgnąwszy w dół, zsunęła majteczki i opuściła się na niego.

- Boże! Cołm... dziecinko - wzdychał Pacer, gdy zaczęła poruszać się w słodkim rytmie. - Nie mogę...

- Nie powstrzymuj się. Jest cudownie.

Eksplodował wypełniając ją, wchodząc w nią całym sobą, a ona brała go do granic możliwości.

W słodkim poddaniu połączyła się z nim, wzlatując ponad słońce i księżyc.

- To było bardzo, bardzo dobre - wyszeptwała, opadając na jego piersi.

Pomyślał, że za każdym razem, gdy się kochają, jest lepiej. Jak to się działo? Com była prawdziwą czarodziejką.

- Dlaczego się uśmiechasz? - Poglaskała go po włosach, dostrzegła kropelki potu na jego czole.

- Bo jesteś wspaniała i moja irlandzka babka uznałaby, że odniosłem sukces. Udało mi się wylądować na rudej dziewczynie.

- Wylądować? Tak powiedziałeś? Nicpoń? Zmuszę cię do tego...

Otworzył nagle oczy.

- Zaintrygowałaś mnie. Czy mieszkałaś kiedyś w Irlandii?

- Byłam tam. Bardzo mi się podobało. Mogłabym tam żyć.

- Możemy tam wpaść na dłużej.

Pogłaskała go po twarzy.

- Pamiętasz Irlandię, ale chyba nie wszystkie wspomnienia są przyjemne. Opowiedz mi.

- Masz rację. Pamiętam różne miłe rzeczy, które ojciec mówił mamie. Choć urodził się w Ameryce, potrafił naśladować irlandzki sposób mówienia swej matki. - Pacer uśmiechnął się. - Cały czas ściskali się i całowali, a on szeptał jej czułe słówka z irlandzkim akcentem. - Spojrzał na nią. - Przywróciłaś memu życiu szczęście.

- A ty mojemu.

- Colm, moja miłości, jesteś dla mnie wszystkim. - Obejmował ją delikatnie, całując palec serdeczny.

- To dobrze. - Nigdy nie odczuwała takiej potrzeby opiekuńczości. - Chcę cię kochać przez całe życie, Pacerze Creekwoodzie Dillonie. - Zapomniawszy, że ciągle jeszcze jest złączona ze swym mężem, pochyliła się do przodu, aż Pacer jęknął. - Och, zrobiłam ci krzywdę ?

- Nie, dziecinko, nie robisz mi krzywdy, ale podnosisz mnie.

Zachichotała.

- To nie powinno cię dziwić.

- Moja babka powiedziałaaby, że masz „coś”.

- Czy jeszcze żyje?

- Nie, umarła przed wielu laty w Irlandii, wyjątkowo dumna ze swego półkrwi wnuka.

- Rozumiem ją. Czuję to samo. - Poruszając się delikatnie, uśmiechnęła się na jego oczywistą reakcję. - Oho, czuję „coś”.

- Ja też. Kocham cię, moja miła, i nigdy nie oczekiwałem, że powiem coś takiego kobiecie, która mną zawładnie. Nigdy, nigdy nie sądziłem, że może być taka kobieta, której z całą ochotą oddam życie, dopóki nie spotkałem ciebie.

- Rzeczywiście, to szokujące. Lecz uczciwe. Ale to ty mną zawładnąłeś. - Pocałowała go.

- O czym myślisz, kochanie?

- Myślę, że chciałabym mieć dziecko.

Pacer drgnął zdziwiony i znów jęknął.

- Zapomniałem, że ciągle jesteśmy razem. - Popatrzył na nią. - Ja również chciałbym mieć dziecko. Zrobimy sobie rejs dookoła świata, żeby trochę poćwiczyć?

- Choć mamy ranczo i firmę Fitzroyów?

- To żaden problem. Nasz personel jest bardzo dobry.

- Pacer czuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sobą.

- O to chodzi. - Colm wstrzymała oddech, gdy podniósł uda. - To wspaniałe.

- Sądzę, że uzgodnimy to innym razem.

Uwielbiał pieścić jej ciało ustami. Colm również.

- Kochanie!

- Teraz moja kolej. - Delikatne ssanie jego sutka sprawiało jej wielką przyjemność. Całe tłące się w niej uczucie, zdławione pozbawioną miłości atmosferą wytwarzaną przez Vince'a Collamera, teraz się ujawniło. Przedarło się przez bariery, które sama wznosiła, by bronić się przed kąśliwym sarkazem i złośliwościami mającymi ją złać.

Z radością kochała tego człowieka, który wszedł w jej życie i stał się dla nie obrońcą, przyjacielem i kochankiem.

- Jesteś bardzo namiętną kochanką, moja żono.

Pacer poczuł, jak spadły krępujące go okowy: uwolnił się od ograniczeń nałożonych sobie przez samego siebie. Opanowanie, nad którym pracował całymi latami, zostało rozerwane w strzępy przez dynamit o imieniu Colm.

- Zaczekaj.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Świat wirował wokół niego, gdy pieści-

ła go w najbardziej intymny sposób. Drżąc z miłości i rozkoszy, przyciągnął ją do siebie.

- Zawsze będę cię pragnął.

- A ja ciebie. - Zmysłowa gorączka trzymała ją w klezczach. - Jeśli nie będę cię miała za pięć sekund to... to eksploduję.

Łagodnie ją objął i wszedł w nią z gwałtowną słodyczą, która pozbawiła ją tchu. Gdy wyrwały się z niej dźwięki namiętności, jego libido doszło do szczytu. Słyszając swe imię wykrzyczane przez nią chrapliwym głosem, wypełnił ją swym żarem, czując miłość trwającą od tysiąca lat i mającą przetrwać dalsze tysiąc.

Ze swego „miodowego miesiąca” wrócili po paru tygodniach. Każdy tydzień sprawiał, iż stawali się sobie coraz bliżsi.

„Dlaczego więc - zastanawiał się Pacer - wydaje mi się, że moja żona coś przede mną ukrywa?”

- Przyglądasz mi się od momentu, gdy opuściliśmy biuro - powiedziała, gdy weszli do domu w Boru.

- I przez cały lot.

Przywykł przylatywać helikopterem na rancho w środku tygodnia i wracać do Houston w czwartek rano, by wrócić w piątek po południu. Mogli dzięki temu spędzać cały weekend na rancho.

Uśmiechnęła się.

- Może to po prostu radość z weekendu?

- O? Od kiedy to zaczęłaś oszczędzać się w pracy, by błogosławić piątek? - Obrzucił ją spojrzeniem. Była inna. Pobudliwa. Radosna. - Co takiego zrobiłaś poza moimi plecami? Znowu jakaś niespodzianka z wiadrem na drzwiach stajni?

- Niece, lecz musisz przyznać, że było to zabawno. Musiał się z nią zgodzić, gdyż był absolutnie oczar-

wany wybuchem jej śmiechu na widok spływającej po nim wody. Ludzie na ranczo byli również zachwyceni, oglądając swoją panią w wyjątkowo dobrym humorze. Ale tu chodziło o coś innego.

- Masz zamiar złapać mnie w sidła i powiesić za nogę na dębie przed domem?

- Nie, lecz przyznaję, że jest to niezły pomysł na przyszłość.

Jej śmiech zachwycił go i intrygował jednocześnie.

- Jesteś szczęśliwa, prawda?

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy usłyszała obawę w jego głosie.

- Każda kobieta poślubiona przez ciebie, Pacer, byłaby szczęśliwa. - Przykryła usta dłonią i podeszła bliżej. - Możesz zgadywać trzy razy.

- Okay. - Schwycił ją w ramiona i z łatwością podniósł, jak to często robił, gdy schodzili po schodach do sypialni. Ubierali się niedbale, gdy mieli jeść kolację we dwoje. - Zobaczymy...

- Jestem w ciąży - wybuchnęła.

Zacisnęła ramiona wokół jego szyi. Pacer zachwiał się na schodach, lecz z łatwością odzyskał równowagę.

- Nie! My? Ty i ja? Do licha, jesteśmy całkiem niezli, co? Rozkojarzony, jakby pijany tą wiadomością, pośpieszył do ich pokoju.

- Jesteś pewna?

- Tak. Wiesz, że jestem bardzo regularna. To już niemal trzy tygodnie.

Posadził ją na łóżku, a sam uklęknął, kryjąc twarz na jej łonie.

- Kocham cię. Dobrze się czujesz?

- Tak i kocham ciebie.

- Całe swoje życie poświęcę, by pokazać, jak wiele znaczysz dla mnie, ale nie wiem, czy jest to możliwe. -

Podniósł jej dłoń i pogłaskał kciukiem wysadzoną turkusikami obrączkę. Drogie kamienie układały się w słowa oznaczające w języku Indian Creek: Piękną Kobieta. - Potrzebuję twego ciepła i blasku, Colm.

- I ty mi jesteś zawsze potrzebny.

Objęci opadli na łóżko, by kochać się i pieścić.

Słońce zeszło już z teksaskiego nieba, ale żar namiętności i miłości wypełniał ich i dawał im poczucie bezpieczeństwa.

RS